EPOPEJA HARALDA SROGIEGO
Droga wiodąca go na tron Norwegii usiana była trupami

CZOŁGI NA ŁUKU KURSKIM
Po tej klęsce Niemcy już tylko ustępowali Sowietom

MOBUTU SESE SEKO
Jak Zachód pozwolił dyktatorowi Zairu utopić własny kraj we krwi

NR 7(126)/2023 LIPIEC 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA DO RZECZY

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

W poszukiwaniu ofiar UPA

WOŁYŃSKIE DOŁY ŚMIERCI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 07 >

1. Koszulka męska
Polska Flaga haft granatowa

2. Koszulka męska
Bitwa pod Kircholmem 1605

3. Koszulka męska
Kotwica PW haft szary melanż

4. Koszulka męska
Black Camo

5. Koszulka męska
Kotwica PW haft biała

6. Koszulka męska
Red is Bad klasyk żółta

7. Koszulka męska
Polska Flaga haft czarna

8. Koszulka męska
Bitwa pod Grunwaldem 1410

9. Koszulka damska
Polska Flaga haft szary melanż

10. Bluza rozpinana
Husaria Nieustraszeni Wojownicy

11. Bluza z kapturem
Naszywka Red is Bad czarno-szara

12. Bluza bez kaptura
Kosmos

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa
· ul. Jagiellońska 88/24
· ul. Plac Piotra Szembeka 4

RED IS BAD™

eprasa.pl 8fdf5bce69

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
p.o. redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

W kadrze / Wołyń, lipiec 2018 r.

Prezydent Andrzej Duda składa hołd pomordowanym Polakom na terenie nieistniejącej dziś wsi Kolonia Pokuta na Wołyniu

FOT. PREZYDENT.PL / IGOR SMIRNOW

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Pochować ofiary rzezi

Ostatnie chwile ofiar banderowskiej Ukraińskiej Powstańczej Armii były piekłem, którego nie sposób pojąć. Szał ślepej nienawiści, dźganie i rąbanie mężczyzn, kobiet, dzieci i starców... Na tym tle strzał z pistoletu mógł się wręcz jawić mordowanym Polakom jako przejaw humanitaryzmu.

Oprawcy Polaków z kresów południowo-wschodnich nie darowali swoim ofiarom nawet po śmierci. W większości przypadków nie było mowy o normalnym pochówku, który należy się każdemu człowiekowi. Ciała ofiar rzezi wołyńskiej banderowcy wrzucali do rowów, studni, palących się chałup, a czasem po prostu zostawiali na polu, gdzie doszło do mordu. Szczątki naszych rodaków z Wołynia były potem roznoszone po okolicy przez zwierzęta, a w wielu miejscach jeszcze całe lata po zbrodni kołchozowe pługi wyciągały na powierzchnię kości, które powinny spoczywać w mogiłach pod krzyżami. Ukraińscy nacjonaliści nie chcieli pozwolić na to, by po Polakach pozostały jakiekolwiek symboliczne ślady, takie jak krzyże czy mogiły.

Brak upamiętnienia i godnego pochówku Polaków zamordowanych na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej to niezabliźniona rana. Minęło oczywiście zbyt wiele lat, by wszystkie ofiary UPA mogły doczekać się chrześcijańskiego pogrzebu. Wciąż jednak tysiące, być może dziesiątki tysięcy ofiar, można odszukać, ekshumować i przenieść na cmentarze. Tym bardziej że nierzadko banderowcy wrzucali setki ofiar do jednego wielkiego dołu śmierci.

Niestety, proces ten blokowany jest od kilku lat przez państwo ukraińskie. Wojna obronna, którą nasz sąsiad toczy z Rosją, nie jest usprawiedliwieniem dla dalszego uniemożliwiania pracy polskich badaczy poszukujących szczątków ofiar tamtego ludobójstwa. Dopilnowanie, by Kijów rzeczywiście, a nie tylko w deklaracjach, pozwolił na ekshumacje pomordowanych Polaków i przeniesienie ich na cmentarze, to po prostu obowiązek państwa polskiego. ©℗

eprasa.pl 8fdf5bce69

/ TEMAT NUMERU

.6 LEON POPEK
Na tropie dołów śmierci

.12 RELACJE OCALAŁYCH
W rowie, studni, lesie, pod igliwiem

.14 BOHDAN HUD'
Nie tylko nacjonalizm

eprasa.pl 8fdf5bce69

/ CZASY I LUDZIE

.18 LESZEK LUBICKI
Zborowski bez głowy

.22 JÓZEF MARECKI
Kardynał Sapieha wychodzi z cienia

.26 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Masakra pod Akropolem

.30 MAREK GAŁĘZOWSKI
Oficerowie I Brygady przeciw bolszewikom

.34 TOMASZ CZAPLA
Towarzyszka „Ola" z dynamitem

.37 PIOTR SEMKA
Krwawy „starosta" Związku Sowieckiego

.40 JAKUB OSTROMĘCKI
Wikiński gigant

.43 BARTOSZ PALUSZKIEWICZ
Kapłon w garniturze z warzyw

.46 SŁAWOMIR KOPER
Wszystko, czego chcieliśmy

.50 ANNA SZCZEPAŃSKA
Morderca Mobutu

Cena 80 mk.
NUŻ W BŻUHU
2 JEDNODŃUWKA FUTURYSTUW
WYDANE NADZWYCZAJNE
KRAKUW LISTOPAD 1921 WARSZAWA

.54 MIKOŁAJ IWANOW
Język polski sowiecki

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Autor pełen fantazji

.62 RECENZJE

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Słodka obłuda

.67 PIOTR SEMKA
„Titanic" refleksyjny

/ KRESY

.68 TOMASZ STAŃCZYK
Grabież i odnowa Nieświeża

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Tygrys wchodzi do gawry

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Muszkiet na widelce!

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Układy scalone

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Wielki głód – wielka głupota

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Z Morskiego Oka na front

eprasa.pl 8fdf5bce69

Wywiad / Z dr. Leonem Popkiem, historykiem z IPN poszukującym szczątków ofiar rzezi wołyńskiej

rozmawia Piotr Włoczyk

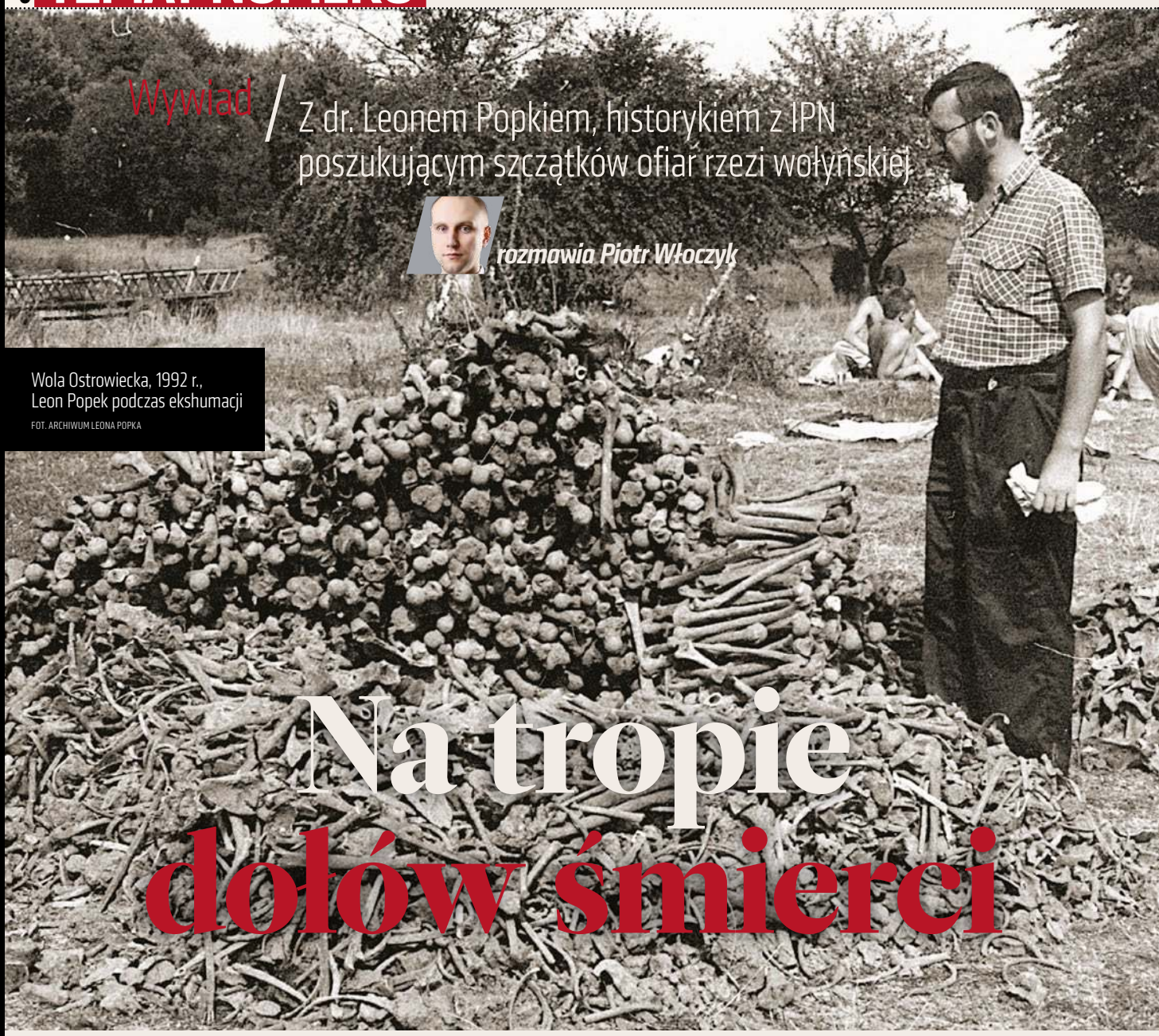

Wola Ostrowiecka, 1992 r., Leon Popek podczas ekshumacji

FOT. ARCHIWUM LEONA POPKA

Na tropie dołów śmierci

Wykonuję tę pracę w poczuciu obowiązku wobec moich bliskich, którzy zostali zamordowani przez banderowców. 30 sierpnia 1943 r., podczas ataku na Ostrówki i Wolę Ostrowiecką, zabitych zostało ponad 20 osób z mojej rodziny – mówi dr Leon Popek

PIOTR WŁOCZYK: Ile dołów śmierci z polskimi ofiarami ukraińskich nacjonalistów udało się do tej pory odszukać?

DR LEON POPEK: Niestety, bardzo niewiele. W sumie mówimy tu o kilkunastu odkrytych dołach śmierci. Dziewięć znaleźliśmy w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, gdzie doszło do jednej z największych masakr ludności polskiej w trakcie rzezi wołyńskiej. Jeden dół śmierci odkryty został w Gaju, a kilka w Porycku. To wszystko.

Ile jest na Wołyniu takich dołów śmierci?

Tu nie ma pewnych statystyk, ale szacunki pozwalają zrozumieć skalę stojącego przed nami zadania. Możemy mówić bowiem o ok. 10 tys. dołów śmierci, do których wrzuceni zostali przez morderców nasi rodacy. Ci ludzie wciąż czekają na godny pochówek.

Czyli tak naprawdę – mimo że od rzezi wołyńskiej minęło już 80 lat – państwo polskie

eprasa.pl 8fdf5bce69

nie zaczęło jeszcze na dobre szukać ofiar tamtego ludobójstwa...

Tak. Są miejscowości, gdzie mordercy wykopali jeden wielki zbiorowy dół śmierci, ale są też takie miejsca, jak choćby Kąty w powiecie lubomelskim, gdzie wrzucano zamordowanych do studni lub palących się domów. Każde tamtejsze gospodarstwo to jeden dół śmierci.

Zadanie stojące przed nami jest gigantyczne, bo i skala tamtego ludobójstwa była ogromna. Na Wołyniu zamordowanych zostało ok. 60 tys. Polaków w ok. 2,5 tys. miejscowości. Zbrodnie przeniosły się następnie do Małopolski Wschodniej, czyli do województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. Jednak Polacy ginęli też z rąk ukraińskich nacjonalistów także na Polesiu i na ziemiach znajdujących się obecnie w granicach Polski – w tomaszowskim, chełmskim i przemyskim. W sumie mówimy więc o 120–150 tys. ofiar zbrodni wołyńskiej, zamordowanych w ok. 4 tys. miejscowości. Tymczasem w ciągu 30 lat poszukiwań i ekshumacji udało nam się odnaleźć ok. 800 ofiar...

Spośród 60 tys. zamordowanych na Wołyniu jedynie niecałe 3 tys. Polaków miało chrześcijański pochówek. Mówimy tu o wyjątkowych sytuacjach, kiedy rodzina była w stanie pochować bliskich i w pogrzebie brał udział kapłan. Czyli zaledwie 5 proc. ofiar z Wołynia doczekało się godnego pochówku... Obecnie jedynie w 200 zaatakowanych miejscowościach widać jakiekolwiek ślady upamiętnienia polskich ofiar. Nie zawsze jednak są one zlokalizowane tam, gdzie leżą pomordowani. Czasem to są symboliczne krzyże przy drodze nieopodal wsi, która została bezpowrotnie zniszczona i dziś nie ma już po niej żadnego śladu.

Sprawy nie ułatwia to, że od kilku lat strona polska nie może się przebić przed blokadę, którą nałożył w tej kwestii Kijów...

Ostatnie ekshumacje miały miejsce w 2015 r. Od rozebrania przez Polaków nielegalnie postawionego w Hruszowicach pomnika UPA nic się w tej sprawie nie dzieje. Ukraiński IPN wydał wówczas Polsce całkowity zakaz poszukiwania ofiar, ekshumacji i pochówków. Sytuacja jest tak paradoksalna, że blokada dotyczy nawet poległych ponad 100 lat temu legionistów, którzy zginęli w walce z Rosjanami pod Kostiuchnówką. Wiemy, gdzie ci ludzie leżą, ale nie możemy ich ekshumować i przenieść na cmentarze. Więcej – kilka lat temu operator spychacza odkrył przypadkiem w lesie w miejscowości Kropiwniki niedaleko Szacka zbiorowy dół śmierci, do którego wrzucono ok. 50 polskich żołnierzy KOP, którzy walczyli w bitwie pod Szackiem (28–29 września 1939 r.). Ci żołnierz zginęli w bitwie lub zostali rozstrzelani przez NKWD. Niedługo potem dowiedzieliśmy się, że na jednym z internetowych serwisów sprzedawane są polskie nieśmiertelniki z tej mogiły. To są bardzo cenne artefakty i niewykluczone, że „czarni archeolodzy" kompletnie już okradli zwłoki żołnierzy. Możliwe więc, że gdy zakaz ekshumacji zostanie w końcu zniesiony, okaże się, że ofiary leżące w tym dole są już kompletnie bezimienne...

Ostrówki, 2015 r., szczątki 33 osób odkryte w dole śmierci FOT. ARCHIWUM LEONA POPKA

Po 24 lutego 2022 r. widać było wielkie zbliżenie między naszymi narodami. Czyżby więc to braterstwo nie dotarło jeszcze do tych gabinetów na Ukrainie, gdzie wydaje się decyzje, na które czekają Polacy?

Ciągle mam nadzieję, szczególnie po ostatnim wystąpieniu w Sejmie przewodniczącego Werchownej Rady, że 80. rocznica krwawej niedzieli na Wołyniu będzie przełomem. Patrzę jednak na to wszystko już z perspektywy 30 lat i dlatego zachowuję dużą ostrożność. Wielokrotnie bowiem słyszałem już o przełomach. Tymczasem ostatni świadkowie zbrodni odeszli, a my dysponujemy bardzo niewielką liczbą relacji z dokładnym umiejscowieniem dołów śmierci. Czas nie jest w tej sprawie naszym sprzymierzeńcem, a przecież ekshumacje i pochówki ofiar rzezi wołyńskiej to zadanie na całe dziesięciolecia. Dziś, nawet gdyby blokada została zniesiona, jesteśmy w stanie przeprowadzić zaledwie kilka ekshumacji w ciągu roku, dlatego państwo polskie powinno rozważyć zwiększenie naszych możliwości w tym zakresie.

Te prace są wyjątkowo żmudne, a efekt absolutnie nie jest gwarantowany.

Większość poszukiwań – szacuję, że ok. 80–90 proc. – kończy się negatywnie. Przeszukujemy krok po kroku ogromny teren, co metr badamy grunt świdrem i nic nie znajdujemy. A może być tak, że już kilka metrów dalej jest dół śmierci. Taką sytuację mieliśmy w 2014 r. w Ostrówkach. Przeszukaliśmy 1,5 ha terenu, a rok później siedem metrów od miejsca, gdzie zakończyliśmy prace, znaleźliśmy dół śmierci, gdzie leżały 33 osoby.

Do tej pory problemem są też cmentarze. Odnalezione ponad dekadę temu w okolicy Lwowa szczątki 100 polskich żołnierzy przeleżały kilka lat w kościołach, zanim udało się z władzami ukraińskimi porozumieć w sprawie znalezienia odpowiedniego cmentarza do pochówku. Jeżeli mamy poszukiwać i ekshumować na dużą skalę ofiary rzezi wołyńskiej, to takie cmentarze muszą być wcześniej

eprasa.pl 8fdf5bce69

wyznaczone. Muszą to być obiekty w dobrym stanie, uporządkowane.

Czeka pan na oficjalne przeprosiny ze strony władz ukraińskich?

Oczywiście przeprosiny są potrzebne, ale trzeba też zadośćuczynienia. I nie chodzi o kwestie finansowe. Popieram w tym względzie pomysł abp. Mieczysława Mokrzyckiego sprzed dekady, skierowany do Cerkwi greckokatolickiej oraz Cerkwi prawosławnej. Arcybiskup oczekiwał z ich strony apelu do parafii, by w ramach zadośćuczynienia postawić krzyże przy dołach śmierci i odprawić tam nabożeństwa. Po to także, żeby społeczność miejscowa wiedziała, że w okolicy leżą polskie ofiary rzezi wołyńskiej. Niestety, apel ten został przemilczany przez obie Cerkwie, a także – niestety – Kościół katolicki nie promował zbyt energicznie tego pomysłu, czego kompletnie nie rozumiem.

To jest problem, który przenoszony jest z pokolenia na pokolenie. Rodziny ofiar ludobójstwa wołyńskiego noszą w sobie tę traumę, cierpienie i żal do władz ukraińskich, a także polskich, ponieważ nie mogą opłakać swoich bliskich przy ich grobach i stąd biorą się te wszystkie złe emocje i bardzo gorzkie słowa...

Panu udało się jednak pochować część rodziny zamordowanej przez ukraińskich nacjonalistów.

Tak, w zbiorowej mogile w Ostrówkach, w której natrafiliśmy na szkielety 243 osób, w większości mężczyzn, odnalazłem krzyżyk mojego dziadka – Jana Szweda. Gdy moja mama zobaczyła ten krzyżyk, od razu potwierdziła, że na pewno należał on do jej ojca. Z kolei w 2011 r. udało się nam znaleźć dół śmierci na tzw. Trupim Polu, gdzie najpewniej zakopana została moja ciotka ze swoimi małymi synkami: Bolesławem i Jankiem. To była makabryczna zbrodnia, dopiero po kilku dniach UPA kazała zakopać zwłoki. Ludzkie szczątki były rozwlekane przez zwierzęta, a potem przez lata pługi roznosiły po polu kości pomordowanych. Po wojnie najpierw było tam kołchozowe pole, a potem posadzono w tym miejscu las. Odnalezione przez nas szczątki pomordowanych były w bardzo złym stanie, z najmłodszych dzieci praktycznie nic nie zostało, poza zarysami odbitymi, jak negatywy, w piasku. Przy próbie wydobycia te dziecięce kształty rozsypywały się na naszych oczach...

Trupie Pole, 2011 r., szczątki kobiet i dzieci FOT. ARCHIWUM LEONA POPKA

Doszło wówczas do bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Strona ukraińska zarzuciła nam, że polscy badacze łamią kości, by zwiększyć liczbę ofiar... A przecież, jak już wspomniałem, kości ofiar z Trupiego Pola były w bardzo złym stanie i wyciągaliśmy je połamane z ziemi. Niestety, nie były to sytuacje wyjątkowe. Słyszeliśmy nieraz z ust ukraińskich historyków czy dziennikarzy, z którymi stykaliśmy się po drodze, że nie mogło być aż tyle ofiar albo że odpowiadała za to NKWD, a nie UPA. Zdarzały się nawet głosy, że Polacy niepotrzebnie się tam osiedlali...

Ile jeszcze polskich ofiar z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej czeka na ekshumację?

Wciąż szukamy 380 pomordowanych. Do tej pory w wyniku trzech ekshumacji wydobyliśmy z tamtejszych dołów śmierci 680 osób. Mamy jeszcze do przeszukania ok. 30 miejsc, o których świadkowie wspominali. W samej kuźni Edwarda Bałandy może leżeć ok. 25 ofiar.

Dlaczego zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej zasługuje na szczególne miejsce w pamięci Polaków?

Ponieważ była to jedna z największych zbrodni w czasie ludobójstwa Polaków na Wołyniu. W dniach 29–30 sierpnia 1943 r. UPA zaatakowała wszystkie wsie w powiecie lubomelskim, w których żyli Polacy. Banderowcy zabili wówczas w ponad 30 wsiach ok. 2,5 tys. ludzi. Tylko w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, dwóch sąsiednich, bardzo blisko ze sobą związanych wsiach, wymordowanych zostało w ciągu kilku zaledwie godzin ok. 1050 Polaków. W Ostrówkach zginęło minimum 474 osób, a w Woli Ostrowieckiej wymordowanych zostało co najmniej 570 osób. Ukraińcy zgładzili więc ok. 70 proc. mieszkańców tych wsi. Ponad 100 rodzin zostało wymordowanych w całości...

Jak już wspomnieliśmy, dokładne opisanie zagłady Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, a także znalezienie i pochowanie ofiar tej zbrodni to dla pana cel nie tylko zawodowy...

Tak, wykonuję te pracę w poczuciu obowiązku wobec 20 członków mojej rodziny, którzy zostali zamordowani przez banderowców. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tego samego dnia, gdy masakrę Woli Ostrowieckiej cudem przeżyła moja 22-letnia mama, mój tata ocalał z zagłady jego rodzinnej wsi Gaj w powiecie kowelskim. Obie wsie dzieliło od siebie ok. 100 km, dziś nie ma już po nich właściwie śladu. W Gaju zabici zostali mój dziadek ze strony ojca Mikołaj Popek, a także jego cztery córki, czyli moje ciotki.

Od najmłodszych lat słuchałem opowieści o zagładzie Wołynia. Moi krewni, którzy przeżyli rzeź, często zadawali to samo pytanie: „Dlaczego nas zabijali? Przecież my nic złego im nie zrobiliśmy". Wybór studiów historycznych na KUL był więc dla mnie rzeczą zupełnie naturalną. Jeszcze na uniwersytecie, w 1978 r., za namową prof. Jerzego Kłoczowskiego, zacząłem zbierać relacje ludzi, którzy przeżyli

eprasa.pl 8fdf5bce69

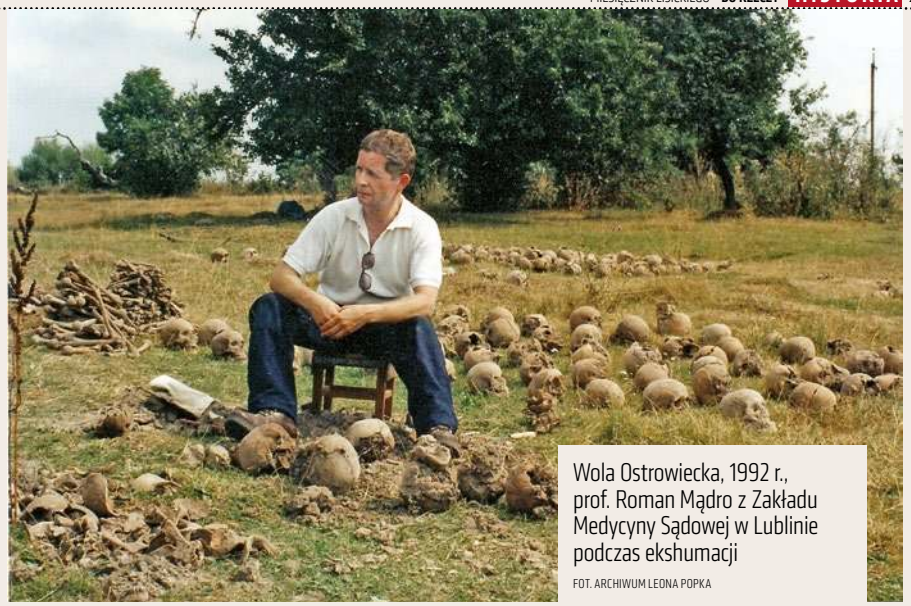

Wola Ostrowiecka, 1992 r., prof. Roman Mądro z Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie podczas ekshumacji

FOT. ARCHIWUM LEONA POPKA

rzeź wołyńską. To nie były łatwe historie, często tym rozmowom towarzyszyły płacz i ból. Tłumaczyłem jednak moim rozmówcom, że te świadectwa to bardzo ważna rzecz dla historii i potomnych.

Jak złe były w takim razie stosunki polsko-ukraińskie na tamtym terenie przed wojną?

One wcale nie były złe! Powiedziałbym nawet, że były bardzo dobre! Nie było żadnych konfliktów na tle ekonomicznym, ponieważ Polacy w obu tych wsiach byli właściwie równie ubodzy jak ich ukraińscy sąsiedzi z okolicznych wsi. Nie było zazdrości, bo nie było czego zazdrościć. Dzieci polskie chodziły do szkoły z dziećmi ukraińskimi, razem się bawiły, pasły krowy. Ukraińcy budowali domy Polakom, a Polacy Ukraińcom. Stosunki między oboma nacjami układały się zupełnie normalnie.

Warto też zaznaczyć, że mieszkańcy Ostrówek i Woli Ostrowieckiej mieszkali tam od co najmniej czterech wieków. To nie byli koloniści, którzy pojawili się na Wołyniu po 1920 r. i – w rozumieniu ukraińskich sąsiadów – pozbawili ich ziemi.

Mieszkańcy obu wsi mówili gwarą mazurską – stamtąd właśnie pochodzili w znacznej części ich przodkowie. Ostrówki i Wola Ostrowiecka były ze sobą bardzo powiązane rodzinnie, ponieważ małżeństwa zawierano praktycznie wyłącznie w obrębie tych dwóch wsi. Panieńskie nazwisko mojej mamy to Szwed. W obu miejscowościach było kilkadziesiąt rodzin Szwedów. Bardzo wielu było też Jesionków, Kuwałków, Trusiuków, Ulewiczów. I dlatego, żeby łatwiej rozróżniać ludzi, każdy miał tam swój przydomek.

Pod koniec sierpnia 1943 r. prawie cały Wołyń spłynął już krwią Polaków. Mieszkańcy Ostrówek i Woli Ostrowieckiej próbowali się jakoś zabezpieczyć przed zagładą? Przecież musieli zdawać sobie sprawę z tego, że prędzej czy później ich wsie zostaną zaatakowane.

Mimo dramatycznie brzmiących doniesień ludzie nie wierzyli, że może dojść do ataku na ich wsie. Niestety, mieszkańcy nie byli dobrze zorganizowani. W obu wsiach było tylko kilkunastu młodych mężczyzn należących do AK, którzy posiadali zaledwie kilka sztuk broni palnej.

Ukraińcy już kilka miesięcy wcześniej chcieli zgładzić Ostrówki rękoma Niemców. Podłożyli minę na moście w tej wsi tuż przed przejazdem niemieckiej kolumny. W wybuchu śmierć poniosło kilku Niemców. Ostrówki miały zostać w odwecie spalone. Niemcy zaczęli już nawet palić domy i zabili kilku mieszkańców, ale szczęśliwym trafem jeden z mieszkańców, który znał język niemiecki, miał dar przekonywania i wytłumaczył jakoś Niemcom, że to Ukraińcy podłożyli tę minę. W ten sposób Ostrówki zostały uratowane.

Jak wyglądały ostatnie godziny przed atakiem UPA?

29 sierpnia, w niedzielę po południu, w czasie nabożeństwa w kościele w Ostrówkach ks. Stanisław Dobrzański dowiedział się od ludzi z AK z Lubomla i Jagodzina, że Ukraińcy szykują się do ataku. AK-owcy chcieli wywieźć księdza w bezpieczne miejsce. Duchowny powiedział jednak, że nie zostawi swoich owieczek samych wobec gromadzących się wilków. Ksiądz postanowił zorganizować samoobronę. Kobiety i dzieci miały zostać wywiezione furmankami do Jagodzina, gdzie stacjonowali Niemcy i Węgrzy, a mężczyźni mieli bronić swoich wsi.

Dlaczego z tej ewakuacji nic nie wyszło?

Zabrakło kilku godzin. Pod koniec sierpnia dzień był już krótki, nie zdążono przygotować ewakuacji przed zmierzchem. Kilkadziesiąt osób z Woli Ostrowieckiej mimo zmroku postanowiło jednak pojechać do Jagodzina. Musieli oni przejechać przez Ostrówki, ponieważ wiodła tamtędy jedyna droga w kierunku Jagodzina. Niestety, mieszkańcom Ostrówek udało się namówić swoich sąsiadów, by ci nie jechali nocą... Wśród tych, którzy chcieli dostać się do Jagodzina, byli moja ciocia i wujek z trojgiem małych dzieci. Cudem przeżyli zagładę swojej wsi, opowiadali mi potem o tych dramatycznych godzinach.

Czy mieszkańcy wystawili warty na noc?

Tak, uzbrojeni w narzędzia gospodarcze mężczyźni czuwali na obrzeżach wsi. Noc przebiegła jednak spokojnie. O świcie mieszkańcy Ostrówek i Woli Ostrowieckiej zaczęli wychodzić ze swoich kryjówek. Ich oczom ukazały się słupy dymu z sąsiednich wsi zamieszkanych przez Polaków...

eprasa.pl 8fdf5bce69

Rano Ostrówki i Wola Ostrowiecka zostały otoczone szczelnym kordonem – w mordzie brało udział ok. 2,5 tys. Ukraińców – w większości byli to członkowie UPA, ale część stanowili Ukraińcy z okolicznych wsi. Po wszystkim brali oni udział w rabowaniu mienia pomordowanych.

Siłami UPA dowodził Iwan Kłymczak „Łysy". To on był autorem raportu dokumentującego tę zbrodnię. Kłymczak napisał w nim: „Zlikwidowałem wszystkich Polaków od małego do starego. Wszystkie budynki spaliłem, mienie i chudobę zabrałem dla potrzeb kurenia".

Od czego zaczął się mord?

Ukraińcy chodzili od domu do domu i wzywali gospodarzy na „zebranie". Jednym tłumaczyli, że chodzi o tworzenie oddziału partyzanckiego, innym mówili, że zostanie powołane wspólne polsko-ukraińskie wojsko. Po zwabieniu głów rodzin napastnicy wchodzili do domów i wyciągali na zewnątrz – też pod pretekstem spotkania – resztę domowników. Ci, którzy nie mogli wyjść, np. ludzie przykuci do łóżek, byli na miejscu zabijani. Tylko nielicznym mieszkańcom udało się ukryć gdzieś w domu albo w gospodarstwie i przeżyć tę rzeź.

Najpierw wymordowano mężczyzn. W obu wsiach scenariusz był identyczny. Zaczęto od młodych i silnych. Mężczyźni z Woli Ostrowieckiej byli prowadzeni w grupach 10-osobowych z placu szkolnego, gdzie ich zgromadzono, do stodoły w gospodarstwie Antoniego Strażyca na drugim końcu wsi. Tłumaczono im, że idą na komisję lekarską. Oprawcy kazali im się tam rozebrać do bielizny i oddać złoto, zegarki i broń. Następnie mordowani byli siekierami, maczugami, młotami do zabijania zwierząt, a ich ciała wrzucano do dołu.

W 1978 r. rozmawiałem z Władysławem Soroką, który zaprowadzony został wraz z innymi mężczyznami z Woli Ostrowieckiej do tej stodoły. Na jego oczach Ukraińcy zabili ciosem siekiery jego syna, który prowadzony był przed nim. Władysław Soroka był krępy, służył wcześniej w Wojsku Polskim jako kowal. Ludzie śmiali się, że koń nie miał prawa wyswobodzić się z jego żelaznego uścisku. Soroka jakimś cudem wyrwał się Ukraińcom i uciekł. Nie został doprowadzony nad samo miejsce kaźni, nie był więc w stanie

LEON POPEK
„OSTRÓWKI. WOŁYŃSKIE LUDOBÓJSTWO"
RYTM

powiedzieć, jak dokładnie zginęli ludzie, których odnaleźliśmy w dole śmierci w gospodarstwie Strażyca.

Profesor Roman Mądro z Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie uważa, że ofiary zgładzone w tamtym miejscu były doprowadzane do dołu, zmuszano je do położenia się twarzami do ziemi i dopiero wtedy były zabijane za pomocą narzędzi gospodarczych, bez oddania ani jednego strzału.

Znaleziony przez nas dół miał 12 m długości, 2,5 m szerokości i 70 cm głębokości. Natrafiliśmy tam na 243 szkielety, ale nie wszystkie należały do mężczyzn. Na górze znaleźliśmy bowiem dzieci i kobiety – po wymordowaniu mężczyzn zaczęto tam zabijać kobiety i dzieci zamknięte w szkole. W tym dole leżał też mój dziadek Jan.

Co się wtedy działo z pańską mamą?

Moja mama Helena mieszkała ze swoją rodziną na samym końcu Woli Ostrowieckiej w tzw. kolonii. Ukraińcy nie zdążyli ich na czas wyprowadzić z domu. Początkowo na to „zebranie" miał iść brat mojej mamy Julian, ale ostatecznie poszedł na nie jego ojciec, czyli mój dziadek. Wujek widział ze strychu domu, jak Ukraińcy kopali dół w gospodarstwie Strażyca, choć wtedy nie był w stanie wyobrazić sobie, do czego on posłuży.

Mama, wraz z resztą domowników, postanowiła w końcu uciekać z domu. Babcia wzięła tylko krzyżyk ze ściany, gdyby ktoś umierał. Tak się złożyło, że w momencie, gdy moja rodzina rzuciła się do ucieczki, pod wieś podjechało 50–60 Niemców i doszło do wymiany ognia z Ukraińcami. W wyniku walki rozluźnieniu uległ pierścień wokół wsi i mojej rodzinie udało się wydostać z tego piekła.

W tym czasie mężczyźni w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej byli już wymordowani. Kobiety i dzieci z Woli Ostrowieckiej były natomiast zamknięte w szkole, która następnie została obłożona snopkami i podpalona. Do środka wrzucono granaty, a do tych, którym udało się wyskoczyć na zewnątrz, strzelano. Na terenie szkoły zginęło ok. 250 osób. W 2011 r. odnaleźliśmy tam szczątki 79 osób. Nigdy ich nie pochowano, część ciał uległa całkowitemu spaleniu, a potem przez lata było tam pole kołchozowe. Pługi wyciągały kości na wierzch, dlatego na ludzkie szczątki natrafiliśmy dopiero 40 cm pod powierzchnią ziemi i stąd tak mała liczba odnalezionych kości.

Najpotworniejszy los czekał jednak kobiety i dzieci zamknięte przez Ukraińców w kościele w Ostrówkach...

Mówimy w tym momencie o ok. 300 osobach. Ukraińcy wyciągnęli tych ludzi z kościoła i chowali się za nimi, traktując je jak żywe tarcze walce z Niemcami. Popędzili następnie kobiety i dzieci za wieś. Ludzie, którzy przeżyli te dantejskie sceny, opowiadali potem, że w obliczu śmierci kobiety śpiewały pieśni religijne, wszyscy przepraszali się za przewiny. Matki mówiły dzieciom, że za moment zobaczą Boga, żeby nie bały się śmierci. Wiadomo też, że wcześniej mężczyźni w obliczu śmierci zachowywali się podobnie – padali na kolana, śpiewali pieśń „Serdeczna matko"... Nie mówię tego, żeby upiększyć śmierć mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej. Tak bowiem w rzeczywistości wyglądały ostatnie chwile tych ludzi według świadectw osób, które przeżyły zagładę obu wsi.

Z tej pędzonej przez banderowców 300-osobowej grupy kobiety i dzieci z kościoła w Ostrówkach przy cmentarzu oderwała się grupa ok. 20 starszych kobiet. Chciały one po prostu umrzeć na poświęconej ziemi... Reszta ofiar została zapędzona 4 km za Wolę Ostrowiecką, na pole pod ukraińską wieś Sokół.

Jedna z kobiet prosiła o darowanie życia dzieciom. Dowódca zabójców z UPA powiedział jednak, że wszyscy Polacy muszą zginąć za to, że tyle lat żyli na ukraińskiej ziemi.

Rozpoczęło się piekło – kłucie bagnetami, rozstrzeliwanie z przyłożenia pistoletu do głowy. Zwłoki leżały 10 dni na polu. Dzikie zwierzęta rozwlekały ludzkie szczątki. W końcu w obawie przed epidemią UPA zapędziła mieszkańców Sokoła do zakopywania zwłok. Rozmawiałem z człowiekiem, którego matka zakopywała ofiary zbrodni, ten człowiek zresztą żyje do dziś. Powiedział

eprasa.pl 8fdf5bce69

Uroczystości pogrzebowe na cmentarzu w Ostrówkach, 2011 r.
FOT. ARCHIWUM LEONA POPKA

mi, że przy wrzucaniu do dołu warkocze pomordowanych odrywały się razem ze skórą od czaszek. Mówił, że takiej ilości ptactwa jak wtedy nigdy nie widział. Potem bał się tam chodzić. Ukraińcy nazwali to miejsce Trupim Polem.

Ile osób przeżyło masakrę?

Kilkanaście. Byli to ludzie, których w pośpiechu nie udało się Ukraińcom zabić, a potem dobić. Jednym z ocalałych był Aleksander Pradun, który miał wówczas 14 lat. Według jego relacji banderowcy po kolei zabijali jego ciotkę, jej dzieci i wreszcie jego matkę. Gdy przyszła kolej na niego, kula trafiła obok jego głowy. Aleksander Pradun nie został nawet draśnięty, ale udawał, że nie żyje.

W jaki sposób udało się pańskiemu zespołowi odnaleźć miejsce pochówku tych ofiar?

Tego miejsca szukaliśmy bardzo długo. Wreszcie, przy pomocy wykrywacza metalu, natrafiliśmy na kilkadziesiąt łusek. W ten sposób namierzyliśmy dół śmierci. W 2011 r. na Trupim Polu ekshumowaliśmy co najmniej 231 osób.

Co dziś zostało po tych wsiach?

Właściwie jedynym śladem jest cmentarz w Ostrówkach, który służył obu wsiom. Był on bardzo zdewastowany, ale przez ostatnie lata doprowadziliśmy go do porządku.

Na cmentarzu został postawiony pomnik, na którym widnieje napis: „Pamięci mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckie, którzy zginęli 30 sierpnia 1943 r. Niech spoczywają w pokoju. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Rodacy".

Niestety, tylko tyle udało nam się wywalczyć. Był jeszcze orzeł w koronie, ale ktoś go usunął. W oryginalnym projekcie były jeszcze tablice: po lewej stronie miało być wymienionych z imienia i nazwiska 570 zamordowanych z Woli Ostrowieckiej, a po prawej 474 ofiary z Ostrówek. To jednak zostało zablokowane przez stronę ukraińską.

Jako pamiątka po tamtych ludziach został jeszcze naturalnej wielkości posąg Matki Boskiej, który stał przed kościołem w Ostrówkach. Przez kilkadziesiąt lat leżał rozbity w rowie. Na początku lat 90. Ukraińcy złożyli go w całość. Matka Boska stoi tam dziś bez dłoni, bez głowy, jest cała poobijana. To bardzo symboliczny widok.

Jak pan wspomina reakcje Ukraińców, gdy zaczęliście tam jeździć i szukać ofiar tamtej zbrodni?

Pierwszy raz pojechałem tam w 1990 r. Nie byłoby trzech ekshumacji, ratowania cmentarza, corocznych pielgrzymek, gdyby nie życzliwość miejscowych ludzi. Ci ludzie przychodzili pożegnać swoich sąsiadów, to był bardzo wzruszający widok. Tak musiało tam być przed wojną.

Najbardziej pozytywną reakcję, która mnie głęboko poruszyła, widziałem na cmentarzu w Ostrówkach w 2011 r. podczas pogrzebu 320 ofiar mordu. Przybyli tam miejscowi Ukraińcy, wśród nich była babuleńka w bardzo zaawansowanym wieku. Ukraiński dziennikarz zapytał ją, dlaczego przyszła na pogrzeb. Ta pani wypowiedziała wówczas słowa, które wciąż mnie wzruszają: „Bo u nas przed wojną, a byliśmy z Polakami sąsiadami, był taki zwyczaj: jak umierał katolik, to my szliśmy go żegnać. A jak umierał prawosławny, to oni przychodzili do nas. A dziś ja jestem tu po to, żeby pożegnać sąsiadów, dobrych ludzi". Piękniejszego świadectwa z ust miejscowych Ukraińców nie słyszałem. Tych ludzi nikt nie spędzał na siłę, z własnej woli przychodzili na pogrzeby na cmentarz, gdzie przenosiliśmy szczątki ofiar tej zbrodni. Co roku w liturgii bierze udział miejscowy duchowny prawosławny. Lokalne władze samorządowe też udzielały nam pomocy. Ja osobiście oprowadzałem po cmentarzu wycieczki ukraińskich uczniów i opowiadałem o trudnej historii.

Niestety, wraz ze wzrastaniem na Ukrainie kultu UPA ten pozytywny stosunek zaczyna się nieco zmieniać. Widać, że niektórzy ludzie zaczynają odczuwać lęk przed wspieraniem nas w upamiętnianiu ofiar tamtych zbrodni. Nie pomaga na pewno to, że dziś na Ukrainie krytykowanie UPA zagrożone jest karą trzech lat pozbawienia wolności.

Jak trafić do Ukraińców z brutalną prawdą na temat Wołynia?

W trakcie ekshumacji prowadziliśmy rozmowy z archeologami ukraińskimi. Bardzo zależało mi na tym, by powiedzieć im, jak było naprawdę, niezależenie od tego, co miałbym od nich usłyszeć. Prawdą jest bowiem, że bardzo wielu Ukraińców nie ma kompletnie żadnej wiedzy na ten temat. Trzeba im ją dostarczyć. Podam panu przykład z ostatniego roku. Przychodzili do nas, do IPN w Lublinie, ukraińscy uchodźcy, którzy chcieli się dowiedzieć, co dokładnie się stało na Wołyniu. Okazało się, że brakuje nam materiałów na ten temat w języku ukraińskim. Trzeba zadbać o to, by takie pomoce były na wyciągnięcie ręki i by każdy Ukrainiec, który chce poznać prawdę o Wołyniu, mógł dotrzeć do takiej wiedzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wywiad jest zaktualizowaną i poszerzoną wersją rozmowy przeprowadzonej w 2016 r.

Doktor Leon Popek
jest historykiem, zastępcą dyrektora Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN, autorem wielu prac na temat rzezi wołyńskiej, m.in. „Ostrówki. Wołyńskie ludobójstwo". Od ponad 30 lat prowadzi poszukiwania szczątków ofiar ludobójstwa dokonanego na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów.

eprasa.pl 8fdf5bce69

Wołyń, 1943 r. / Relacje ocalałych o zamordowanych

W rowie, studni, lesie, pod igliwiem...

Czaszka ofiary zbrodni dokonanej przez UPA w Woli Ostrowieckiej, ze śladami uderzeń obuchem topora lub maczugą FOT. AIPN

Mój ojciec] skarżył się, że trudno się [od miejscowych Ukraińców] czegokolwiek dowiedzieć. Mówił, że ludzie kręcą. Rzeczywiście, nas też przez długie lata zwodzili. Raz mówili, że dziadkowie są pochowani w lesie, innym razem, że w Łucku. Ich opowieści były niespójne. Podawali wykluczające się wersje [...]. Bali się zemsty, jeśli powiedzą nam prawdę. Żyją przecież jeszcze ci, co zabijali, żyją ich dzieci i wnuki. A oficjalna wersja tamtych lat jest taka, że upowcy byli bohaterami walczącymi o niepodległą Ukrainę.

Krzesimir Dębski, „Nic nie jest w porządku. Wołyń. Moja rodzinna historia"

Całymi dniami chodziłam po okolicznym lesie. Błagałam Ukraińców, żeby pokazali mi ciała Polaków. Odmawiali. W końcu udało się nam odnaleźć mogiłę. Przyjechaliśmy wtedy w kilka osób, głownie członkowie naszego stowarzyszenia. Stałam w odległości kilku kroków, gdy nagle zaczęli wołać:
– Kości! Kości!

Podbiegłam i upadłam na kolana. Ziemia delikatnie się pode mną ugięła. Zaczęłam rozgarniać czarną ziemię gołymi rękami. Natrafiam na coś twardego. Pociągnęłam do siebie. To była l u d z k a c z a s z k a! Kopałam dalej. Druga, trzecia. W sumie trzy ludzkie głowy [...]. Nasz krzyż w miejscu kaźni stanął dopiero kilka lat później.

Zofia Szwal, relacja z książki Anny Herbich „Dziewczyny z Wołynia"

Chłopcy nasi odkryli ok. 400 szkieletów ludzkich koło spalonego młyna. To tu banda zwyrodniałych banderowców wymordowała ludność polską uchodzącą z Huty Stepańskiej. To tu, między tymi szkieletami, leżał też szkielet mego dziadka Teofila Kobylańskiego. Lecz brak było czasu na rozmyślania i żale. Mimo rozpaczy musieliśmy iść dalej. O godzinie 11.00 przed południem dotarliśmy do Siedliska. Ten sam widok. Ten sam obraz.

Władysław Kobylański, „W szponach trzech wrogów. Przeciw UPA, Niemcom i Sowietom"

Dziadek leżał na podłodze na prawo od drzwi. Właściwie nie było widać głowy, była jakby wbita siekierą w ciało, w płuca. Ściany

eprasa.pl 8fdf5bce69

były zabryzgane krwią, na podłodze rozmazana była krwawa maź. Gdy chwyciłem ciało dziadka, fragment jego mózgu wyleciał na moją pierś. Babcia leżała obok dziadka porąbana wzdłuż ciała siekierą. Z lewej strony drzwi leżała ich 11-letnia córka, siostra mojej mamy, Weronika. Ona też była porąbana siekierą. W kuchni leżały łuski, czyli strzelano do dziadków [...]. Prawie wszystkich Polaków z Witoldowa, w sumie sześć osób, bandyci z UPA zabili 11 lipca. Ciała dziadków i Weroniki przenieśliśmy z domu na podwórze, gdzie postawiliśmy zbite naprędce trumny. Pochowaliśmy ich na podwórzu. Musieliśmy się jak najszybciej stamtąd wynieść, bo wiedzieliśmy, że w tym rejonie działała banda UPA. Uciekając, słyszeliśmy za nami strzały. Byliśmy jednak zbyt daleko, żeby kule mogły nam zrobić krzywdę.

Zygmunt Maguza, fragment wywiadu udzielonego „Historii Do Rzeczy"

Gdy dotarliśmy w okolice Ostrówek, zaczęliśmy napotykać przy zabudowaniach pojedynczo pomordowanych ludzi. Zwłoki leżały także w mieszkaniach, w obejściach gospodarskich, w rowach przydrożnych i na drodze [...]. Ciała były poukładane w wykopanym rowie jedne na drugich, rzędami, głowami w jednym kierunku. Następny rząd leżał głowami w odwrotną stronę. Na górnej warstwie ciał Ukraińcy nałożyli słomy, którą następnie podpalili. Ciała wyglądały strasznie. Były spuchnięte, niektóre popękane i nadwęglone [...]. W Woli Ostrowieckiej napotykane pojedyncze ciała nie robiły już na nas większego wrażenia. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Po wejściu do wioski zawołał mnie jeden z kolegów i pokazał studnię, w której było nawrzucanych tak dużo pomordowanych ludzi, że nie było widać wody.

Tadeusz Kański, „Muszka", żołnierz 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, relacja zebrana przez dr. Leona Popka i opublikowana w książce „Ostrówki. Wołyńskie ludobójstwo"

A pierwsza zbrodnia, którą pamiętam, została dokonana na mojej dalekiej rodzinie. Ludzie ci przyjechali do nas, do Zasmyk, w odwiedziny. W drodze powrotnej, gdy przejeżdżali przez Las Lityński, napadli na nich ukraińscy nacjonaliści. I zamordowali. Oprawcy nawet nie zakopali ciał swoich ofiar, tylko zakopali w liściach i igliwiu. Martwych znaleziono dopiero po paru dniach.

Janina Wójcik, relacja z książki Anny Herbich „Dziewczyny z Wołynia"

Antoni [Grabowski z kolonii Bryszcze] uważał, że na niego nie napadną, a gdyby, to się chyba obroni. 29 września [1943 r.] przyjechał z rodziną do gospodarstwa i wtedy bojówka UPA napadła! 5 osób wywieźli do Ledochówki, do lasu i tam zamordowali. Gospodarstwo po ograbieniu podpalili. Z wiadomością o tej tragedii 15-letni syn Zenon z krzykiem dobiegł do naszej czujki. Lotny oddział pod dowództwem „Jastrzębia ruszył na Bryszcze. Na miejscu zastali palące się budynki, nie tracąc czasu, ruszyli w pogoń po śladach bandy. W lesie zobaczyli zmasakrowane zwłoki Grabowskiego, obok zwłoki żony i jego dwu córek. Dalej na pniu drzewa były przyklejone włosy z roztrzaskanej o drzewo główki dwuletniej wnuczki. Wygląd ran zamordowanych wskazywał na długie tortury, na stopniowe zadawanie bólu. Słuchając o tym, zastanawiałem się, skąd u rozumnej istoty tyle zwierzęcej bestii. Ciała pomordowanych pochowano na cmentarzu w Łucku.

Antoni Cybulski, „Oliwa", „Wspomnienia konspiracyjnego starosty z Wołynia"

Naoczni świadkowie opowiadali, że widzieli, jak bandyci wyłapywali małe dzieci w pobliżu płonących zagród i trzymając je za nogi, zabijali, uderzając główkami w węgły domu, lub żywcem wrzucali je do ognia. Mordowano z największym okrucieństwem, podrzynając gardła, rozpruwając brzuchy, kłując widłami i rąbiąc siekierami, a ludzie konali w nieopisanych mękach [...]. W miarę przybywania dalszych lipniczan zaczęto znosić ciała pomordowanych i układać je przed spalonym Domem Ludowym [...]. Naliczono razem, jak pamiętam, 186 ciał. Pochowano je na miejscu we wspólnej mogile, na której ustawiono wielki dębowy krzyż. Spoczął tam również mój dziadek Sylwester Hermaszewski i pięć innych osób z rodziny Hermaszewskich.

Władysław Hermaszewski, „Masakra w Lipnikach"

Wyglądałem strasznie, byłem cały pomazany zakrzepłą krwią. Poparzone stopy pokryte były pęcherzami. Nie mogłem chodzić. Zdjąłem koszulę, podarłem ją na onuce i owinąłem nimi obolałe nogi. Spojrzałem na leżące wokół mnie trupy. Z większości oprawcy zdarli ubranie i buty. Tuż obok dogasającego budynku rozpoznałem głowę mojej starszej siostry Antoniny, której tułów został spalony na węgiel. Mimo bólu stóp zacząłem uciekać. Chciało mi się pić. Tuż przy domu Strażyca znajdowała się studnia. Zbliżyłem się do niej i chciałem zaczerpnąć wody, aby ugasić pragnienie. Studnia była pełna trupów. Pokuśtykałem więc na podwórze Strażyca w poszukiwaniu wody. Zbliżyłem się do stodoły. Wrota były otwarte. Tego, co zobaczyłem, nie sposób wyrazić. Tuż za klepiskiem leżeli zabici ludzie – mężczyźni, kobiety i dzieci. Z głębi rowu wydobywały się jeszcze jęki konających

Henryk Kloc, mieszkaniec Woli Ostrowieckiej, relacja zebrana przez dr. Leona Popka i opublikowana w książce „Ostrówki. Wołyńskie ludobójstwo"

Pragnąc godnego upamiętnienia ofiar tych smutnych – szczególnie dla narodu polskiego i ukraińskiego – wydarzeń, błagając Boga, by narody te wyciągnęły prawidłowe wnioski z historii [...], występujemy z inicjatywą odszukania w obwodzie wołyńskim wszystkich miejsc pochówku ofiar tych wydarzeń [...]. Naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest zadbanie o to, by nasi bracia i siostry, którzy zginęli i których szczątki pospiesznie czy niedbale przysypano ziemią, byli pochowani w należyty sposób na cmentarzach. Składając hołd każdej ofierze tych haniebnych wydarzeń naszej wspólnej historii, tylko w ten sposób możemy sprzyjać pojednaniu, zagojeniu dawnych ran i budowaniu dobrych relacji.

Apel bp. Witalija Skomarowskiego, rzymskokatolickiego biskupa diecezji łuckiej, który w 2016 r., w 73. rocznicę zbrodni wołyńskiej, zwrócił się do mieszkańców Wołynia o ujawnianie miejsc, w których znajdują się szczątki zamordowanych Polaków; adresatem apelu była także Rada Kościołów i Organizacji Religijnych obwodu wołyńskiego

Wybór relacji: P.W. i T.S.

eprasa.pl 8fdf5bce69

Członkowie UPA z okolic Równego

FOT. DOMENA PUBLICZNA/LITOPYS UPA

Wywiad / Z prof. Bohdanem Hudiem, ukraińskim historykiem badającym relacje między naszymi narodami

rozmawia Tomasz Stańczyk

Nie tylko nacjonalizm

– To, co się stało wtedy na Wołyniu, zasługuje na jednoznaczne i surowe potępienie ze strony Ukraińców. Dlatego już w 2003 r. grupa ukraińskich intelektualistów – 44 osoby, w tym ja – poprosiła o wybaczenie nie tylko tych Polaków, „których losy były zniweczone orężem ukraińskim", lecz także całe polskie społeczeństwo – mówi prof. Hud'

TOMASZ STAŃCZYK: W 1943 r. Ukraińska Powstańcza Armia, podburzywszy ukraińskich chłopów, dokonała masowych zbrodni na Polakach na Wołyniu. Było to dzieło ukraińskiego nacjonalizmu. Czy zgadza się pan z tak zarysowanym obrazem?

PROF. BOHDAN HUD': Jest to generalna narracja historiografii polskiej. Jako historyk ukraiński mogę się z nią częściowo zgodzić. A dlaczego częściowo? Widzę bowiem ważne kwestie, których w tej narracji nie ma. Niektórzy polscy historycy nie zauważają ich lub nawet odrzucają je.

Jakie to kwestie?

Myślę o specyfice Wołynia. Od rozbiorów Rzeczypospolitej praktycznie nie było tam ukraińskich wpływów, ukraińskiego odrodzenia narodowego. Na postawy Ukraińców na Wołyniu dominujący wpływ miała administracja rosyjska, a jeszcze w większym stopniu rosyjska Cerkiew prawosławna. W latach II Rzeczypospolitej na Wołyniu oddziaływanie OUN było bardzo słabe. Jak wspominał Danyło Szumuk (wtedy aktywny komunista, później w UPA), na początku lat 30. w więzieniu w Kowlu było ok. 200 więźniów politycznych,

eprasa.pl 8fdf5bce69

Wielki proces w Łucku

56 członków K.P.Z.U. na ławie oskarżonych

ŁUCK, 19.2 (PAT). — Rozpoczął się w Sądzie Okręgowym w Łucku wielki proces przeciwko 56 członkom C. K. W. komunistycznej partji „Zachodniej Ukrainy".

Przewodniczy wiceprezes sądu okręgowego No- [illegible] sędzia refe- [illegible] owolski. O- [illegible] hurski. Na [illegible] uracz, Bar- [illegible] ismann ze [illegible] ocki i Pre- [illegible] czep z Łucka. Pod względem narodowościowym na ławie oskarżonych zasiada 29 Ukraińców, 20 zadeklarowali się jako bezwyznaniowi. Oskarżenie opiera się na art. 97 i 98 k. k. Przewód sądowy rozpoczął się od sprawdzenia generaljów oskarżonych. Oskarżeni narodowości polskiej i żydowskiej demonstracyjnie odpowiadali w języku ukraińskim.

Przewodniczący, po licznych wypadkach przywołania do porządku, odebrał głos kilku oskarżonym za niewłaściwe zachowanie się wobec sądu, a niektórych wydalił z sali.

Na początku przerwy, około godz. 12-ej, gdy sąd wychodził z sali, oskarżeni, powstawszy z miejsc, usiłowali wśród śpiewu rozpocząć de-

Członkowie Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy zostali oskarżeni o zamach na niepodległość i integralność terytorialną Polski FOT. DOMENA PUBLICZNA

z czego tylko czterech nacjonalistów, reszta komuniści. To właśnie oni mieli ogromny wpływ na ukraińską ludność prawosławną. W latach 20. na Wołyniu dochodziło do ciągłych niepokojów, napadów zbrojnych inspirowanych przez Moskwę. Mało się wie o tym, że w 1925 r. miejscowi komuniści zakładali wymordowanie polskiej ludności Wołynia, co potwierdzają dokumenty policyjne. W 1932 r. stłumiono w powiece kowelskim komunistyczną ruchawkę, zapadło sześć wyroków śmierci. Silne wpływy OUN pojawiły się na Wołyniu dopiero w latach 1941–1942. A w 1943 r. ktoś z polskiego podziemia napisał do centrali w Warszawie, że Wołyń „nieprzeorany ukraińską pracą polityczną" ma skłonności do anarchii.

Rozumiem, że komuniści chcieli wymordować polskich urzędników, wojskowych, ziemian. Jednak mieliby mordować polskich chłopów, swoich sojuszników klasowych?

Tę sprawę dobrze wytłumaczył prof. Włodzimierz Mędrzecki. Dla komunistów, dla chłopa prawosławnego, polski chłop był częścią „pańskiego polskiego świata", ponieważ akceptował państwo polskie, uważał je za swoje. Dlatego uznano, że należy niszczyć także polskich chłopów.

Jednak ukraińscy nacjonaliści także myśleli przed drugą wojną światową o drastycznej depolonizacji Wołynia.

Profesor Grzegorz Motyka uważa, że autorem planu wyniszczenia Polaków był Mychajło Kołodziński – zresztą syn Polaka, jego matka była Ukrainką – autor wojskowej doktryny OUN z 1938 r. Profesor Motyka cytuje Kołodzińskiego, który według niego miał pisać: „Proszę się nie przejmować, że wymordujemy trzy i pół miliona Żydów i ponad milion Polaków". Czyli miałby mieć na myśli totalną eksterminację. W rzeczywistości Kołodziński pisał tak: „Nie trzeba myśleć/uważać, że zniszczy się 3,5 mln Żydów czy milon Polaków [...]. Z upływem czasu [...] powstanie zamieni się na wojnę i okrucieństwo zmniejszy się". Uważał natomiast, że zabić należy tych, którzy z bronią w ręku przeciwstawiliby się ukraińskim nacjonalistom, pozostałych zaś zmusić do ucieczki „za Wisłę". Chodziło mu raczej o czystkę etniczną zachodnich ziem ukraińskich. Doktryna Kołodzińskiego nie została jednak oficjalnie przyjęta przez OUN, kwestią otwartą pozostaje także to, jaki wpływ miała na jego czołowych działaczy.

Grunt pod zbrodnię wołyńską był przygotowany jednak także przez działalność Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy?

W znacznym stopniu tak, ale nie tylko przez nią. To także sprawa czasów wcześniejszych. Na przykład w latach 1917–1918 doszło do zniszczenia „ziemiańskiej Arkadii", czyli pogromu polskich dworów, połączonego również z zabójstwami ich właścicieli. Ukraińscy chłopi na Wołyniu także brali w tym udział.

Jednak tzw. pożoga – to tytuł książki Zofii Kossak, naocznego świadka – objęła ziemie położone na wschód od Wołynia: Podole, Kijowszczyznę.

Wydarzenia te miały miejsce również na wschodnim Wołyniu, na zachodnim może w mniejszym stopniu. Przypomnę zamordowanie księcia Romana Sanguszki w Sławucie w 1917 r. W najściu na pałac, podczas którego Sanguszko zginął, brali udział nie tylko zbolszewizowani żołnierze, lecz także miejscowi chłopi. Podczas wojny Polski i Ukrainy z Rosją bolszewicką w 1920 r. w okolicach Brodów trwały walki toczone przez Armię Konną Budionnego. Jej piechota składała się z miejscowych chłopów wołyńskich. Tak zawzięcie walczyli z Polakami, że zadziwili nawet doświadczonych budionnowców. Jak pisał Isaak Babel, ci chłopi byli pełni nienawiści do „polskich panów". A w tym samym czasie napadali także na tabory armii Ukraińskiej Republiki Ludowej (sic!).

Mychajło Kołodziński, jeden z ideologów OUN, autor koncepcji czystki etnicznej FOT. WIKIPEDIA

Gdy zawarto traktat ryski, ukraińska ludność Wołynia nie chciała być w państwie polskim. Polscy urzędnicy informowali Warszawę, że starsze pokolenie chłopów wołyńskich „tęskni do cara", młodszym „uśmiechają się porządki bolszewickie". Wprawdzie cara już nie było, ale chciano powrotu Rosji. A parę lat wcześniej, w 1915 r., przyjechał na Wołyń Dmytro Witowski i namawiał Ukraińców, by wstępowali w szeregi Strzelców Siczowych. Usłyszał w odpowiedzi: „Byłoby dobrze, żeby Rosja wróciła, wtedy ziemi byłoby więcej i wódka by potaniała".

Wołyń więc był jednoznacznie terenem prorosyjskim. Tam oraz na Podolu i Kijowszczyźnie przed pierwszą wojną światową działało 500 tys. bojówkarzy Sojuza Russkogo Naroda (Czarnej Sotni). Celem tej organizacji była eksterminacja „obcych". Chłopi ukraińscy szli do Czarnej Sotni ochoczo, gdyż głosiła ona hasło odebrania ziemi innowiercom, czyli Pola-

eprasa.pl 8fdf5bce69

kom i Żydom, i przekazanie jej ludności prawosławnej. W latach drugiej wojny światowej wołyńscy chłopi wspominali swój udział w pogromach lat 1917–1918, gotowi byli je powtórzyć i powtarzali. Czytamy o tym we wspomnieniach „Między Horyniem a Słuczą" Zofii Grzesiakowej, Żydówki z Wołynia. Przemoc zaś uznano za skuteczny sposób walki o ziemię, którą chciano odebrać Polakom: ziemianom, osadnikom, a także chłopom.

Notabene, gdy we wrześniu 1939 r. na Wołyń wkroczyła Armia Czerwona, ukraińscy chłopi budowali dla czerwonoarmistów łuki triumfalne. Zaraz też zaczęła się wzmożona agitacja sowiecka przeciw „pańskiej Polsce", która doprowadziła do wzrostu napięcia między Ukraińcami i Polakami. II RP – ku zadowoleniu wołyńskich chłopów prawosławnych – odchodziła w przeszłość, a ostatnim, co zrobiła – i co bardzo pamiętano – było niszczenie cerkwi prawosławnych i tzw. rewindykacja dusz, czyli akcja repolonizacyjna.

To się jednak działo na Chełmszczyźnie, po drugiej stronie Bugu, nie na Wołyniu.

Jednak wieści o tym, jak pisał Jerzy Stempowski, szybko przedostały się na Wołyń. W przepełnionym soborze św. Włodzimierza we Włodzimierzu Wołyńskim eseista zobaczył oczy masy fanatyków, którzy gotowi byli oddać życie za swoją wiarę. To niszczenie cerkwi wielokrotnie było wykorzystane w antypolskiej agitacji i miało swoje konsekwencje również w roku 1943.

Gdy skończyła się sowiecka władza na Wołyniu, Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów zyskała znacznie większą możliwość oddziaływania na miejscową ludność. Może więc starczyły niespełna dwa lata, by podburzyć ją przeciw Polakom, pchnąć do mordów na nich?

Antypolska agitacja nacjonalistów rzeczywiście była – padła jednak, jak mówiłem, na bardzo podatny grunt, przygotowany w dużej mierze przez wydarzenia lat 1917–1918, czarnosecińców, bolszewików, komunistów oraz sowieckie lata 1939–1941. Chcę przy okazji wyjaśnić pewną rzecz. Historycy polscy za początek masowych mordów uznają zbrodnię w Parośli, przypisując ją banderowskiej UPA. Jednak w powiecie sarneńskim środowisko wiejskie składało się ze zwolenników „najwyższego czynownika" Tarasa Borowcia „Bulby". Zofia Grzesiakowa świadczy, że mordu w Parośli dokonali znani jej osobiście bulbowcy. Ponadto nie była to regularna sotnia, tylko parobcy z okolicznych wsi zmobilizowani na ćwiczenia. Ta zbrodnia miała zarówno charakter antypolski, jak i rabunkowy. Polacy z Parośli mieli bowiem ziemię, mieli bydło, było czym się obłowić. Nie widzę więc w tej zbrodni nic wspólnego z antypolską akcją UPA Bandery. Dodam, że Ewa i Władysław Siemaszkowie również uważają, iż mieszkańców Parośli wymordowali bulbowcy.

Jeśli nie mord w Parośli w lutym 1943 r. był początkiem antypolskiej akcji banderowskiego UPA, to kiedy się ona zaczęła?

W raporcie „Sprawa ukraińska", przeznaczonym dla władz Polskiego Państwa Podziemnego (wydrukował go Jerzy Giedroyc w „Zeszytach Historycznych" nr 71), anonimowy autor zauważa, że antypolska akcja zaczęła się po konflikcie między władzami sowieckimi a polskim rządem na uchodźstwie. 25 lutego 1943 r. polski rząd oświadczył, że będzie współpracował z Sowietami w ramach koalicji antyniemieckiej, ale jednocześnie uważa granicę sprzed 1 września 1939 r. za nienaruszalną. Moskwa odpowiedziała, że Polacy są imperialistami i trzeba przed nimi bronić „braci Ukraińców".

Krzyż upamiętniający Dmytra Klaczkiwskiego („Kłyma Sawura"), dowódcę UPA na Wołyniu

FOT. WIKIPEDIA/GOLBE UA

I po tym, zdaniem autora wspomnianego raportu, od początku marca zaczęły się masowe mordy.

Miałby z tego wypływać wniosek, że zbrodnia wołyńska była inspirowana z Moskwy, która postanowiła zniszczyć Polaków na Wołyniu rękami UPA?

Z całym przekonaniem nie mogę tak stwierdzić. To jest sugestia, mniemanie autora „Sprawy ukraińskiej". Nie ma jednak wątpliwości, że miała miejsce bardzo duża infiltracja OUN-UPA przez agenturę sowiecką. W Porycku (dziś Pawliwce) zamordowano w kościele 200 Polaków. Dowódcą odpowiedzialnego za tę zbrodnię oddziału UPA był sotenny Wasyl Łewoczko. Później widziano Łewoczkę w mundurze NKWD straży granicznej. W 1945 r. został zlikwidowany przez UPA w okolicach Hrubieszowa jako zdrajca. Łewoczko nie był jedyny. Do UPA trafiło sporo sowieckich oficerów, zbiegów z niemieckiej niewoli. Niektórzy stanęli na czele UP-owskich jednostek, będąc jednocześnie agentami NKWD. O spotkaniach NKWD-zistów ze swoimi agentami w UPA zimą 1943 r. w Krzemieńcu na Wołyniu opowiadali mi Polacy ze stowarzyszenia krzemienieckiego w Warszawie. Niemieckie dokumenty mówią o oddziałach UPA, które nawet nie podejrzewały, że są kontrolowane przez Sowietów.

Dmytro Klaczkiwski („Kłym Sawur"), dowódca UPA na Wołyniu w 1943 r., został schwytany przez Sowietów w 1941 r. i skazany na karę śmierci, zamienioną na 10 lat pozbawienia wolności. W niejasnych okolicznościach uciekł z więzienia w Berdyczowie. Możemy budować różne domniemania. Był sowieckim agentem czy też nim nie był? Zginął zresztą później w starciu z NKWD, może jako niewygodny świadek. Pamiętajmy także o dezercji ukraińskiej policji pomocniczej w służbie niemieckiej. Ci ludzie byli już oswojeni z zabijaniem, brali udział u boku Niemców w eksterminacji Żydów. Według dokumentów polskich szedł do niej najgorszy element, znienawidzony przez wszystkich mieszkańców Wołynia bez względu na narodowość. Część jej członków była przedtem w sowieckiej milicji. Przez nich Sowieci też mogli wpływać na działania antypolskie. O skali wpływów sowieckich w UPA świadczy fragment polskiego raportu z Wołynia 11 kwietnia

eprasa.pl 8fdf5bce69

Polacy zamordowani przez oddział UPA w Lipnikach, marzec 1943 r. FOT. WIKIPEDIA

1944 r.: „W marcu nastąpił rozkład UPA krzemienieckiej: odeszły elementy prosowieckie (sic! – B.H.), reszta porozumiała się z Niemcami i odeszła na zachód".

Infiltracja OUN-UPA przez agenturę sowiecką nie oznacza przecież, że jeśli chodzi o zbrodnię wołyńską, to nacjonaliści ukraińscy stanowili jedynie ślepe i nieświadome narzędzie Moskwy. Ukraińscy nacjonaliści nie mogli nie wiedzieć o tym oświadczeniu polskiego rządu. Utwierdzili się w przekonaniu, że chce on, by Wołyń był w granicach Rzeczypospolitej, i dlatego rozpoczęli antypolską akcję. Nie potrzebowali wcale inspiracji sowieckiej. Im, tak samo jak Moskwie, zależało na depolonizacji Wołynia!

Oczywiście, że UPA była samodzielną siłą! Odpowiedź na to, czy – i do jakiego stopnia – moskiewska agentura wpłynęła na decyzję o podjęciu przez OUN-UPA antypolskiej akcji, leży w rosyjskich archiwach. Są one jednak dziś niedostępne, szczególnie dla historyków z Ukrainy i Polski. Niemniej i OUN, i UPA ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie na Wołyniu, a hipoteza inspiracji z Moskwy ich nie usprawiedliwia. Faktem jest natomiast to, że i Sowietom, i OUN-owcom, i chłopom chodziło o wspólny cel – oczyszczenie terenu z Polaków. Sowietom chodziło o likwidację kwestii granicy z 1 września 1939 r., OUN-B marzyła o Wołyniu jako części „samostijnej Ukrainy". Chłopi natomiast pragnęli zdobyć dla siebie i potomnych „kawałek lepszej ziemi bliżej do wsi" i buty dla dziecka, tzn. zabrać je siłą od Polaków. Różne motywacje sprowadzały się do brutalnego rozumowania: gdy nie będzie ludności polskiej na Wołyniu, to zainteresowane strony osiągną swój cel.

Wszyscy byli zainteresowani depolonizacją Wołynia, ale to UPA ją rozpoczęła.

Wasyl Kuk, ostatni dowódca UPA, twierdził w 2006 r., że masowe mordy zaczęła nie UPA, ale rozpoczęli je spontanicznie chłopi. Według raportów polskich pierwsze mordy na osobach narodowości polskiej, zatrudnionych w rolnictwie, miały miejsce już w listopadzie 1942–lutym 1943 r. Wiadomo, że w tym czasie wieśniacy byli bardziej pod wpływem agitacji komunistycznej niż nacjonalistycznej. Według Kuka UPA musiała się do nich przyłączyć, by nie zostać zepchnięta na polityczny margines. W 1943 r. wydała też dekret o ziemi, przewidujący wywłaszczenie z niej Polaków. Dodam, że kpt. Wincenty Romanowski, dowódca zdołbunowskiego obwodu AK, wspominał (znacznie wcześniej od Kuka, bo w 1990 r.), że wiosną 1943 r. niejeden chłop ukraiński – a chodziło mu o wiele tysięcy osób – wyszedł ze swojej zagrody nie z garścią ziarna, lecz z nożem zaciśniętym w dłoni. Może dlatego, że nadarzyła się okazja, by się zemścić – pod wpływem agitacji i komunistycznej, i nacjonalistycznej – za rzeczywiste lub urojone krzywdy, których doznał w „pańskiej" Polsce.

Jednak to, co mówił Wasyl Kuk, jest próbą przynajmniej częściowego zdjęcia winy z UPA, z ideologii nacjonalizmu ukraińskiego za zbrodnię wołyńską i podzielenia się nią z chłopstwem. Przecież to UPA była główną siłą napędową tej zbrodni.

Według raportów konspiracji polskiej na polskie wsie napadali i sami chłopi (ludność polska była masakrowana przez "bandy chłopskie") i UPA wraz z chłopami, i wreszcie same oddziały UPA, bez udziału miejscowej ludności. Zaprzeczać natomiast sprawczej i organizacyjnej roli OUN i UPA nie ma sensu. O czynnym udziale oddziałów UPA, Służby Bezpieczeństwa OUN w antypolskich akcjach czytamy w licznych ukraińskich dokumentach i relacjach świadków. Długoletni członek OUN Jewhen Stachiw podkreślał niejednokrotnie, że mordy na ludności polskiej to ciemna karta w walce UPA o niepodległość Ukrainy. Jednocześnie sprawę przyczyn zbrodni wołyńskiej, jej przebiegu oraz inspiratorów należy wciąż badać, by nie było podobnego nieporozumienia jak z Paroślą czy ze słowami Mychajła Kołodzińskiego.

Jak społeczeństwo ukraińskie odnosi się dziś do rzezi wołyńskich?

W społeczeństwie i wśród historyków ukraińskich nie ma jednolitych poglądów. Jedni dość jednoznacznie potępiają czyny UPA, drudzy uważają, że nie było zbrodni UPA, była natomiast w 1943 r. druga wojna polsko-ukraińska (pierwsza to wojna o Lwów i Galicję Wschodnią, 1918–1919), a na wojnie padają ofiary z obu stron.

Ja osobiście powtarzam za wybitnym ukraińskim historykiem, prof. Jarosławem Daszkewyczem, że to, co się stało wtedy na Wołyniu, zasługuje na jednoznaczne i surowe potępienie ze strony Ukraińców. Dlatego już w 2003 r. grupa ukraińskich intelektualistów – 44 osoby, w tym ja – poprosiła o wybaczenia nie tylko tych Polaków, „których losy były zniweczone orężem ukraińskim", lecz także całe polskie społeczeństwo. Niestety, w Polsce nie zostało to chyba zauważone i docenione. Mam cichą nadzieję, że przyczyną był brak informacji, a nie to – jak z goryczą ujął Adam Eberhardt, były dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich – że „osoby, którym Ukraina kojarzy się jedynie z Wołyniem i które przy każdej okazji domagają się przeprosin, żadnymi przeprosinami się nie zadowolą".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bogdan Hud' – profesor Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki we Lwowie. Specjalista w zakresie konfliktów i relacji ukraińsko-polskich w XIX i XX w. Autor książek „Trudna droga do porozumienia", „Ukraińcy – Polacy: kto zawinił?", „Ukraińcy i Polacy na Naddnieprzu, Wołyniu i w Galicji Wschodniej w XIX i pierwszej połowie XX wieku", „Od unii lubelskiej do umowy warszawskiej". Był członkiem Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa i Polsko-Ukraińskiego Forum Historyków.

eprasa.pl 8fdf5bce69

XVII w. / Konflikt dwóch magnatów

Zborowski bez głowy

Władysław Łuszczkiewicz „Ścięcie Samuela Zborowskiego"

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

eprasa.pl 8fdf5bce69

Leszek Lubicki

Gdy Zamoyski zapytał króla, czy może ściąć Samuela Zborowskiego, ten miał tylko powiedzieć: „Zabij psa, a przestanie kąsać". Słowa monarchy były przez hetmana odczytane jako zgoda na wykonanie egzekucji

Zarzucano hetmanowi, że to była jego osobista zemsta na bardzo wpływowym rodzie Zborowskich, których wprost nienawidził. Coś było jednak na rzeczy. Możemy nawet powiedzieć, że to pewnego rodzaju samowola Zamoyskiego. Ale czy do końca? Nie wydaje się jednak, aby magnat ten podjął tak ważną decyzję bez konsultacji z królem, gdyż wiadomo było, że Zborowscy popierali Batorego w czasie elekcji i byli potężnym małopolskim rodem. Jednak cicha zgoda Batorego wystarczyła. Ścięto zatem nieszczęśnikowi głowę, a do tego jeszcze kat był mało wprawny. Ciął tak, że głowa trzy razy potoczyła się po bruku dziedzińca zamku wawelskiego. W filmie dokumentalnym „Gra o koronę" (TVP, 2021) możemy obejrzeć, jak po egzekucji Zborowscy zrobili specjalną trumnę, gdzie za szybą widoczna była głowa Samuela przyszyta wcześniej do ciała, i obwozili ją po Małopolsce. Przy trumnie płakał mały synek banity. Wyrok wywołał wzburzenie wśród szlachty, a Zborowscy rozpętali kampanię propagandową przeciwko Zamoyskiemu, którego wcześniejsza popularność pośród szlachty zaczęła słabnąć.

Dekadę wcześniej

Działo się to w dziewiątym roku panowania Stefana Batorego, a zatem dwa i pół roku przed jego śmiercią. Hetman i kanclerz wielki koronny w jednym

Andrzej Wapowski zabity przez Samuela Zborowskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Jan Zamoyski to wówczas najpotężniejszy po królu człowiek w Polsce. Ożenił się z królewską bratanicą – Gryzeldą Batorówną. Można nawet powiedzieć, że był wtedy już „wicekrólem". Zaczynał jednak skromnie od posiadania tylko czterech wsi. Gdy kończył swoją ziemską karierę, miał ich na własność 800, a także 23 miasta. Tak potężny majątek zyskał w służbie Rzeczypospolitej. No i stworzył cudowne miasto – Zamość.

Całe zamieszanie z Samuelem zaczęło się jednak 10 lat wcześniej, w czasie koronacji Henryka Walezego na wawelskim zamku w 1574 r. Jak doszło do tego, że członek tak potężnego rodu stał się ściganym banitą? Mamy tu małe różnice w opisie sytuacji, niemniej jednak jej rezultat podawany jest już zdecydowanie jednoznacznie. Dlatego na potrzeby tego tekstu przedstawimy opis wydarzenia podany przez prof. Macieja Serwańskiego.

„W trakcie turnieju rycerskiego uświetniającego koronację na dziedzińcu zamku wawelskiego Zborowski wezwał do walki o zdrowie króla »równego sobie szlachcica«. Tymczasem wezwanie podjął sługa kasztelana wojnickiego Jana Tęczyńskiego, niejaki Janusz Chorwat. Zborowski uznał to za zniewagę i wezwał na pojedynek jego pana, choć Tęczyński twierdził, że sługa zrobił to bez jego wiedzy. Najpierw potykał się ów Chorwat ze szlachcicem ze świty Zborowskiego i powalił go na ziemię. Krewkiego magnata jeszcze bardziej to rozwścieczyło. Zborowski z czekanem w dłoni ruszył

eprasa.pl 8fdf5bce69

do zwycięzcy, ale został powstrzymany przez rycerstwo. Wkrótce jednak po tym wydarzeniu natknął się na Tęczyńskiego i winiąc go za swe upokorzenie, rzucił się w jego kierunku. Zwaśnionych próbował rozdzielić kasztelan przemyski Andrzej Wapowski, którego podczas szamotaniny Zborowski uderzył obuchem czekana w głowę. Początkowo wydawało się, że rana jest powierzchowna, ale po tygodniu Wapowski zmarł" („Władcy Polski", 2018).

Nie został zatem Wapowski usieczon na miejscu, tylko ranny, i to niezbyt ciężko. Po tym wydarzeniu jednak „stary zrzęda chodził, perorował, pozował na bohatera i grzmiał przeciw Samuelowi, żądając jego ukarania, zamiast od razu zatamować krew i przyłożyć pajęczynę" (Grzybowski, 1985). No i tak „wyperorował", że wdarło się zakażenie, bo bród i smród po takim turnieju musiał być okrutny, i w rezultacie po kilku dniach z biedaka uszło życie. Wówczas, kiedy szlachcic bez powodu zabijał szlachcica pod bokiem króla, i to dodatkowo w czasie tak ważnym jak koronacja, kara mogła być tylko jedna: danie gardła.

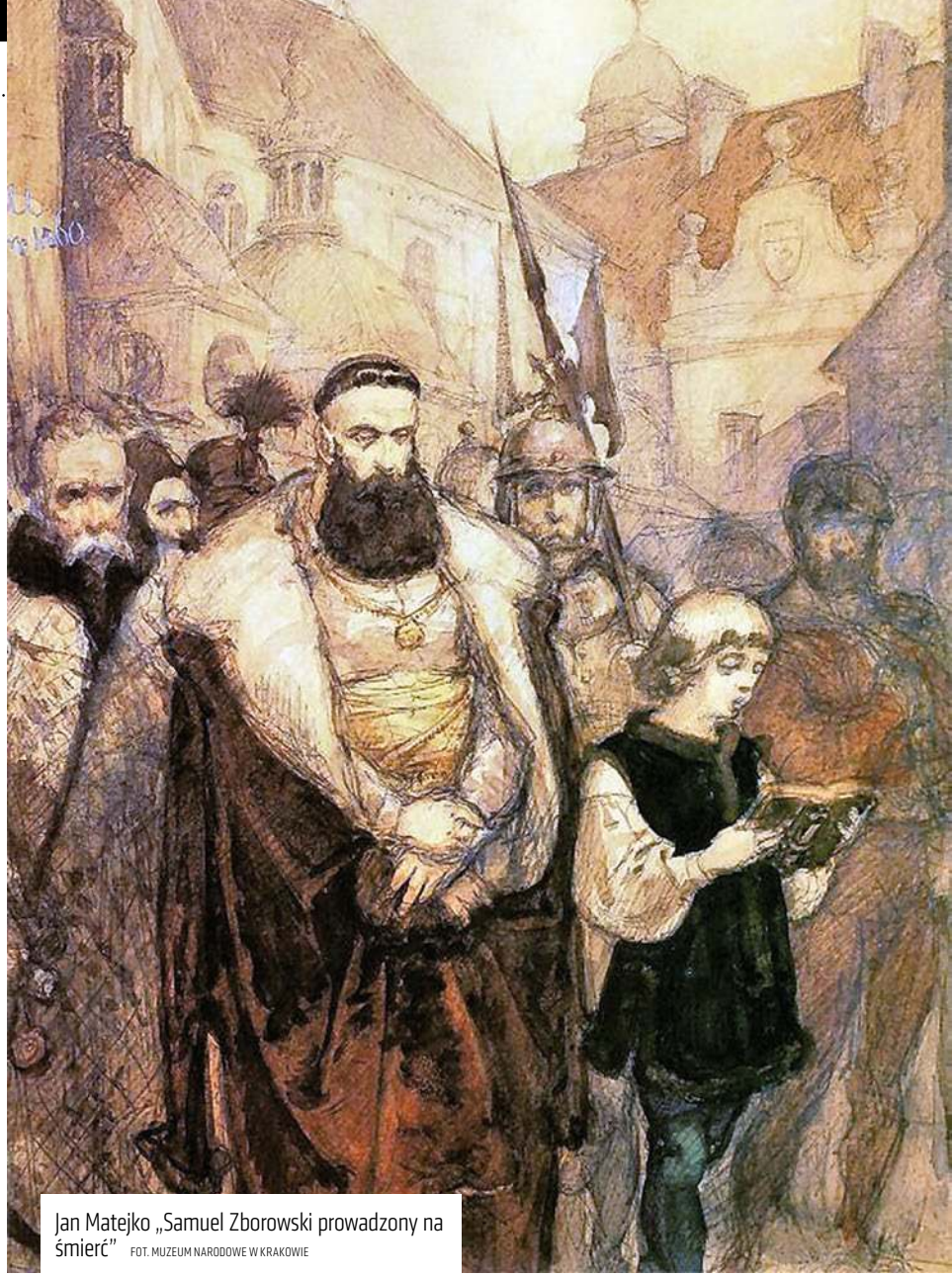

Jan Matejko „Samuel Zborowski prowadzony na śmierć" FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Królewska decyzja

Ród Zborowskich w całości był zaangażowany w popieranie Henryka Walezego, czym zaskarbił sobie jego względy. Jednak Samuel nie mógł przewidzieć, czy mimo to nie zostanie skazany na śmierć, jaką to karę powinien otrzymać zgodnie z obowiązującym prawem. Zborowski nie czekał na rozpoczęcie „postępowania sądowego" i ogłoszenie wyroku. Spakował manatki i uciekł do Siedmiogrodu, do Stefana Batorego. Powinien zatem w myśl prawa być skazany na wygnanie, utratę czci i mienia. Po takim wyroku każdy, kto ujrzałby w kraju skazańca, powinien go pochwycić i zabić beż żadnych już ceregieli. Henryk Walezy jednak nie postąpił tak, jak powinien był uczynić, i spojrzał łaskawie na całą sytuację. „W danym wypadku orzeczono wygnanie bez utraty czci. […] Tego rodzaju wyrok wywołał głośne pomruki. Henryk stanowczo przesadził w protegowaniu rodu, który podczas elekcji popierał jego kandydaturę, a teraz dyskontował swe zasługi" (Jasienica, 1986).

Niektórzy jednak uznawali wyrok za sprawiedliwy, ponieważ uważano, że Samuel, owszem, popełnił zabójstwo, ale przypadkiem i z porywczości. Stare porzekadło mówi, że „co się odwlecze, to nie uciecze". W tym wypadku sprawdziło się w całości po 10 latach, w maju roku 1584. Ród Zborowskich liczył, że za popieranie księcia Siedmiogrodu na króla Polski doczeka się łask i wielkich zaszczytów, a pokazano mu figę i zepchnięto na margines. „Znakomita większość śmiertelników uważa, że skoro głosowała na kogoś, to tym samym zyskała prawo domagania się natychmiastowej zapłaty w postaci takiej czy innej protekcji. […] Bezinteresowność zalicza się do cnót rzadkich, zwłaszcza we wszelkim działaniu politycznym" (Jasienica, 1986).

Najbardziej jednak na ułaskawienie liczył Samuel. Gdy Batory prowadził wojnę z Moskwą, wsławił się tam wielką odwagą, walczył dzielnie i liczył, że król weźmie pod uwagę jego wojenne zasługi i przywróci mu pełnię praw. Jednak tak się nie stało i w dalszym ciągu nie mógł przebywać na terenie Rzeczypospolitej. Zamiast jednak zacząć się prowadzić honorowo i liczyć na królewskie wybaczenie, ponoć knuł z bratem Krzysztofem przeciwko monarsze, a także łupił przygraniczne tureckie obszary, co było wbrew polityce Batorego pragnącego pokoju z sułtanem. Nie było w nim za grosz pokory. Pisarz Jacek Komuda w jednym

eprasa.pl 8fdf5bce69

z cyklicznych felietonów zamieszczanych na łamach tygodnika „Do Rzeczy" określił Samuela tępym, ponurym i brutalnym magnatem przywołującym na myśl najgorsze postacie z „Gry o tron".

Samuel pochwycony i stracony

Opowieść tę ilustrujemy obrazem Władysława Łuszczkiewicza „Ścięcie Samuela Zborowskiego" (1854). Malarz zastosował tutaj najważniejszą bodaj zasadę malarstwa historycznego, wybierając „owocny moment", czyli taki, kiedy nie wszystko jeszcze zostało rozstrzygnięte, a akcja zmierza wyraźnie do zakończenia. Samego ścięcia głowy nie widzimy, gdyż „obraz tematyczny musi być przede wszystkim komunikatywny w sferze emocji" (Poprzęcka, 1986). To, co koncentruje uwagę widza, to kat stojący z egzekucyjnym mieczem i klęczący skazaniec. Akcja została przez artystę zawieszona właśnie przed momentem kulminacyjnym, czyli samym ścięciem głowy banicie. On jeszcze żyje, ale moment egzekucji jest już nieodwracalny. Jako ciekawostkę możemy podać – jak pisze Aleksandra Krypczyk-De Barra z Muzeum Narodowego w Krakowie, które jest właścicielem tego malowidła – że „obraz uchodzi za dzieło, które miało zainspirować Jana Matejkę do podjęcia tematyki związanej z narodową historią". Jan Matejko ok. 1860 r. namaluje dwie akwarele odwołujące się do tego historycznego wydarzenia, a mianowicie „Jan Zamoyski idący obwieścić wyrok śmierci Zborowskiemu" oraz „Samuel Zborowski prowadzony na śmierć" (obydwa w zbiorach Domu Jana Matejki).

Jednak zanim miała spaść głowa Samuela od toporu, trzeba było go pochwycić. Dziesięć lat banita błąkał się po świecie, a na koniec „naigrywając się z wyroku, butnie i szumnie odważył się po całym kraju uwijać" (Bobrzyński, 1974). „Niewątpliwie miał Zamoyski informatorów nieujawnionych […], a ludzie kanclerza czuwali i donosili. Pętla wokół zapalczywego rotmistrza zaciskała się coraz szczelniej. […] Wiosną 1584 Samuel opuścił rodzinny Zborów, gdzie przebywał nieniepokojony. Nie krył, że przez Kraków chce ruszyć do Włoch, opuszczając na zawsze Polskę […]. Kanclerz uprzedzał podobno […], że nie dopuści do pobytu banity na terytorium podległym jego jurysdykcji" (Grzybowski, 1994).

Akcja została przez artystę zawieszona właśnie przed momentem kulminacyjnym, czyli samym ścięciem głowy banicie

Możemy się tylko domyślać, że ten „tępy magnat" nie miał zbyt wiele wyobraźni, czując się bezkarny nawet na obszarze, na którym przebywać mu nie było wolno. Tym bardziej w Małopolsce, pod „nosem" hetmana. Być może nie zdawał sobie sprawy, że po tylu latach od wyroku nadal zawzięty na jego osobę człowiek czyha na jego błąd. Samuel „odwiedził z pożegnalną wizytą brata Andrzeja w Sandomierzu, a stamtąd z typową dla siebie brawurą ruszył na południe. […] Kanclerz wykorzystał okazję i wysłał po Samuela oddział, ze Stanisławem Żółkiewskim na czele. Zamoyski miał prawo, jako starosta, schwytać banitę. Ale karać go śmiercią nie miał żadnego prawa. Tu decyzja należała wyłącznie do króla. Kanclerz przedstawił jednak taką wersję zdarzeń, jakoby tę decyzję podjął Batory" (Nowak, 2021).

Samuel Zborowski FOT. BIBILOTEKA NARODOWA

Król jednak w tym czasie przebywał w Grodnie. Jak spojrzymy na daty, 13 maja zatrzymanie Zborowskiego i 26 maja egzekucja, to trudno sobie wyobrazić, aby w owych czasach wiadomość doszła do króla i wróciła do Krakowa. Chyba że gońcy już wcześniej udali się do Grodna po zgodę króla, gdyż Zamoyski niejako antycypował ujęcie Samuela. Wtedy to miały ponoć paść z ust Batorego owe słowa (obecnie różnie zapisywane): „Zdechły pies nie kąsa". Wyrok wykonano pod słynną bramą Lubranką na Wawelu o świcie 26 maja 1584 r. Przed samą egzekucją Zamoyski prosił Samuela, aby mu wybaczył. Ten miał odpowiedzieć: „Odpuszczam na tej ziemi, ale cię pozywam na straszliwy sąd Boga Najwyższego – ten nas rozsądzi" (Dzierzkowski, 1900).

Po nagłej i niespodziewanej śmierci Stefana Batorego dwa i pół roku po ścięciu Samuela musiała w Polsce nastąpić kolejna elekcja. Wdowa po królu, Anna Jagiellonka, forsowała na tron swojego siostrzeńca Zygmunta, syna jej siostry Katarzyny Jagiellonki i szwedzkiego króla Jana III Wazy. Przeciwnicy elekcji szwedzkiego królewicza skupieni wokół rodu Zborowskich wysuwali na władcę Polski Habsburga Maksymiliana. Stał przy Annie twardo, tak samo jak przy jej mężu, królu Stefanie, Jan Zamoyski. I znowu ograł Zborowskich. Ale to już całkiem inna historia, którą być może opowiemy niedługo na łamach naszego miesięcznika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura:
Bobrzyński M., „Dzieje Polski w zarysie", Warszawa 1987. **Dzierzkowski J., „Samuel Zborowski"**, Kraków 1900. **Grzybowski S., „Henryk Walezy"**, Wrocław 1985. **Grzybowski S., „Jan Zamoyski"**, Warszawa 1994. **Jasienica P., „Rzeczpospolita Obojga Narodów"**, Warszawa 1986. **Maciorowski M., Maciejewska M., „Władcy Polski"**, Warszawa 2018. **Nowak A., „Dzieje Polski", T. 5**, Kraków 2021. **Poprzęcka M., „Czas wyobrażony"**, Warszawa 1986.

eprasa.pl 8fdf5bce69

Wywiad / Z ks. prof. Józefem Mareckim, historykiem i archiwistą, redaktorem edycji źródłowej serii „Świadek dziejów narodu”

rozmawia Radosław Wojtas

FOT. NAC

Książę Niezłomny wychodzi z cienia

RADOSŁAW WOJTAS: Przed naszą rozmową zrobiłem mały eksperyment. Spytałem kilka osób w wieku studenckim, czy kojarzą nazwiska paru polskich duchownych. Wojtyła, Wyszyński, Popiełuszko – ich młode pokolenie jeszcze kojarzy. A Sapieha? Słyszeli, gdzieś tam dzwoni, ale nie są pewni w którym – nomen omen – kościele. Dlaczego?

KS. PROF. JÓZEF MARECKI: Odpowiedź na to pytanie należy rozłożyć na kilka czynników. Po pierwsze, należy pamiętać, że kard. Adam Sapieha był arystokratą. A w latach 50., 60. i kolejnych o arystokracji albo nie mówiono w ogóle, albo mówiono o niej wyłącznie źle. Komuniści wtłaczali ludziom do głów, że wszystko, co złe, jest dziełem arystokracji, ziemiaństwa, obszarników, którzy krzywdzili chłopów i robotników. Arystokratom odebrano majątki, a wnętrza ich pałaców pokazywano jako „dowód” na to, w jak wielkim przepychu żyli ci, którzy „bogacili się ludzką krwią i wyzyskiem”. Taką narrację podjęli także nauczyciele, którzy w tym duchu kształcili dzieci.

Po drugie, kard. Sapieha był hierarchą kościelnym, który coś sobą reprezentował. Komuniści się go bali – jego wpływów, jego niezłomności, jego stanowczości. Pamiętajmy o wspaniałej działalności charytatywnej, którą Sapieha prowadził jeszcze od czasów sprzed pierwszej wojny światowej. Ona malowała obraz nie tylko wielkiego hierarchy, duszpasterza, lecz także jałmużnika, który czynił dzieła miłosierdzia na wzór pierwotnego Kościoła – na wzór apostołów i wielu świętych, którzy rozdawali całe swe majątki ubogim. To też powód, dla którego był szczególnie nielubiany przez komunistów.

I wreszcie po trzecie – krótko po śmierci Adama Sapiehy w archidiecezji krakowskiej i w Kościele w Polsce wyrasta inna postać, która staje się numerem jeden.

Karol Wojtyła.

Tak.

Jeden gigant przyćmił innego giganta?

Dokładnie. Wojtyła zupełnie tego nie chciał, ale jednak wyparł całkowicie Sapiehę, wchodząc nieświadomie w jego miejsce. Taki jest czasem bieg historii – uczeń przerósł mistrza. Ja na to patrzę przez pryzmat wiary i działania Boga. Kościół katolicki w Polsce zaczął żyć

eprasa.pl 8fdf5bce69

innymi sprawami; po 1978 r. Wojtyła był polskiemu Kościołowi, polskiemu narodowi bardziej potrzebny niż Sapieha. I dopiero gdy zakończyła się ziemska wędrówka Jana Pawła II, postanowiłem wynieść ponownie na forum publiczne osobę Adama Sapiehy. Jest z Księciem Niezłomnym trochę tak, jak z królową Jadwigą, o której Jan Paweł II, wynosząc ją na ołtarze, mówił: „Długo czekałaś, Jadwigo". I Sapieha musiał długo czekać na swoją kolej. Ale ona nadeszła. Teraz jest czas, by go przybliżyć.

Obie te postaci wiele łączy – w końcu to nauczyciel i mistrz – ale są i zasadnicze różnice. Choćby taka, że Sapieha nie miał takiego talentu oratorskiego.

To prawda, Sapieha nie był tak porywającym mówcą jak Wojtyła. Doskonale radził sobie w rozmowach przy stole, miał niebywałą pamięć odnośnie do wyrażeń, zwrotów, słów używanych przez jego interlokutorów. Jego kazania były natomiast krótkie i treściwe. Były to raczej homilie, najczęściej odnosił się bowiem do konkretnych fragmentów Ewangelii i je omawiał albo skupiał się na konkretnym przykazaniu czy prawdzie wiary. Jako młody kapłan nie miał zresztą zbyt wielu okazji do głoszenia kazań. On raczej głosił konferencje i w tym był dobry. Miał doskonałe rozeznanie przyszłości. Nigdy nie błądził, gdy mówił o przyszłości. Nie lubił liturgii przepojonych niepotrzebną pompą.

Z czego czyniono mu zarzuty. Na przykład, że się spieszy przy ołtarzu.

Kiedy po raz pierwszy po drugiej wojnie światowej wszedł do krakowskiej katedry, wszyscy patrzyli na niego z wielką uwagą. Byli ciekawi, jak się zachowa, co zrobi, co powie. A on odprawił „najzwyklejszą" Mszę, taką jak zawsze. Ale jeden ze świadków tego wydarzenia, który siedział gdzieś z boku, mówił, że gdy śpiewano hymn „Te Deum laudamus" [„Ciebie Boga wysławiamy" – przyp. red.], Sapieha dyskretnie płakał. To wiele o nim mówi. Nie obnosił się ze swoją pobożnością. Zarzucano mu też nawet i to, że nie wychodzi na ambonę i nie krzyczy, jak czynili to wówczas kaznodzieje. On był tak wychowany, uważał, że żaden człowiek nie powinien krzyczeć na innego człowieka.

Uczestnicy konsekracji Adama Stefana Sapiehy w 1911 r. FOT. WIKIPEDIA

Nigdy nie ponosiły go emocje?

Kiedy głosił przemowy o tematyce społecznej, wtedy się zapalał i podnosił lekko ton głosu. Mówił prosto z serca – bez notatek, bez kartek. Ludzie słuchali go wtedy z zapartym tchem. Trzeba też zaznaczyć, że mówił piękną polszczyzną.

Co wyniósł już z domu. Jaki był dom Sapiehów?

Był to trudny dom. Przede wszystkim musimy pamiętać, że gdy mówimy o „domu Sapiehów", to myślimy nie tylko o Krasiczynie, lecz także o ich rezydencjach zimowych, chociażby we Lwowie, oraz o wielomiesięcznych pobytach w kuratoriach, bo tak wówczas bywało, że całe rodziny wyjeżdżały określoną porą roku. Rodzina Sapiehów była wielodzietna. Wiele zarzucano ojcu przyszłego kardynała – że to „czerwony książę", że nosi się ponad stan, że jego moralność nie zawsze była bez zarzutów. Te opowieści często się powtarza, ale nikt nie dochodzi do sedna, do źródła.

Papieski krzyż „Pro Ecclesia et Pontifice", którym odznaczony był abp Sapieha FOT. WIKIPEDIA

Gdzie leży to sedno?

Przede wszystkim był to dom głęboko patriotyczny. Półki imponującej biblioteki uginały się od książek polskich pisarzy i tomów o historii Polski. Wychowanie przebiegało w myśl zasady, że dzieci muszą być przygotowywane do walki o ojczyznę. Młodzież uczyła się władać szablą, strzelać, jeździć konno. Dbano, by dzieci brały udział w świętach narodowych i kościelnych. Zachowało się wiele fotografii, na których Sapiehowie od najmłodszych lat, podczas różnych okazji, występują w kontuszach. I wreszcie – wychowanie religijne. Niezależnie od tego, czy mówimy o łacinnikach czy grekokatolikach, Sapiehowie dbali o to, by mieszkańcy ich majątków uczęszczali do kościoła lub greckokatolickiej cerkwi. Wiedzieli, że jeśli Polska ma być odbudowana, to tylko na mocnych fundamentach, także religijnych. Nauczyciele mieli uczyć młodych Sapiehów nie tylko manier czy języków, lecz także czegoś jeszcze niezmiennie ważnego. Czegoś, co – jakkolwiek absurdalnie by to zabrzmiało – znalazło odbicie w encyklice Leona XIII „Rerum novarum".

Przełomowej encyklice, odrzucającej marksizm i bezwzględny kapitalizm, opowiadającej się po stronie chrześcijańskiej polityki społecznej.

W tym konkretnym sapieżyńskim kontekście chodzi o poszanowanie człowieka i o godziwą płacę za uczciwą pracę. To właśnie w domu przyszły kardynał

eprasa.pl 8fdf5bce69

nauczył się troski o potrzebujących, to w domu mają korzenie wszystkie jego późniejsze działania społeczne i charytatywne. Adam Sapieha był człowiekiem, który nie patrzył na swój osobisty zysk.

O wielkich dziełach, np. o założeniu Książęco-Biskupiego Komitetu Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny, przeczytać możemy w każdym artykule dotyczącym Sapiehy. Ja chciałbym zapytać o jego prywatną działalność charytatywną. Czy dzielił się osobistym majątkiem?

Był taki kapelan harcerski, ks. Marian Luzar. Miał zawołanie totemowe „Czarny Kruk". Przychodził on do Sapiehy na audiencje w krótkich harcerskich spodniach. Kiedy biskup pytał go, dlaczego tak się nosi, ks. Luzar odpowiadał, że nie stać go na długie spodnie. Wtedy Sapieha wyjmował swoje prywatne pieniądze i dawał księdzu na spodnie! I taka sytuacja powtarzała się często. Ksiądz Luzar chodził do Sapiehy, bo wiedział, że zawsze dostanie parę groszy, a Sapieha zdawał sobie sprawę, że kapłan go trochę naciąga, ale chętnie wyciągał pieniądze z kieszeni, bo wiedział, iż „Czarny Kruk" nie bierze ich dla siebie, ale przeznacza dla swoich harcerzy. Zresztą proszę zobaczyć, co pozostało po osobistym majątku Sapiehy. Płaszcz, futro i dwie ciężkie walizy, których później jeszcze Wojtyła będzie używał podczas podróży. Wszystko inne rozdał.

Jak postrzegali to pozostali hierarchowie?

Wielu uważało, że bratanie się z kapłanami, klerykami – Sapieha znał wszystkich w diecezji po imieniu – jest niegodne. Wychodzili z założenia, że biskup powinien być powyżej. Jednakże Sapieha był jedynym biskupem, który był księciem. Nawet jeśli niektórzy hierarchowie nosili się wysoko, to wiedzieli, że Sapieha w hierarchii społecznej stoi powyżej. Nie zgadzali się z wieloma działaniami Sapiehy. Na przykład, gdy nakazał tworzyć kolumny sanitarne w czasie pierwszej wojny światowej. Czym były w praktyce? Studenci i studentki, pielęgniarki wsiadali na wóz drabiniasty i jeździli od wioski do wioski, by szczepić dzieci na jaglicę. Dziś się ocenia, że dzięki takim szczepieniom – zainicjowanym przez Sapiehę i częściowo przez niego sfinansowanym – uratowano prawie 3 mln ludzi w tzw. Galicji!

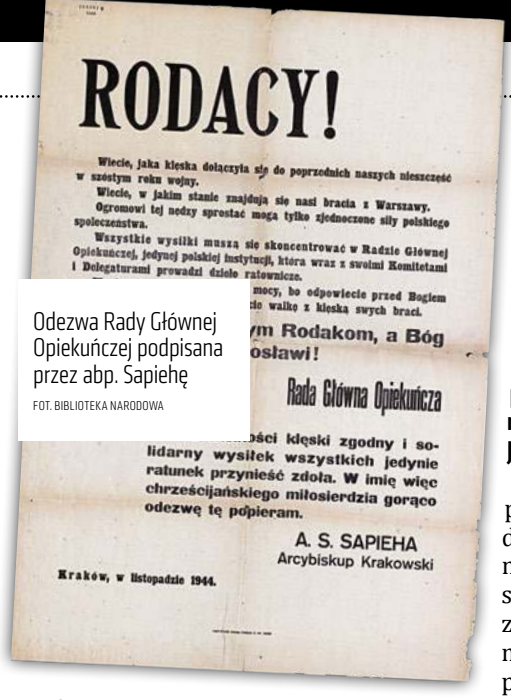

RODACY!

Wiecie, jaka klęska dołączyła się do poprzednich naszych nieszczęść w szóstym roku wojny.

Wiecie, w jakim stanie znajdują się nasi bracia z Warszawy.

Ogromowi tej nędzy sprostać mogą tylko zjednoczone siły polskiego społeczeństwa.

Wszystkie wysiłki muszą się skoncentrować w Radzie Głównej Opiekuńczej, jedynej polskiej instytucji, która wraz z swoimi Komitetami i Delegaturami prowadzi dzieło ratownicze.

mocy, bo odpowiecie przed Bogiem
do walkę z klęską swych braci.

ym Rodakom, a Bóg
osławi!

Rada Główna Opiekuńcza

ości klęski zgodny i solidarny wysiłek wszystkich jedynie ratunek przynieść zdoła. W imię więc chrześcijańskiego miłosierdzia gorąco odezwę tę popieram.

A. S. SAPIEHA
Arcybiskup Krakowski

Kraków, w listopadzie 1944.

Odezwa Rady Głównej Opiekuńczej podpisana przez abp. Sapiehę

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Niektóre jego wypowiedzi i działania wydawały się kontrowersyjne. Kiedy doszło do starć na ulicach Krakowa w 1923 r. (tzw. krwawy wtorek), podczas których ginęli ułani i robotnicy, on potępił zarówno władze wysyłające wojsko na ulice, jak i robotników wszczynających uliczne burdy. Albo kiedy wywołał tzw. konflikt wawelski, przenosząc trumnę z ciałem marszałka Piłsudskiego, złożonego tymczasowo pod katedrą w krypcie pw. św. Leonarda, pod Wieżę Srebrnych Dzwonów. A po latach okazywało się, że to on miał rację. Dopiero po drugiej wojnie światowej nauczono się patrzeć na niego ze zrozumieniem i z szacunkiem, ale w latach 20. i 30. było różnie.

Jako pierwszy zaczął organizować domy dla księży emerytów, to on rozpoczął duszpasterstwo akademickie na ziemiach polskich.

Kto kojarzy dziś duszpasterstwo młodzieży z Sapiehą? Wszyscy mówią o Wojtyle. Nie chcę niczego ujmować Karolowi Wojtyle, ale pierwszych kapelanów do pracy ze studentami wyznaczał właśnie Sapieha. Wiedział, że z inteligencją należy pracować, trzeba wychowywać młodzież, trzeba dać jej dobre narzędzie do pobożności. Odnośnie do troski o schorowanych lub emerytowanych kapłanów, to zanim zainteresował się nimi Sapieha, księża sami musieli zabezpieczać swoją starość. Martwić się o swój byt, gromadzić środki materialne, inwestować w coś. Sapieha, tworząc domy księży emerytów, sanatoria, odwrócił cały model kapłaństwa, który funkcjonował w Europie. Pokazał, że należy się tym spracowanym kapłanom odpoczynek, szacunek, godne miejsce.

Użył już w tej rozmowie ksiądz profesor przydomka Książę Niezłomny. Kiedy zaczęto tak nazywać Sapiehę? Po drugiej wojnie światowej? Jak się zachowywał pod okupacją niemiecką?

Zaczęto mówić tak o nim zaraz po drugiej wojnie światowej. Ludzie dostrzegli wtedy jego wielkość. Mimo nalegań przedstawicieli władz państwowych czy też wojska nie wyjechał z Polski podczas wojny. Nie jest tajemnicą, że nie mógł się pogodzić z tym, iż prymas August Hlond postąpił inaczej i Polskę opuścił. W trakcie okupacji Sapieha jest wytrawnym graczem. Kiedy prosi o spotkanie z Frankiem, ten zwleka i wyznacza wreszcie termin spotkania w dniu urodzin Adolfa Hitlera. Sapieha, choć chciał się spotkać, bo miał wiele do powiedzenia Frankowi, odmówił. Uważał, że to jest prowokacja. A kiedy mieli okazję rozmawiać, nie bał się mówić mu wprost, że Niemcy są winni niszczenia polskiego narodu. Wykazywał się niesamowitą odwagą. Jako jedyny z biskupów katolickich, a może nawet szerzej – jako jedyny z biskupów katolickich, świadom konsekwencji, zdecydował się na to, żeby wysłać księży – udających robotników – do Polaków zagonionych przez Niemców do pracy przymusowej. To jest ewenement. Na swoim terenie miał Auschwitz, cały czas zabiegał o to, by pozwolono odprawiać Msze Święte dla więźniów lub udzielać im pomocy materialnej, ale bezskutecznie.

À propos odwagi – Sapieha nie bał się postawić też kościelnym hierarchom. Ryzykując jeśli nie całą karierę, to jej spowolnienie.

Najbardziej znana jest historia, która wydarzyła się podczas obrad biskupów, którzy spotkali się w Gnieźnie w 1919 r., by dyskutować o tym, jak ma funkcjonować polski episkopat. Rozmawiają po polsku, a obecny na spotkaniu nuncjusz Achille Ratti zwraca uwagę, by obradować po łacinie, bo on nie rozumie po polsku. Wtedy Sapieha, który był jednym z najmłodszych biskupów, stanowczo odmawia i mówi, że Kościół polski chce rozstrzygać swoje sprawy bez wpływów zewnętrznych.

eprasa.pl 8fdf5bce69

Przypomnijmy, że nuncjusz to przyszły papież Pius XI. Młody biskup poniósł jakieś konsekwencje?

Od razu nie, ale kapelusz kardynalski otrzymał dopiero w 1946 r.

Co wiemy o prywatnej sferze życia Sapiehy? Jakim był człowiekiem?

Był człowiekiem radosnym, zadowolonym, uśmiechniętym i ciepłym. Przytłoczonym wieloma sprawami, także rodzinnymi. Był słabowity, więc dość często chorował, ale starał się spełniać swoje obowiązki, nie odwoływać wizytacji. Rzadko celebrował uroczystości. Dostęp w pałacu biskupim w godzinach urzędowania mieli do niego wszyscy, ale bardzo strzegł swojej prywatności. Gdy spotykał się z rodziną, nawet kapelani nie mieli do niego dostępu. Miał swoje słabości. Największą były… cygara. Palił je całe życie, uwielbiał je. Gdy był już chory i słaby, mawiał, że marzy o dwóch sprawach: o jeszcze jednym cygarze i o życiu wiecznym. Był skromny. Używał czarnej sutanny, nie nosił na co dzień symboli władzy biskupiej – oprócz pierścienia. Bardzo cierpliwie znosił swoją chorobę.

Trudno nie zauważyć podobieństw w wielu kwestiach do Karola Wojtyły.

Czytałem ostatnio wywiad rzekę z bp. Albinem Małysiakiem i w pewnym momencie podaje on w nim stwierdzenie z psychologii, mniej więcej zamykające się w takim zwrocie: „Ludzie podobni lgną do siebie". Pomyślałem sobie, o duecie Sapiehy i Wojtyły – te dwie osoby są do siebie zbliżone. Dlaczego? Do seminarium, którego de facto nie ma w czasie wojny i funkcjonuje tajnie, przychodzi Karol Wojtyła. Kim jest wtedy? To okaleczony – mimo że wewnętrznie bardzo mocny – młody człowiek. Jest sam. Nie ma już ojca ani matki, nie ma brata. Równie dobrze mógł iść pod most kolejowy albo do szajki złodziei. To był samotny człowiek. I w tym pałacu trafia na dobrego ducha, który zorganizował tajne seminarium, udostępnił na ten cel swoje pokoje. Wojtyła zostaje błyskawicznie wyświęcony na kapłana i wysłany na studia. Sapieha daje mu swoje kontakty w Rzymie i one

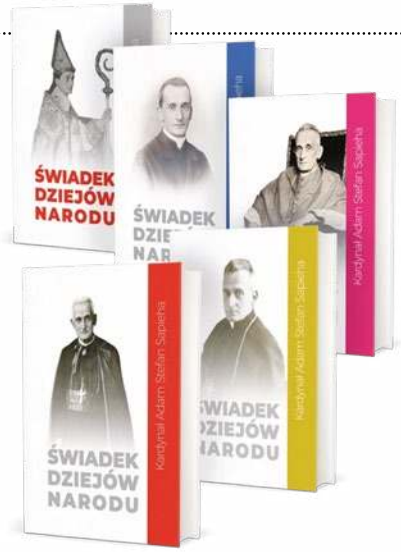

będą owocować później tym, że uzyskawszy stopnie i tytuły naukowe, zostanie zaangażowany jako wykładowca na KUL, podejmie ciężką pracę duszpasterską i naukową, przez pobyt na Soborze Watykańskim II – Wojtyła zacznie nawiązywać własne kontakty, o których nam się w latach 70. nie śniło, że mógłby je mieć. Wojtyła był mocno zapatrzony w swojego mentora. W swoim zachowaniu duchowym, ascetycznym, pracy duszpasterskiej – to jest cały Sapieha.

Krakowski pomnik kard. Sapiehy, autorstwa Augusta Zamoyskiego

FOT. WIKIPEDIA/KAZIMIERZ S. OŻÓG

Ostatnio sporo mówi się o tej relacji, przedstawiając zwłaszcza kard. Sapiehę w złym świetle. Wysuwając najcięższe oskarżenia, m.in. o molestowanie kleryków.

W źródłach te zarzuty nie mają żadnego odbicia. Ani ja, ani inni archiwiści, osoby duchowne czy świeckie badające postać Sapiehy nie spotkaliśmy żadnego wiarygodnego źródła na poparcie tych tez. Materiały, na podstawie których są snute takie teorie, są jednostronne, wybiórcze i niewiarygodne. Oparte na rzekomych świadectwach pochodzących od ludzi zdemoralizowanych. To jedynie odbicia pewnych plotek, które pojawiały się już w latach 90. czy po roku 2000. To są pomówienia. Proszę zauważyć, że te dokumenty były znane wcześniej i nikt, nawet komuniści, nie wyciągnęli z nich takich wniosków, jakie dziś próbują wyciągać niektórzy dziennikarze.

Jeśli ktoś jest ciekaw źródeł, to może sięgnąć po serię „Świadek dziejów narodu", przy której pracował ksiądz profesor jako redaktor edycji źródłowej. To zbiór dokumentów o Sapiesze lub stworzonych przez Sapiehę. Niedawno ukazał się piąty tom. To powrót do dzieła zapoczątkowanego jeszcze w latach 70. XX w.?

To jest pewnego rodzaju powrót do tego, co było zamiarem Karola Wojtyły i zespołu, który on zbudował i nad którym jako redaktor miał czuwać ks. prof. Jerzy Wolny, ale z pewnych względów nie wydano źródeł.

Czy w tych źródłach są rzeczy nowe?

Ogromna większość to materiały nigdy niewydane drukiem, ale znane archiwistom i badaczom. Jeśli chodzi o coś nowego, to przede wszystkim są to listy, dokumenty, które wychodziły z ręki Sapiehy, i odpowiedzi, które przychodziły w obcych językach i nie były tłumaczone, a dotyczyły działalności charytatywnej i duszpasterskiej, np. z czasów pierwszej wojny światowej. Kilkanaście pism nie było znanych. Ale jest wiele materiałów, które czekają na jeszcze dokładniejszą kwerendę. Sapieha jest człowiekiem, którego nie da się opisać w żadnym wywiadzie ani nawet w kilku tomach książek. Sapiehę trzeba przeżywać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

Druga wojna światowa / Dekemvriana

Partyzanci ELAS ostrzeliwują posterunek policji w Atenach, 1944 r.
FOT. KEYSTONE/GETTY IMAGES

Masakra pod Akropolem

Arkadiusz Karbowiak

Dokonane przez komunistów zbrodnie zszokowały grecką i międzynarodową opinię publiczną

Rząd jedności narodowej, który przejął władzę w Grecji wyzwolonej spod niemieckiej okupacji w październiku i listopadzie 1944 r., stanął przed wieloma poważnymi wyzwaniami gospodarczymi i politycznymi.

Pomimo lądowania w Grecji wojsk brytyjskich w ramach operacji „Manna" 90 proc. kraju opanowane było przez formacje partyzanckie Greckiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej (ELAS), stanowiące skrzydło militarne Frontu Wyzwolenia Narodowego (EAM), który stanowił koalicję kilku lewicowych ugrupowań. Główną rolę odgrywali w niej członkowie Komunistycznej Partii Grecji (KKE). Władza gabinetu przybyłego z emigracji liberała Jeorjosa Papandreu, formalnie akceptowalna przez EAM, była de facto iluzoryczna i ograniczała się tylko do Aten. Skrajna lewica, mając poczucie przewagi nad swymi politycznymi rywalami, dążyła to stworzenia warunków umożliwiających jej przejęcie władzy w państwie. EAM sprawowała praktycznie nieograniczoną kontrolę nad obszarami greckiej prowincji. Siłami zapewniającymi swoiście rozumiany porządek były policja polityczna – Oddziały Ochrony Walki Ludu (OPLA) – oraz milicja ludowa nazywana oficjalnie Gwardią Cywilną (EP). Obie te organizacje rozpoczęły proces oczyszczania wsi i miasteczek z „wrogów ludu", a więc wszelkich osób uznawanych przez komunistów za kolaborantów. Szybko okazało się, że kolaborantem mógł zostać każdy – zwolennik ówczesnego rządu, sympatyk sił brytyjskich i ludzie niewykazujący nadmiernego entuzjazmu dla EAM.

Papandreu nie posiadał początkowo żadnych sił mogących zahamować orgię rozpętanego terroru. Porządku nie były w stanie także zaprowadzić nieliczne i nastawione neutralnie jednostki armii brytyjskiej. Tolerowanie, w dłuższej perspektywie, tej swoistej dwuwładzy w państwie groziło anarchią, dlatego premier podjął rozmowy z komunistami zmierzające do demobilizacji oddziałów ELAS, choć procesowi temu miały podlegać wszystkie istniejące na terytorium

eprasa.pl 8fdf5bce69

Grecji formacje partyzanckie. Równolegle prezes rady ministrów zabiegał o wzmocnienie sił wiernych rządowi. W związku z tym do kraju relokowano walczącą we Włoszech grecką III Brygadę Górską. Był to cios dla komunistów, którzy pragnęli przechwycić w swoje ręce nowo tworzącą się armię. Przywódcy EAM zdali sobie sprawę, że powstająca armia będzie budowana w oparciu o niechętną im, a nawet wrogą kadrę oficerską wywodzącą się m.in. ze wspomnianej brygady, dlatego ELAS, podczas rozmów dotyczących rozbrojenia, podnosili sprawę równoczesnego rozbrojenia wszystkich rządowych jednostek, z III Brygadą Górską włącznie. Premier nie wyraził jednak zgody na takie rozwiązanie. Ostatecznie 28 listopada 1944 r. rozmowy się załamały. Coraz bardziej jasne stawało się, że o tym, kto będzie rządził Grecją, zadecyduje wynik militarnej konfrontacji.

Brytyjscy spadochroniarze w Atenach FOT. IWM

Walka o Ateny

Nie widząc szans na porozumienie, premier Papandreu i gen. Ronald Scobie wydali odezwę nakazującą rozbrojenie wszystkich oddziałów partyzanckich do 10 grudnia 1944 r. W odpowiedzi ministrowie EAM złożyli rezygnacje ze swoich funkcji w rządzie, a na 3 grudnia partia zapowiedziała wielką demonstrację w Atenach. Jednocześnie wydano rozkazy przemieszczenia się w stronę Aten pułków ELAS. Komuniści nie brali jednak pod uwagę ewentualnego udziału Brytyjczyków w zbrojnych starciach. Georgios Siantos, sekretarz generalny KKE, znając wartość stolicy, mówił, że „Grecją będzie rządzić ten, kto rządzi Atenami". Tymczasem Papandreu, po niefortunnym wyrażeniu zgody na demonstrację EAM, zdecydował o jej cofnięciu. To jednak nie zatrzymało tego, co nieuchronnie musiało nadejść.

3 grudnia 1944 r. na ulice Aten wyszło 250 tys. zwolenników EAM. Maszerujący ulicami tłum był rozemocjonowany; uczestnicy demonstracji wznosili radykalne hasła. Około godz. 11 doszło do ostrzelania manifestujących przez policję. Nie wiadomo, co było powodem otwarcia ognia. Zdaniem Evangelosa Everta, szefa ateńskiej policji, przyczyną było rzucenie przez demonstrantów granatu w stronę funkcjonariuszy. Eksplozja spowodowała śmierć jednego z policjantów i ranienie innego. Na ten atak policja miała odpowiedzieć strzałami. Według drugiej wersji natomiast rozkaz strzelania do tłumu – bez konkretnego powodu – miał wydać sam Evert. Zginęło 28 osób, a 148 odniosło rany (inne dane wskazują, że zginęło 11–16 osób, a ok. 60 zostało rannych). Po stronie policji zginął jeden człowiek, a cztery osoby zostały ranne.

Następnego dnia do stolicy wkroczyły pułki ELAS, atakując głównie posterunki policji. Policjanci stali się obiektem dzikich polowań. W ciągu pierwszej doby walk w mieście 16 komisariatów spośród 24 zostało opanowanych przez rebeliantów. Jak się okazało, ci, którzy polegli w ich obronie, mieli niezwykłe szczęście. Straszliwy los spotkał bowiem wziętych do niewoli. Jeńców w policyjnych mundurach poddawano makabrycznym torturom: wyłupiano im oczy, wycinano serca lub odcinano genitalia. Ostatecznie policjantów pozbawiano życia, uderzając ich siekierą w głowę lub podrzynając im gardła. Rozprzestrzeniające się informacje o okrucieństwach popełnianych przez ELAS-owców powodowały, że greccy funkcjonariusze (wcześniej część z nich służyła w kolaboracyjnych Batalionach Bezpieczeństwa) walczyli z pełną determinacją, nie mając zamiaru poddawać się przeciwnikom, na których łaskę i tak nie mogli liczyć.

Kartę heroicznej obrony zapisali m.in. żołnierze pułku żandarmerii dowodzeni przez płk. Georgiosa Samouela. Jednostka ta stacjonowała w budynku koszar ateńskiej żandarmerii, ulokowanej w dzisiejszej dzielnicy Makrygianni. Stacjonowało tam 517 żandarmów. Obiekt ten od 6 grudnia atakowały dwa pułki ELAS. Obrońcy ustanowili siedem zewnętrznych posterunków usytuowanych na dachach znajdujących się w pobliżu budynków. W nocy z 7 na 8 grudnia partyzantom udało się wysadzić ścianę we wschodniej części budynku i kiedy wydawało się, że ELAS-owcy wedrą się do wnętrza obiektu, obrońcy po zaciętej walce wręcz ich odrzucili. W sumie w czasie kilkunastu dni walk poległo 162 żandarmów.

Z równie silną determinacją broniły się w centrum Aten oddziały radykalnie antykomunistycznej Organizacji X, kierowanej przez płk. Georgiosa Grivasa. Ta struktura, posiadająca podczas okupacji kontakty z greckim rządem na uchodźstwie, Brytyjczykami i formacjami bezpieczeństwa utworzonymi przez ateński ośrodek władzy premiera Ioannisa Rallisa, jeszcze jesienią 1943 r. rozpoczęła „cichą" wojnę z bojówkami EAM. Do wybuchu grudniowej rebelii w Atenach z rąk komunistycznej tajnej policji politycznej OPLA zginęło 51 członków Organizacji X. 11 października 1944 r., a więc tuż przed końcem okupacji, bojownicy EAM w niemieckich mundurach próbowali bez powodzenia zlikwidować nawet samego płk. Grivasa. Siedziba organizacji zlokalizowana w dzielnicy Thisio na ateńskim Starym Mieście stała się – obok posterunków policji – głównym celem pierwszych uderzeń oddziałów ELAS.

eprasa.pl 8fdf5bce69

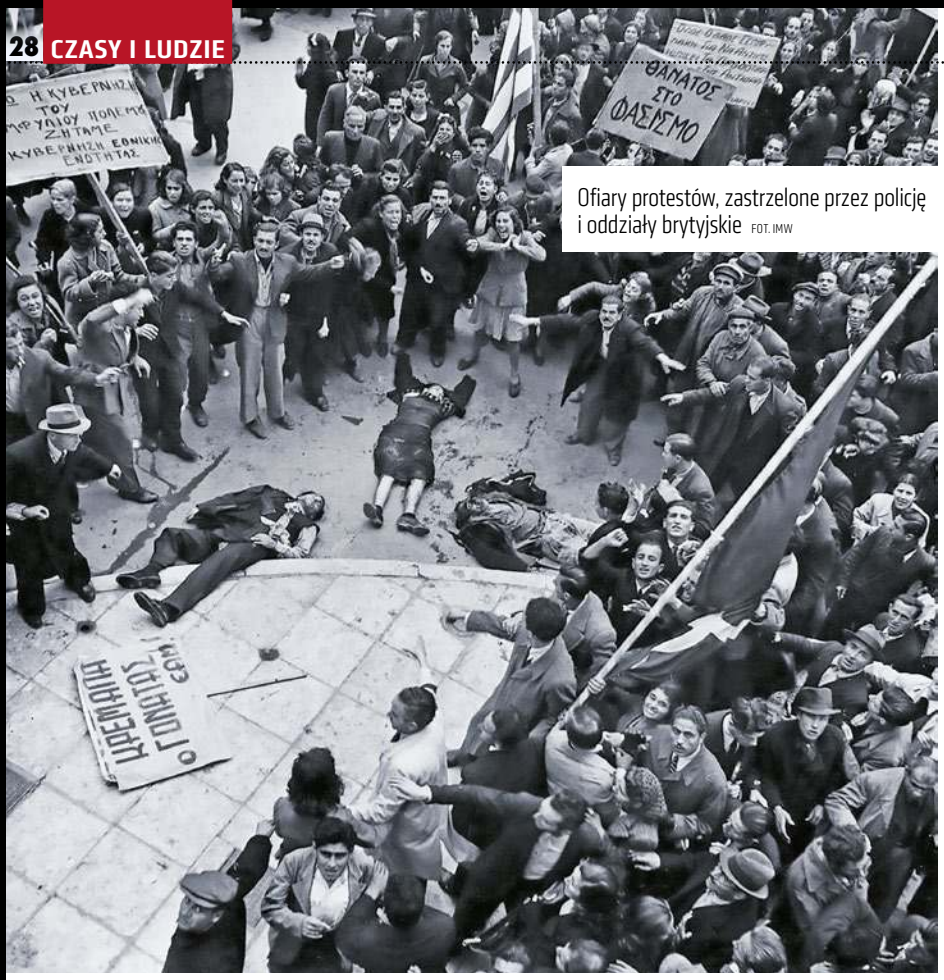

Ofiary protestów, zastrzelone przez policję i oddziały brytyjskie FOT. IMW

Po zaciętych walkach, które kosztowały Organizację X 24 zabitych, pozostałych przy życiu jej członków ewakuowali Brytyjczycy. Lewicowi rebelianci, nie mogąc zniszczyć swych przeciwników, swą wściekłość wyładowali na zwłokach poległych „iksowców", wycinając na nich symbole swastyki. Uratowani działacze Organizacji X stanowili kadry tworzącego się 143. batalionu Gwardii Narodowej.

Brytyjskie zaangażowanie

Początkowo dowódcy ELAS byli pewni, że Brytyjczycy nie zaangażują się w zbrojną konfrontację w Atenach, i unikali starć z nimi. Brytyjczycy również starali się zachować pewną neutralność. 5 grudnia 1944 r. sytuacja uległa jednak zmianie. Tego dnia do dowódcy wojsk brytyjskich gen. Scobiego nadeszła z Londynu depesza od premiera Winstona Churchilla. Pisał on: „Jest Pan odpowiedzialny za utrzymanie porządku w Atenach i za zneutralizowanie lub zniszczenie wszystkich oddziałów EAM-ELAS zbliżających się do miasta. Niech się pan nie waha kazać strzelać do każdego uzbrojonego mężczyzny w Atenach, który bierze udział w atakach na władze brytyjskie lub greckie, z którymi współpracujemy… Proszę się nie wahać i zachowywać tak, jakby był Pan w podbitym mieście, w którym trwa lokalna rebelia".

Te polecenia przekreśliły ostatecznie nadzieje greckich komunistów na brytyjską neutralność. Churchill już wcześniej, bo 9 października 1944 r., spotkał się z sowieckim przywódcą Józefem Stalinem. W trakcie rozmowy doszło do uzgodnienia procentowego podziału wpływów brytyjskich i sowieckich w poszczególnych państwach na obszarze Bałkanów. Grecja w tej układance w 90 proc. została przyznana Wielkiej Brytanii. Trzeba przyznać, że Stalin dotrzymał zawartego porozumienia, nie udzielając podczas wydarzeń grudniowych wsparcia greckim komunistom.

Neutralna postawa ZSRS pozwoliła na przyjęcie twardej linii politycznej przez Londyn. Uzbrojony w wytyczne Churchilla gen. Scobie wezwał więc siły ELAS do opuszczenia miasta do dnia 6 grudnia do północy. Komuniści zignorowali jednak to wezwanie, co spowodowało, że oddziały armii brytyjskiej włączyły się do walki. Sytuacja w mieście była krytyczna. Brytyjczycy sprawowali kontrolę jedynie nad nielicznymi punktami oporu w Pireusie oraz w centrum miasta. W porcie walczyły pododdziały 139. Brygady Piechoty z 46. Dywizji Piechoty, natomiast w pobliżu Akropolu ścierali się z ELAS spadochroniarze z 2. Brygady wspierani przez 23. Brygadę Pancerną. Południowo-wschodnie rejony miasta były bronione, a potem oczyszczane przez żołnierzy greckiej III Brygady Górskiej.

Sytuacja w Atenach wciąż była poważna. Rankiem 11 grudnia pojawił się w mieście marsz. Harold Alexander, Naczelny Dowódca Śródziemnomorskiego Teatru Działań Wojennych, wraz z ministrem Haroldem Macmillanem. Drogę z lotniska w Kalamaki do hotelu Grande Bretagne przebyli w samochodzie pancernym ostrzeliwanym przez bojowników z ELAS. Wizyta marszałka podniosła brytyjskie morale. Podczas rozmów zapadła decyzja o przerzuceniu z Włoch do Aten 4. Dywizji Piechoty, a dowódcą sił brytyjskich w Grecji został nominowany gen. John Hawkesworth.

Dowództwo ELAS zdawało sobie sprawę, że Brytyjczycy wciąż mogą zmienić niekorzystny dla siebie układ sił. Sekretarz KKE Georgios Siantos, jeszcze przed rozpoczęciem walk w stolicy, podjął błędną decyzję, kierując część oddziałów ELAS do zniszczenia antykomunistycznej partyzantki EDES stacjonującej w Epirze, z którą keptanos (dowódcy ELAS) ścierali się w latach 1943–1944 w czasie niemieckiej okupacji. Operacja się co prawda powiodła, lecz bojowników z ELAS zabrakło, aby ostatecznie przechylić szalę zwycięstwa na stronę komunistów.

Pomimo rosnącej liczby Brytyjczyków w Atenach 18 grudnia ELAS zdobyła więzienie Averoff. Doszło tam do mordów na więźniach oskarżonych o kolaborację z okupantem. Tego samego dnia komuniści zaatakowali bazę dowództwa RAF w Kiffisi. Około 600 żołnierzy dzielnie broniło się do czasu, kiedy wyczerpała się im amunicja. W chwili, kiedy jej zabrakło, ELAS-owcy wdarli się do budynku, podłożywszy wcześniej ładunki wybu-

eprasa.pl 8fdf5bce69

chowe wokół muru otaczającego bazę. Siły brytyjskie zostały zmuszone do złożenia broni. Do niewoli dostało się 500 żołnierzy. Był to jednak ostatni sukces komunistów. Oddziały amii królewskiej zaczęły systematycznie odbijać z rąk ELAS kolejne obszary miasta, choć nie szło im to zbyt łatwo. Zastosowanie artylerii, czołgów oraz lotnictwa w terenie zurbanizowanym i zamieszkałym przez ludność cywilną powodowało liczne ofiary wśród mieszkańców miasta. Było ich tym więcej, gdyż część bojowników ELAS nosiła w pełni cywilne ubrania, przez co nie dało się ich odróżnić od niewalczących cywilów.

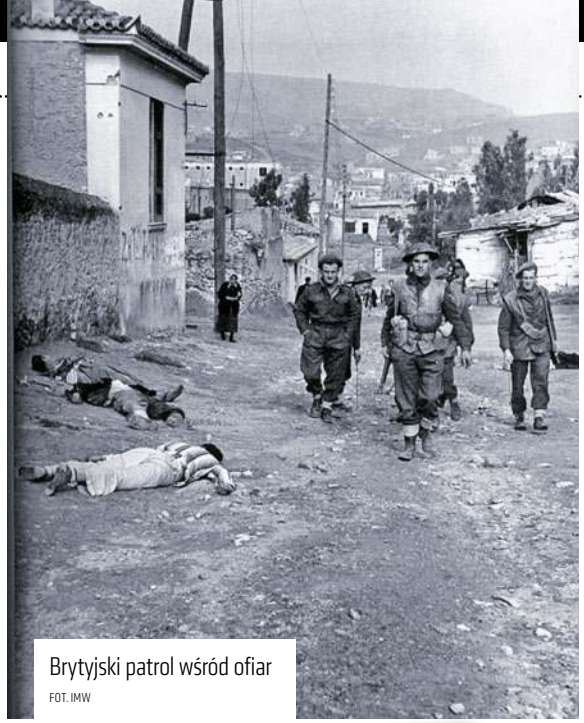

Brytyjski patrol wśród ofiar FOT. IMW

Tymczasem Churchill, krytykowany w kraju za wciągnięcie Wielkiej Brytanii w wir greckiej wojny domowej, podjął próbę rozstrzygnięcia konfliktu na polu politycznym. 25 grudnia 1944 r., wraz z Mcmillanem i marsz. Alexandrem, przybył do Aten na rozmowy ze wszystkimi stronami konfliktu. Widząc, że sprawa powrotu króla Jerzego II do kraju budzi olbrzymie emocje, premier postanowił zaaprobować rozwiązanie kompromisowe w postaci ustanowienia regentury. Świetnym kandydatem okazał się (niezakwestionowany nawet przez EAM-ELAS) arcybiskup Aten Damaskinos. Podczas okupacji inicjował on akcje charytatywne dla głodującej ludności oraz pomagał ukrywającym się Żydom. Jedyny problem stanowiło przekonanie do tego rozwiązania króla Jerzego II. Brytyjski premier nie zamierzał jednak „bawić się" w dyplomację, informując króla, że regentura Damaskinosa zostanie przez Londyn zaakceptowana bez względu na to, czy on zgodzi się na nią czy nie. Postawiony przed faktem dokonanym 30 grudnia król Jerzy II ogłosił abp Damaskinosa regentem.

3 stycznia 1945 r. premier Papandreu podał się do dymisji, a nowym szefem rządu został Nikolaos Plastiras. Ciekawostką jest to, że podczas pobytu Churchilla ELAS chciała dokonać zamachu terrorystycznego na hotel, gdzie odbywały się narady. Życie jego mieszkańcom uratowało trzech brytyjskich saperów, którzy znaleźli olbrzymie ilości materiałów wybuchowych z zapalnikiem czasowym ulokowanych w kanałach pod hotelem.

ΠΡΟΚΗΡΥΞΗ

Πρός τοὺς ἐργάτες τῶν συνοικιῶν Περιοχῆς Πατησίων, Κυψέλης καὶ Ἁγίας Ζώνης, Ἐξαρχείων καὶ Νεάπολης, Γκύζη, Ἁγίου Δημητρίου καὶ Ἀμπελοκήπων.

Συνάδελφοι,

Ὁ ἀγώνας ποὺ μᾶς ἐπέβαλαν γιὰ τὴ λευτεριὰ καὶ τὴν ὁλοκληρωτικὴ ἀπελευθέρωσή μας συντρίβεται πανταχόθεν γιὰ τὶς δυνάμεις τοῦ Ἔθνους. Οἱ φοβεροὶ τῶν Συκελιανοῖ, ποὺ χτὲς σὲ συνεργασία καὶ ὁ λαὸ τὴν συνεργασία μὲ τοὺς Γερμανοβούλγαρους αἰματοκυλοῦσαν τὸ λαό καὶ σήμερα χρησιμοποιοῦνται γιὰ τὸν ἴδιο σκοπὸ ἀπὸ τὸν ἄλλο καὶ μαζί μα Πασανδρέα. Ξεκοῦφαν ζοῦσαι ἡ μία ἔφεια ἀπὸ τὴν ἄλλη καὶ μαζί τῆς συντρίβεται ἡ κλίκα τῶν φασιστῶν καὶ δοσιλόγων καὶ ἡ μαφία τοῦ Γεώργιουρου ποὺ τὰ σπιρίζουν πολιτικά.

Οἱ Λίπερ καὶ Σκόμπυ διδάσκονται πὼς ὁ Ἑλληνικὸς λαὸς δὲν εἶναι ἄχλιες ἀνάκοπος μὲ αὐτεξουσιωθεῖ. Ἡ αὐτεξουσία τοῦ ΕΛΑΣ, μὲ τὴν ἐνεργὴ βοήθεια τοῦ λαοῦ καθηστερεῖ ἀλοκληρώνει τὴν τελική ΝΙΚΗ, ποὺ θὰ μᾶς ἐπιφέρει ζωὴ ἀνθρώπινη, μέσα στὸ πλαίσιο μιᾶς λαοκρατούμενης καὶ αὐτοσυστατικὴ ἀνεξαρτησίας Ἑλλάδας. Καὶ ἡ ἐργατικὴ τάξη τοῦ σήμερα καὶ αὐτὴ θὰ ἀκολουθήσει πάλιν στὶς πρῶτες ἐπαλξεῖς γιὰ τὴν πραγματίωση τῶν λαϊκῶν ἰδεωδῶν πρόσφερε τὶς μεγαλύτερες θυσίες καὶ μὲ τὸ κουτὶ καὶ τιμὸ αἷμα της ἔγραψε τὶς ἐπιφάνειες σελίδες στὸν ἀγώνα τῆς μεγάλης τετραετίας, τὸ δίνει ὅλο, καὶ στὴν τελική φάση τοῦ ἀγώνα αὐτό, τὸ γρήγορο φτάσιμο τῆς ὁλοκληρωτικῆς νίκης προϋποθέτουν πολλοὶ συνειστικὴ δράση ἑνώσεις καὶ συντονισμένη, δουλειὰ ἀπονομιῶν. Καὶ μεῖς οἱ ἐργάτες ποὺ ἀνήκουμε σὲ κλάδους τῆς Ἐργατικῆς Ἀχτίδας θὰ προσφέρουμε περισσότερα. ἡ βοήθειά μας θὰ γίνει ἀποτελεσματικότερη, ὅταν συντονισμὲ τὶς προσπάθειές μας μὲ τὶς ὀργανώσεις τῆς συνοικίας ποὺ κατοικοῦμε.

Ἔμπρὸς ὅλοι στὸν ἀγώνα γιὰ τὴν συντριβὴ τοῦ φασισμοῦ, γιὰ τὸ τσάκισμα τῆς Ξένης ἐπέμβασης γιὰ μιὰ πραγματικὴ Ἐθνικὴ Κυβέρνηση γιὰ μιὰ Λεύτερη, λαοκρατούμενη καὶ ἀνεξάρτητη Ἑλλάδα.

Ζήτω ὁ ἱερός μας ἀγώνας!
Ζήτω ἡ Ἐργατικὴ Τάξη!

17—12—44

Ἐργατικὴ Ἀχτίδα

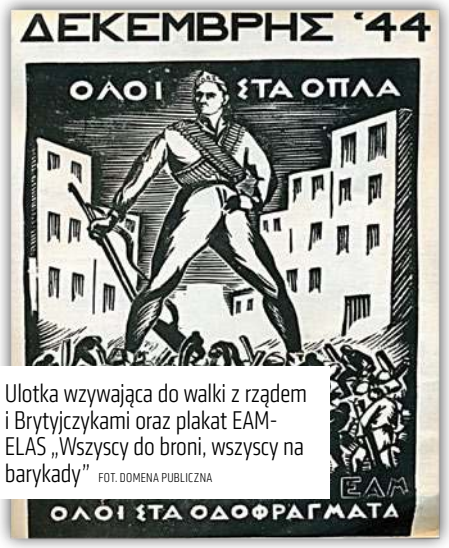

Ulotka wzywająca do walki z rządem i Brytyjczykami oraz plakat EAM-ELAS „Wszyscy do broni, wszyscy na barykady" FOT. DOMENA PUBLICZNA

29 grudnia ruszyła grecko-brytyjska ofensywa na południowo-wschodnie przedmieścia Aten. Komunistyczną twierdzą, nazywaną „greckim Stalingradem", gdzie toczyły się najbardziej zacięte walki, była dzielnica Kaisariani. Siły grecko-brytyjskie miały znaczącą przewagę. EAM i ELAS, wypychane z dzielnic Dafne i Peristeri, rozpoczęły wycofywanie się z miasta. 11 stycznia 1945 r. gen. Scobie spotkał się z przedstawicielami EAM-ELAS i uzgodnił warunki zawieszenia broni. Formalnie weszło ono w życie w nocy z 14 na 15 stycznia.

Brytyjczycy stracili w walkach 265 żołnierzy (210 zabitych i 55 zaginionych). Mieli też ok. 2,1 tys. rannych i 1 tys. wziętych do niewoli. Straty ELAS to ok. 2–3 tys. zabitych i 7,5 tys. wziętych do niewoli. Po zakończeniu walk w mieście zaczęto odnajdywać masowe groby pomordowanych przez komunistów osób. Około 1,2 tys. zwłok odkryto w jednej z peryferyjnych dzielnic Peristeri, a kolejnych 300 zmasakrowanych osób znaleziono w pobliżu rafinerii Ulen w dzielnicy Galatsi. Wśród ofiar były kobiety. Jedną z nich była Elena Papadaki – znana aktorka teatralna. Miała ona być, jak większość, zabita toporem, ale kat Vlassis Makaronas ostatecznie „humanitarnie" zastrzelił ją z broni palnej. Na liście osób zamordowanych ze szczególnym sadyzmem znalazł się także pewien brytyjski żołnierz, któremu odcięto ręce i nogi, a następnie pochowano go żywcem. Prawdziwą gehennę przeżyło też ok. 12 tys. wziętych przez ELAS zakładników. Wielu z nich pognano w marszach śmierci w góry, a później zabito. Wśród ofiar było także wielu niekomunistycznych intelektualistów. W gronie tym był, rozstrzelany 12 stycznia 1945 r., rektor Politechniki Ateńskiej Ioannis Theofanopoulos.

Dokonane przez komunistów zbrodnie zszokowały grecką i międzynarodową opinię publiczną. Miesiąc po zakończeniu walk w Atenach podpisano porozumienie w Varkizie, które kończyło drugą, lecz nie ostatnią rundę walk w Grecji.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

1914–1920 / „Kordian", „Młot" i „Rapid"

Oficerowie I Brygady przeciw bolszewikom

Wśród strzelców Piłsudskiego wkraczających do Kielc był Czesław Parczyński „Młot" FOT. NAC

Marek Gałęzowski

Spośród dziewięciu oficerów I Brygady Legionów, którzy polegli w wojnie z bolszewikami, jako pierwsi wyruszyli do boju o niepodległość Stanisław Parczyński „Młot" i Aleksander Napiórkowski „Kordian"

Byli oni bowiem wśród tych polskich żołnierzy, którzy 6 sierpnia 1914 r. w szeregach kompanii kadrowej przekroczyli granicę zaboru rosyjskiego. I tak się stało, że spośród wszystkich oficerów legionowych, którzy w tej wojnie z zginęli, tylko oni dwaj otrzymali odznaczenie niepodległościowe najwyższej klasy – Krzyż Niepodległości z Mieczami. A wraz z niemal wszystkimi pozostałymi – Virtuti Militari.

„Miał tylko jedną namiętność"

„Młot" Parczyński pochodził z Krakowa, przed wybuchem pierwszej wojny światowej studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wkrótce po przekroczeniu z „kadrówką" granicy zaboru rosyjskiego przeprowadzone przezeń działania rozpoznawcze pozwoliły na podjęcie decyzji o wkroczeniu strzelców do Kielc opuszczonych przez Rosjan. I to być może Parczyński był tym oficerem, który na jednej z pierwszych i jednocześnie jednej z najbardziej znanych fotografii legionowych szedł obok swojego przyjaciela kpt. Kazimierza Piątka „Herwina" na czele wchodzącej do miasta kolumny legionowej. Mariusz Wołos, biograf „Herwina", przywołał w swojej książce odnoszącą się do tej przyjaźni relację Kordiana Zamorskiego, który wspominał, że Parczyński, „duchowy brat śp. Herwina, jak tamten nie bywał w żadnej restauracji ni kawiarni, nie pił alkoholu, nie palił tytoniu. Miał jedną namiętność, uczyć się wojny i organizować na wsi Związek Strzelecki".

Prawie rok później „Młot", już jako oficer I Brygady, został ciężko ranny w boju pod Tarłowem, kiedy prowadził swój pluton do ataku „z niezwykłą odwagą i brawurą". Jeden z legionistów, Jan Kruk-Śmigla, zapisał wówczas w dzienniku: „Między innymi był ranny

eprasa.pl 8fdf5bce69

ppor. Młot (Parczyński), który należał do tej kategorii co Herwin [Kazimierz Piątek] i Grudziński [Franciszek Pększyc]. Ranę otrzymał ciężką". Polegli zaledwie kilka tygodni wcześniej Piątek i Grudziński należeli do wybitnych oficerów legionowych. I w tym kontekście należy rozumieć uwagę Kruka-Śmigli poczynioną wobec Parczyńskiego.

Wyleczywszy rany, „Młot" wrócił do I Brygady i jako dowódca kompanii wziął udział w kampanii na Wołyniu. Po kryzysie przysięgowym został wcielony do armii austro-węgierskiej i wysłany na front włoski. W maju 1918 r., wskutek odnowienia ran, odesłano go do szpitala. Stamtąd jednak zdezerterował, wrócił do kraju i zaczął działać w Polskiej Organizacji Wojskowej jako komendant okręgu Kutno, a następnie w Warszawie, gdzie brał udział w rozbrojeniu Niemców.

Jak inni legioniści wstąpił następnie do Wojska Polskiego i już na czele batalionu 6. pp brał udział w uwolnieniu od bolszewików Wilna i w dalszych walkach na froncie litewsko-białoruskim. Wiosną następnego roku został mianowany majorem i otrzymał dowództwo I batalionu 5. pp. Na jego czele uczestniczył w ofensywie na Kijów, m.in. odznaczył się w boju o zajęcie Fastowa 1 maja 1920 r. Kilka godzin później – jak wspomniał Wilhelm Wilczyński – „korzystając z wolnego czasu, poszedł sam w stronę stacji towarowej oglądać tabor kolejowy i równocześnie zorientować się co do zdobyczy, jaka może się znajdować w wagonach. Wtem o godzinie 12 nadjechał od strony Kijowa pociąg pancerny i zatrzymał się między stojącymi na stacji wagonami. Bolszewicy, zauważywszy z pancerki kapitana Parczyńskiego [powinno być: majora – przyp. M.G.], oddali do niego kilkanaście strzałów. Kapitan Parczyński, spostrzegłszy nieprzyjacielski pociąg pancerny, usiłował przemknąć się między wagonami i zagubić w labiryncie wagonów, lecz niestety jedna kula dosięgła go w chwili przechodzenia pod wagonami i powaliła na ziemię".

Tak zginął ten mężny oficer, „zawsze uśmiechnięty, zawsze gotów zrobić wszystko najtrudniejsze za innych kolegów". W wojnie z bolszewikami poległ także jego brat Tadeusz Józef, podporucznik WP, także legionista i kawaler Virtuti Militari. Pozostało dwóch braci, również

Czesław Parczyński „Młot"
FOT. NAC

Aleksander Napiórkowski, poseł, który poległ w 1920 r.
FOT. WIKIPEDIA

byli oficerami WP – z nich ppłk. dypl. Czesław Parczyński niemal dokładnie 20 lat później został zamordowany przez NKWD w Charkowie.

Dyskusja z Budiennym

Drugi ze wspomnianych oficerów, Aleksander Napiórkowski, noszący romantyczny pseudonim Kordian, krótko tylko służył w piechocie, wkrótce porzucając ją dla ułanów I Brygady, z którymi przeszedł cały szlak legionowych bojów. Po kryzysie przysięgowym był jednym z nielicznych oficerów legionowych; nie przerywając działalności irredentystycznej, połączył ją z aktywnością polityczną – został czołowym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej w Łodzi. Jako lider łódzkich socjalistów był rzecznikiem współpracy z Polską Organizacją Wojskową, do której zresztą należał. Było to wstępem do wzięcia udziału socjalistów we wspólnym z POW i dowborczykami rozbrojeniu Niemców w Łodzi w pamiętnym listopadzie 1918 r.

Wkrótce Napiórkowski został wybrany na posła na Sejm Ustawodawczy. Aktywny w jego pracach 1 lipca 1920 r. ochotniczo zgłosił się do wojska, by – jak mówił – „dyskutować z Budiennym o komunizmie – szablą i bagnetem". Początkowo podporucznik 1. Pułku Szwoleżerów, wkrótce przeszedł do 108. Pułku Ułanów. Szybko zasłużył na opinię „dzielnego i walecznego oficera". 16 sierpnia został ciężko ranny w bitwie pod Ciechanowem. „Gdy piechota sowiecka [...] chciała dopaść pierwszych zabudowań Ciechanowa, podporucznik Napiórkowski na czele szwadronu zaatakował w konnym szyku następującą tyralierę nieprzyjaciela. Swoim przykładem pociągnął wahający się szwadron i wrąbał się w nieprzyjaciela, odrzuciwszy go do wyjściowych stanowisk. Pod silnym ogniem przeciwnika z K.M. i artylerii wycofał się, tracąc 15 ułanów ze szwadronu. Będąc sam ciężko ranny, mimo silnego ognia utrzymał szwadron i w porządku powrócił do Ciechanowa, gdzie prawie nieprzytomnego zdjęto z konia". Dwa dni później zmarł.

Napiórkowski – poseł socjalista – był jedynym polskim parlamentarzystą, który poległ w wojnie z bolszewikami. Historia tego oficera ma i ten dramatyczny wymiar, że w chwili, kiedy ginął w obronie ojczyzny, jego żona Alicja spodziewała się dziecka. 25 listopada 1920 r. urodziła córkę Aleksandrę, w przyszłości Przełęcką, profesorkę biochemii.

Alicja Napiórkowska, nauczycielka, uczestniczka tajnego nauczaniu w czasie okupacji niemieckiej, po wojnie była kierowniczką jednej z łódzkich szkół. W 1950 r. władze komunistyczne odebrały jej to stanowisko, ponieważ sprzeciwiła się usunięciu z grobu męża inskrypcji mówiącej o jego śmierci podczas odpierania najazdu bolszewickiego na Polskę. Pięć lat wcześniej komuniści zmienili też nazwę ulicy jego imienia w Łodzi. Jednak, co znaczące, nazwisko Aleksandra Napiórkowskiego, socjalisty i bohatera walk z bolszewikami, nie

eprasa.pl 8fdf5bce69

zostało przywrócone przez samorząd tego miasta nawet po 1989 r.

Stary wiarus „Rapid”

W czasie zaciętych walk pod Dyneburgiem późnym latem 1919 r. kompania por. Józefa Mikulskiego odparła trzy kontrataki bolszewików, „nie ustępując ani kroku przeważającym kilkakrotnie siłom npla [nieprzyjaciela]”, jednak podczas czwartego ataku jej dowódca „poległ, jak prawy żołnierz na stanowisku”. Pochodzący z Tarnowa, liczący sobie 45 lat, z zawodu dyplomowany elektromonter, Mikulski był nie tylko najstarszym wiekiem oficerem I Brygady, który zginął z wojnie z bolszewikami, lecz także pierwszym spośród nich.

W ruch niepodległościowy zaangażował się już przed pierwszą wojną światową – był jednym z pierwszych członków Związku Strzeleckiego w Tarnowie, należał do Związku Walki Czynnej. Tego samego dnia sierpniowego 1914 r., kiedy kompania kadrowa przekroczyła granicę zaboru rosyjskiego, wyruszył z tarnowskimi strzelcami do Krakowa, gdzie wszyscy wstąpili do formujących się batalionów legionowych. Mikulski początkowo służył w taborze kompanii kpt. Józefa Wilczyńskiego „Olszyny”, który pisał: „Zorientowałem się dość szybko, że dobre, chociaż proste jedzenie jest zasadniczą podstawą karności, i wyznaczyłem energicznego i wiekiem poważniejszego ob. »Rapida« (Mikulskiego Józefa) […] na kierownika kuchni, pod którego też nadzorem jedzenie ku memu i całego obozu zadowoleniu znacznie się poprawiło [...]. Taborek baonowy był wcale pokaźny i liczył około 7–9 wozów (podwód wiejskich) i 2 kuchnie polowe; konie i uprząż były w stanie wcale dobrym; personel taboru dobrany i karny; wszystko to było zasługą energicznego, dzielnego sierżanta »Rapida«-Mikulskiego”.

Kiedy 8 listopada legioniści rozpoczęli odwrót do Krakowa, tabor Mikulskiego został wyprawiony oddzielnie. Jak podaje Aleksander Narbut-Łuczyński, „tabor ten przez długi czas chadzał swoimi drogami, bo dołączył do batalionu dopiero w Zawoi na Podhalu po 10 dniach

Józef Mikulski „Rapid”
FOT. CAW/WBH

włóczęgi”. To właśnie jednak dowodzenie taborem w czasie odwrotu Legionów stało się później podstawą do odznaczenia Mikulskiego Orderem Virtuti Militari, co uzasadniano także tym, że „przy zerwanych mostach i szybkich odwrotach zawsze na czas dostarczał amunicję i żywność, niejednokrotnie staczając walki z oddziałami i patrolami nieprzyjacielskimi”.

Wkrótce jednak zapragnął Mikulski przydziału bardziej odpowiadającego jego temperamentowi. Został dowódcą plutonu w tym pułku i wraz z nim bił się z Rosjanami w Królestwie Polskim i na Wołyniu, tam też został ranny w boju pod Kołkami. „Na froncie podczas bojowych marszów pomaga słabszym fizycznie a wyczerpanym strzelcom i przykładem zachęca ich do wytrwałości” – pisano o nim. Po kryzysie przysięgowym „Rapid” tułał się na zapleczu Polskiego Korpusu Posiłkowego dopóty, dopóki w drugiej połowie lutego 1918 r. w związku z przejściem jego części przez Rarańczę nie został internowany w Witkowicach.

Nie trwało to długo – nieco ponad rok później jako oficer Wojska Polskiego walczył już przeciw bolszewikom: „Bardzo dzielny i sumienny dowódca komp. [anii]. Przy organizacji i wyszkoleniu swej komp. pracował z całym zaparciem się i oddaniem dla powierzonych mu podwładnych, z poprzedniej służby znam o nim tylko pochlebne opinie. Mimo późnego wieku jeszcze pełen energii i pracowitości [...]. Pracowity z poczucia obowiązku, ożywiony zawsze ideałem poświęcenia się dla sprawy. Na ogół i pod każdym względem bardzo dobry – o dużych zaletach żołnierskich”.

Poległ kilka miesięcy później. Niepewna jest data – koniec sierpnia czy początek września 1919 r. Niepewne także okoliczności – nie wiadomo do końca, czy stało się to w czasie odpierania ataku Armii Czerwonej czy – jak odnotowano w dziejach 6. pp Legionów – został pochwycony przez bolszewików w czasie kontrataku i zamordowany.

Wdowa po Józefie Mikulskim – Maria jeszcze w 1924 r. nie miała pewnych wiadomości o losie męża, sądząc, że znalazł się od w niewoli. W tym samym roku przesłano jej Order Virtuti Militari V kl., na co z goryczą odpowiadała: „[...] ja orderu nie potrzebuję, bo z niego nie mam nic. A ja potrzebuję pomocy, bo utraciłam męża w obronie Ojczyzny i zostałam bez środków do życia”. Wkrótce otrzymała co prawda niezwykle skromną rentę, nadal żyła jednak w złych warunkach materialnych i w połowie lat 30. była zmuszona zwracać się o zapomogę do Kapituły Orderu Virtuti Militari. Bezskutecznie, gdyż Biuro Kapituły takich zapomóg nie udzielało.

„Kula ustrzygła nieco włosów”

Kilka miesięcy po śmierci „Rapida”, na początku 1920 r., w zwycięskiej bitwie o zdobycie Dyneburga wyróżnił się Stefan Holinkowski, któremu – jak wspominał Mieczysław Lepecki, chyba najbardziej znany z adiutantów Józefa Piłsudskiego – w czasie walki pod tym łotewskim miastem „bolszewicy przestrzelili czapkę, ustrzygając nieco włosów”. Pochodzący z Żółkwi oficer przeszedł cały szlak bojowy I Brygady, biorąc udział we wszystkich bitwach od kampanii kieleckiej do zmagań na Wołyniu. „Nadzwyczaj odważny, posiadający zmysł szybkiej orientacji i samodzielności, wybija się w każdej bitwie. Sumienny, pracowity i energiczny” – pisał jego dowódca, Władysław Langner, późniejszy generał WP. Po kryzysie przysięgowym jak inni legioniści – obywatele Austro-Węgier – został wcielony do armii austriackiej i wysłany na front włoski.

Na początku listopada 1918 r. był wśród pierwszych oficerów – byłych legionowych „piątaków”, którzy zgłosili się do odtwarzanego w Krakowie 5. pp – i wziął udział w odsieczy Lwowa. 21 listopada 1918 r. „brawurowym atakiem przy pomocy nadbiegających z K.M.

eprasa.pl 8fdf5bce69

pod dowództwem chor. Mączyńskiego uderzył na baterię ukraińską, stojącą na pozycji i zabrał ją w całości wraz z obsługą. Zajął dworzec Łyczakowski w całości". Był to czyn zgodny z przekonaniem oficerów 5. pp legionowego, że „w chwilach ciężkich, krytycznych – dowódca jest na czele oddziału".

W lutym 1919 r. przeniesiony do 1. pp na stanowisko dowódcy kompanii odznaczył się wybitnym bohaterstwem w zdobyciu Wilna: „Dotarłszy do mostu Zwierzynieckiego, por. Holinkowski porywa kilkunastu żołnierzy, którzy wówczas przy nim się znajdowali, i pod ogniem K.M. i nieprzyjacielskiej piechoty bierze most Zwierzyniecki, przy czym sam zostaje ranny. Bolszewicy, zorientowawszy się, że jest to grupa złożona tylko z kilkunastu żołnierzy, przypuszczają kontratak, który z pomocą nadbiegłego plutonu zostaje krwawo odparty, poczem nieprzyjaciel pierzcha w popłochu. Teraz dopiero por. Holinkowski ranny w kolano oddaje dowództwo kompanii. Wzięcie mostu zadecydowało o zdobyciu miasta i oczyszczeniu tegoż w całości z bolszewików".

Dokładnie rok później uczestniczył w wyprawie na Kijów. Jak pisał Adam Borkiewicz, w czasie ciężkich walk odwrotowych, 20 czerwca 1920 r., „por. Holinkowski chciał zająć dużą wieś Suchą Wolę, by w niej znaleźć oparcie do dalszego działania", tym bardziej że wydawało się, iż jest słabo obsadzona przez czerwonoarmistów. Okazało się jednak, że znajdują się w niej siły znacznie przewyższające liczebnie dwie kompanie, którymi dysponował Holinkowski. „Jednocześnie z ogniem dział zaterkotały dziesiątki karabinów maszynowych, a w kilkanaście minut później ukazały się wielkie masy kawalerii i zajęły nieszczęśliwemu półbatalionowi tyły. Rozproszeni w tyralierze żołnierze, na dobitek w terenie pokrytym wysokim zbożem, musieliby natychmiast ulec w walce z kawalerią, toteż Holinkowski usiłował zebrać ludzi na drodze i sformować czworobok, zdolny do obrony na wszystkich stronach. Dzięki nadludzkiemu wysiłkowi tego oficera, który już w początku bitwy był ranny, udało się ów zamknięty ze wszystkich stron czworobok zebrać i w porządku się cofać" – pisał Lepecki. „Odwrót ten odbywał się w takim porządku, że kawaleria rosyjska nie śmiała wykonać ostatecznej szarży, mimo że otoczony przez nią półbatalion był kilkakrotnie słabszy w porównaniu do nacierających wciąż secin wroga. Cofano się zręcznie od osłony do osłony, wyzyskując na oparcie każdy lasek i każde napotkane błoto. Ranni szli w środku czworoboku, biorąc jednak udział w cięższych starciach […]. Kilkakrotnie kozacy zostali odparci z najbliższej odległości granatami ręcznymi. Walczono tak blisko, że obrzucano się nawzajem obelgami. Nie było nadziei na ocalenie, żołnierze 1-go pułku chcieli jedynie umrzeć z honorem" (Adam Borkiewicz). Porucznik Holinkowski, idący w straży tylnej, został raniony po raz drugi, tak ciężko, że nie mógł iść, „a nie chcąc być dla towarzyszy przeszkodą, ani nie chcąc dostać się do niewoli", rozerwał się granatem. Lecz z 230 jego ludzi dwie trzecie zdołały przedrzeć się do pułku.

> **Ciężko ranny por. Stefan Holinkowski nie mógł iść, a nie chcąc być dla towarzyszy przeszkodą w odwrocie ani też nie zamierzając iść do niewoli, rozerwał się granatem**

Tacy byli ci oficerowie I Brygady, którzy obronili zagrożoną przez bolszewicką Rosję niepodległość swojej ojczyzny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

Polscy żołnierze nad Dźwiną pod Dyneburgiem, 1919 r. FOT. NAC

eprasa.pl 8fdf5bce69

Zamach bombowy OB PPS. Z teki Antoniego Kamieńskiego „Duch rewolucjonista”

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

XX w. / Młodość przyszłej żony Marszałka

Towarzyszka „Ola” z dynamitem

Tomasz Czapla

Była kierowniczką składu amunicji bojówki PPS, przewoziła broń i kochała się w Józefie Piłsudskim

Zanim została stateczną panią Marszałkową, była „Olą” Szczerbińską – działaczką Polskiej Partii Socjalistycznej. I to nie byle jaką – brała udział w niebezpiecznych misjach, z czasem zaś objęła kontrolę nad PPS-owskimi magazynami broni w Warszawie. Uczestniczyła w akcji pod Bezdanami, nie ominęło jej więzienie. A wszystko zaczęło się od domu w Suwałkach.

W dzieciństwie Aleksandra Szczerbińska chłonęła opowieści o historii Polski, a szczególnie o powstaniu styczniowym. Głównie za sprawą babki, Karoliny Zahorskiej, która wraz z ciotką Marią Zahorską odpowiadała za wychowanie małej Oli, gdyż jej rodzice zmarli, gdy miała 10 lat. Charakterna, wymagająca i apodyktyczna – tak przyszła Marszałkowa zapamiętała nestorkę rodziny. Niemniej jednak darzyła ją szacunkiem, a nawet podziwem: „Babka […] inteligencją, oczytaniem, głębią umysłu i szeregiem innych zalet przewyższała bez wątpienia większość swoich rówieśniczek”.

Karolina Zahorska wykazała się hartem ducha podczas styczniowego zrywu. To u niej odbywały się konspiracyjne spotkania powstańców, zaangażowała się też w przechowywanie broni. Kilkukrotnie zdarzyło jej się transportować podziemne pistolety, amunicję, ulotki i odezwy. Upadek powstania był dla babki Oli Szczerbińskiej prawdziwą traumą – od tej pory na znak żałoby nosiła wyłącznie czarne suknie, a na palcu pierścionek z wygrawerowaną datą: 1863.

Ta pamiątka fascynowała Olę i dziewczynka wciąż prosiła seniorkę o zgodę na założenie pierścionka. W końcu babka się zgodziła, ale postawiła warunek, a wnuczka na zawsze zapamiętała tę scenę: „– Możesz nosić go tylko wówczas, gdy będziesz patriotką, Olu. […] Wierzę, że chcesz [walczyć o Polskę] – odrzekła na koniec. – Olu, moje dziecko, przyrzecz mi, że będziesz walczyć! – Przyrzekam, babciu – powtórzyłam uroczyście, przejęta grozą i mocą uczucia w jej głosie”.

Do tego doszły podsłuchane rozmowy domowników o powstaniu i widok powracających z Sybiru zesłańców, zwłaszcza brata babki – z bliznami po knucie, ale z niezachwianym patriotyzmem. Polskość Szczerbińskiej kształtowała się też w zetknięciu ze szkolnymi represjami w rosyjskiej szkole. Między

eprasa.pl 8fdf5bce69

Więzienne zdjęcie Aleksandry Szczerbińskiej, aresztowanej w 1915 r. przez Niemców FOT. MUZEUM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU

innymi za „polskie" uczesanie została ukarana tygodniowym zakazem rozmów z koleżankami.

Niepodległość i socjalizm

Aleksandra miała więc zadatki na antycarską buntowniczkę. I stała się nią, ale po ukończeniu suwalskiego gimnazjum priorytetem była dalsza edukacja, a później praca. Mimo oporów rodziny, szczególnie ciotki Marii, co do nauki, i to w dużym mieście – Warszawie, młoda kobieta postawiła na swoim – z błogosławieństwem babki stała się w 1901 r. słuchaczką Wyższej Szkoły Handlowej Józefy Siemiradzkiej. Studiujące kobiety należały wówczas do rzadkości, więc i tu widać niepokorność i determinację Szczerbińskiej. Między zgłębianiem wiedzy z buchalterii i towaroznawstwa Szczerbińska znalazła czas na Uniwersytet Latający.

W przeróżnych miejscach, w których organizowano wykłady – w kwaterach studenckich, w salonach arystokratycznych, a nawet w pracowniach malarskich – uczyła się potajemnie, a przy okazji uczestniczyła w debatach rozpolitykowanej młodej Warszawy. Politykowali i młodzi endecy, i PPS-owcy, i przyszli komuniści, a podczas kursów w szkole Siemiradzkiej Aleksandra zetknęła się z myślą pozytywistów. Tę ostatnią natychmiast odrzuciła, ponieważ „ta doktryna oportunistyczna osobistego dobrobytu […] paraliżowała wolę walki o niepodległość". Endecy zrazili ją dążeniem do kompromisu z Rosją, a do internacjonalistycznej lewicy czuła niechęć z uwagi na wyrzeczenie się haseł niepodległościowych. Pozostała Polska Partia Socjalistyczna, wrażliwa społecznie i jednocześnie nastawiona na bój z caratem o wolną Polskę. W PPS kobiet było stosunkowo najwięcej i realizowały one bardziej ambitne zadania, o których gdzie indziej mogły jedynie pomarzyć. Ostatecznie Aleksandra wstąpiła do partii w 1904 r. Obserwowała z bliska niedolę robotników – po studiach pracowała jako urzędniczka przy fabryce wyrobów skórzanych na Woli.

Broń w psich budach

Pierwsza misja towarzyszki „Oli" w partii? Wyprawa na Bródno i założenie tam Koła Żeńskiego PPS. Terenem działalności konspiratorki stała się także Praga, gdzie co niedzielę odwiedzała mieszkania proletariackie i agitowała wśród robotnic. Występowała też z przemówieniami w fabrykach, np. w 1907 r. w zakładzie w Żyrardowie. Szybko jednak kontakty działaczki z robotnikami zeszły na plan dalszy wobec jej aktywności w Organizacji Bojowej PPS. W nowej roli zadebiutowała w 1904 r., podczas słynnej manifestacji PPS na placu Grzybowskim, która przeobraziła się w pierwsze zbrojne stracie przeciw rosyjskiemu zaborcy od czasów powstania styczniowego. W demonstracji nie wzięła udziału. Miała inne zadanie, czuwała w pobliskim kościele. W pewnym momencie jeden z bojowców uciekających przed policją przekazał jej dwa rewolwery. Schowała je pod klęcznikiem i wyszła, a nazajutrz zabrała broń i przekazała ją do umówionego składu.

Aleksandra miała masę szczęścia – nie dość, że bezproblemowo przeszła rewizję przy wyjściu ze świątyni, to kilkadziesiąt metrów dalej cudem uniknęła pocisku wystrzelonego przez rosyjskiego policjanta. Jak wspominała: „Kula świsnęła nade mną; mgła zasłoniła mi oczy i zakręciłam się w kółko na miejscu. Gdy po chwili zawrót głowy minął, ruszyłam powoli do domu". Te perypetie nie zniechęciły jej do pracy w PPS, działała coraz intensywniej i cieszyła się coraz większym zaufaniem ze strony partii. Pod koniec 1905 r. powierzono jej organizowanie sieci PPS-owskich składów broni w Warszawie. Od tej pory od niej zależał los tysięcy noży, karabinów, pistoletów i rewolwerów, które partia sprowadzała z zagranicy i które posłużyły do zamachów na rosyjskich policjantów, wojskowych i szpicli.

PPS zaopatrywała się w oręż m.in. w Belgii (broń palna) i Finlandii (noże). Na przykład mauzery i browningi kupowano w belgijskich fabrykach, stamtąd kurierzy transportowali je przez Niemcy i Austrię do Krakowa lub Sosnowca i dalej, przez granicę, w głąb Królestwa Polskiego. Broń trafiała do składu w Warszawie, a następnie była wysyłana w teren, na akcje bojówki. Szczerbińska czuwała nad całym tym procesem: od pozyskania kurierów (z różnych środowisk, od lekarzy i profesorów do chłopów i robotników) i osób przerzucających transport przez granicę austriacko-rosyjską (kolejarze, PPS-owcy albo zawodowi przemytnicy) do organizacji magazynów broni w stolicy, w dziesiątkach lokalizacji, takich jak prywatne mieszkania, zakład krawiecki, gabinet szpitalny, stolarnia, psie budy.

Bojowe perypetie

Aleksandra Szczerbińska nie była typem działaczki, która nadzorowała wszystko z dystansu. Nie uchylała się od „czarnej roboty" i gdy trzeba było, sama

eprasa.pl 8fdf5bce69

czyściła i oliwiła zmagazynowaną broń. Niestety, umiejętność obchodzenia się z różnego rodzaju uzbrojeniem nie uchroniła konspiratorki przed wypadkiem. Doszło do niego w mieszkaniu pewnej malarki, gdzie „Ola" wcześniej ukryła mauzery – jakiś czas później wróciła w to miejsce, aby pobrać z zapasów kilka pistoletów. Wszystko szło dobrze do momentu, gdy w trakcie pakowania broni do kosza na bieliznę uwagę kobiety zwrócił jeden z egzemplarzy, z niedomkniętym zamkiem. Próba domknięcia zakończyła się fatalnie – mauzer wypalił i zranił Szczerbińską. Szczęście w nieszczęściu, że w stopę, a żadna z kości nie została naruszona.

Skończyło się na opatrunku u zaufanego lekarza i dwóch tygodniach w łóżku. Potem okazało się, że winna całego zajścia była malarka, która przed przybyciem Aleksandry pożyczyła broń przyjacielowi – co prawda, odzyskała ją na czas, ale nie sprawdziła, czy jest nabita. Nie brakowało jednak sytuacji, które po latach wzbudzają uśmiech – przykładem wyprawa Aleksandry i jej koleżanki, Hanny Paschalskiej, z nabojami. Obie przenosiły ten sam ładunek, ale wybrały inny sposób transportu. Szczerbińska przymocowała naboje (800 sztuk!) do specjalnego pasa, który założyła pod szeroką bluzkę, Paschalskiej jako schowek posłużyły majtki, zawiązywane pod kolanami. Efekt? „Dochodziłyśmy już prawie do dworca, gdy Hanka zatrzymała się nagle z pobladłą twarzą i szepnęła: – Taśma od majtek pękła! [...] Po chwili istny deszcz naboi lunął spod spódnicy do rynsztoku, wywołując zrozumiałe zdziwienie przechodniów".

Nie było ani chwili do stracenia, bojowniczki się rozdzieliły, obie szczęśliwie uniknęły aresztowania przez policjantów. Szczerbińska transportowała nie tylko amunicję, lecz także rewolwery, materiały do bomb, a nawet same bomby. Jako kurierka miała udział w słynnym zamachu Stefana Okrzei na cyrkuł policji na Pradze. To od niej legendarny bojowiec PPS odebrał ładunek wybuchowy. Działalność w bojówce absorbowała Aleksandrę do tego stopnia, że wiosną 1906 r. poświęciła się jej całkowicie i głównie dla niepoznaki dorabiała jako nauczycielka, ucząc młode kobiety języków obce, chemii i matematyki. Można

Rysunek z broszury PPS „Pistolet browning"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

się zastanawiać, jakim cudem znalazła jeszcze czas na miłość – historia jej związku z Józefem Piłsudskim to temat na osobny tekst. W tym miejscu wspomnijmy jedynie, że podczas pierwszego spotkania w maju 1906 r. Ziuk i Ola, jak przystało na ludzi podziemia, wspólnie liczyli browningi i mauzery.

Warszawa – Bezdany – Lwów

Carskie służby długo nie mogły wpaść na ślad towarzyszki „Oli" i potrzebny był donosiciel w szeregach PPS, aby ją ujęli. Był styczeń 1907 r. Najpierw Szczerbińska znalazła się za murami aresztu śledczego przy ul. Daniłowiczowskiej, kolejnym przystankiem było więzienie Pawiak. Na szczęście śledczy nie znaleźli dowodów na konspiracyjną aktywność, a twarda postawa Aleksandry nie ułatwiła im zadania. Bojowniczka nie zdradziła nikogo ani niczego, a po wyjściu na wolność i podjęciu niezbędnych środków ostrożności (wyjazd do przyjaciół, a nie do domu, przefarbowanie włosów na blond) natychmiast rzuciła się w wir konspiracji. Wsiadła w pociąg do Kijowa i przywiozła dla tamtejszych niepodległościowców kufer pełen rewolwerów i amunicji. Podróż przebiegła bezpiecznie, podobnie pobyt, pod jednym względem wyjątkowy. Właśnie nad Dnieprem Piłsudski wyznał Szczerbińskiej, że ją kocha...

Z czasem młoda działaczka stała się dla przywódcy PPS nie tylko ukochaną, lecz także jednym z najbardziej zaufanych współpracowników. Nie mogło więc jej zabraknąć przy okazji przygotowań do akcji pod Bezdanami w 1908 r., a także w trakcie samego napadu. Jakie zadania czekały Aleksandrę? Przewóz dynamitu z Sosnowca do Wilna, rekonesans terenu wokół Bezdan oraz naniesienie niezbędnych korekt na mapach bojowców, dostarczenie części zrabowanych pieniędzy do Kijowa, wreszcie – po dwóch miesiącach od akcji – powrót do Bezdan i wykopanie w okolicznym lesie ukrytych wcześniej zdobytych rubli, a następnie transport gotówki do Galicji. Nie obyło się bez perypetii, chociażby w drodze do Wilna, gdy sąsiedzi Szczerbińskiej z przedziału pomylili walizkę i przy wysiadaniu zabrali tę, w której schowała pas z dynamitem. Kurierka zorientowała się w sytuacji, gdy byli już na peronie – dosłownie w ostatniej chwili wyskoczyła z pociągu, podbiegła do współpasażerów i zdołała odzyskać bagaż.

Po akcji bezdańskiej Ola zamieszkała we Lwowie. Na brak zajęć nie narzekała: na co dzień pracowała w biurze, a po godzinach zajmowała się korespondencją i biblioteką Związku Walki Czynnej, organizacji założonej w 1908 r. Na potrzeby ZWC tłumaczyła też książki z zakresu wojskowości – taktyki, strategii i historii wojen. Przydały się wówczas umiejętności lingwistyczne Aleksandry – sięgała zarówno po dzieła rosyjskie, jak i francuskie czy niemieckie. W 1912 r. wstąpiła w szeregi lwowskiego oddziału żeńskiego Związku Strzeleckiego. Przez dwa lata wraz z innymi ochotniczkami (wojskowy kurs rozpoczęło 60 kobiet) uczyła się teoretycznie i praktycznie takich zagadnień jak m.in. nauka o broni, składanie i rozbieranie bomb, strzelanie, szkice terenowe, pielęgniarstwo chirurgiczne, organizacja wojska rosyjskiego („Znałam na pamięć dystynkcje wszystkich pułków armii przeciwnika") – I rok oraz geografia militarna, musztra, obrona miast, taktyka i intendentura – II rok. Zdobytą wiedzę już wkrótce mogła wykorzystać jako komendantka kurierek I Brygady Legionów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przy pisaniu tekstu korzystałem z publikacji: „Polscy terroryści" Wojciecha Lady, „Wspomnienia" Aleksandry Piłsudskiej, „Aleksandra Piłsudska (1882–1963)" Marty Sikorskiej i „Polska Partia Socjalistyczna 1892–1948: zarys dziejów" Włodzimierza Sulei.

eprasa.pl 8fdf5bce69

1875–1946 / Figurant na czele komunistycznego państwa

Michaił Kalinin i Józef Stalin

FOT. GETTY IMAGES

Piotr Semka

Krwawy „starosta” Związku Sowieckiego

Michaił Kalinin gorliwie podpisywał wszystko, co mu podsuwano, także decyzję o dokonaniu zbrodni nazwanej katyńską

Komisja Standaryzacji Nazw Geograficznych poza granicami RP uchwaliła, że dla określania miasta Kaliningrad zalecana jest wyłącznie polska nazwa Królewiec, a dla obwodu

eprasa.pl 8fdf5bce69

kaliningradzkiego – obwód królewiecki. Jak stwierdził minister rozwoju i technologii Waldemar Buda: „Fakt nazwania dużego miasta położonego blisko naszej granicy imieniem M.I. Kalinina, czyli zbrodniarza współodpowiedzialnego m.in. za wydanie decyzji o masowym wymordowaniu polskich oficerów w Katyniu w 1940 r., budzi w Polakach negatywne emocje".

Strona rosyjska zareagowała na decyzje polskich władz w sposób neurotyczny. Gubernator Królewca Anton Alichanow w wywiadzie dla „Komsomolskiej Prawdy" ogłosił, że niewdzięczna Polska bierze się za zmianę nazwy „naszego Kaliningradu" niepomna, że po ostatniej wojnie dostała od wielkodusznego Stalina część Prus Wschodnich, a więc ziemie, które nigdy do niej nie należały. Przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew uznał krok Polaków za „próbę uczenia nas historii przez polskich rusofobów". Dodał kąśliwie, że teraz na podobnej zasadzie Gdańsk powinien nazywać się Danzig, Szczecin – Stettin, a Wrocław – Breslau. I wreszcie rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow zdefiniował zmiany w Polsce jako stan chorobowy: „To nawet nie rusofobia, ale graniczący z szaleństwem proces, który trwa w Polsce. W ciągu całej swojej historii Polska od czasu do czasu wpada w to szaleństwo".

W żadnej z rosyjskich gazet – z chlubnym wyjątkiem dziennika „Kommiersant" – nie znalazła się informacja, że to także podpis Kalinina znalazł się 5 marca 1940 r. pod uchwałą, w której bez sądu i bez śledztwa skazano na śmierć ponad 22 tys. Polaków wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną. Kim jednak był Michaił Iwanowicz Kalinin? Spośród przywódców Związku Sowieckiego jest politykiem stosunkowo mało znanym. Dziś z okazji sporów o nazewnictwo miasta, które obdarzono jego nazwiskiem, warto przypomnieć tę postać, której pozory dobroduszności skrywały człowieka podpisującego stalinowskie wyroki śmierci.

Wieśniak z Górnej Trójcy

Kalinin był wśród przywódców sowieckim jednym z niewielu ludzi o chłopskim pochodzeniu. Włodzimierz Lenin nie przepadał za chłopskimi dziećmi. Podobnie jak Marks lubił irytować się „idiotyzmem chłopskiego życia" i do rosyjskich rolników podchodził z dużą nieufnością. Michaił Kalinin przychodzi na świat w zapadłej wsi Górna Trójca 7 (19 – starego stylu) listopada 1875 r. Jest pierworodnym synem niezwykle ubogiej rodziny chłopskiej w rejonie Tweru. Mały Misza ma zwyczaj kąpać się w stawie i tam właśnie poznaje dzieci miejscowego ziemianina, gen. Mordukhaja-Bołtowskiego, które przyjeżdżały na letni wypoczynek. Bogaty ojciec zgadza się, by wiejski chłopiec uczył się z jego stypendium w szkole publicznej. Kalinin nie marnuje szansy od losu i otrzymuje w szkole dyplom za wzorowe zachowanie i pracowitość. Rodzina Bołtowskiego zabiera 13-letniego Michaiła do stolicy – Petersburga – gdzie służy jako chłopiec do usług domowych. Kalinin odkrywa wówczas świat książek i rozpoczyna drogę samokształcenia. Gdy jesienią 1873 r. Maria Iwanowna Mordukhaj-Bołtowska kieruje 18-letniego Michaiła do pracy w petersburskiej fabryce nabojów Stary Arsenał, jest rok 1893. Trzy lata później Kalinin opuszcza fabrykę i zaczyna pracować w zakładach Putiłowa jako tokarz. Nasiąka tam ideologią rewolucyjną i zostaje zawodowym bojownikiem w walce z caratem.

„Rosyjski chłopski prezydent" na okładce amerykańskiego tygodnika
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wiosną 1898 r. wstępuje do Socjaldemokratycznej Partii Demokratycznej Rosji i zaczyna pisywać artykuły do pisma „Raboczaja Myśl". Wtedy zostaje aresztowany z innymi członkami kółka marksistowskiego i po 10 miesiącach aresztu śledczego staje przed sądem. Wyrok skazuje go na zesłanie, zostaje wysłany do nieskażonego w większym stopniu ruchem rewolucyjnym estońskiego Rewla, czyli dzisiejszego Tallina. Trafia tam w 1903 r. do więzienia i przez kolejne lata przechodzi wszystkie etapy wtajemniczenia rewolucyjnego. Ustawicznie udaje mu się uciekać z rąk policji i staje się specjalistą od ukrywania się. W końcu władzom udaje się go wysłać na zesłanie do Syberii Wschodniej – do guberni ołonieckiej. Trafia do małej wsi Mijandusielga w Karelii. Władze uznają go za stosunkowo mniej groźnego rewolucjonistę i skracają o jedną trzecią jego czas zsyłki.

W 1905 r. Kalinin przenosi się do Petersburga, gdzie poznaje Lenina. W czasie wybuchu rewolucji rosyjskiej w kwietniu 1906 r. zostaje delegatem na tzw. IV Zjazd Jedności Rosyjskiej Socjaldemokratycznej Ludowej Partii w Sztokholmie. Kolejne lata naznaczone są aresztowaniami i aresztami. W 1916 r. policja petersburska zatrzymała go 16. raz. Jednak to już koniec złych czasów dla Kalinina. Choć jeszcze trafia na Syberię Wschodnią pod dozorem policji, to znów ucieka i wraca skrycie do Petersburga, gdzie czeka na rozkazy Lenina. W czasie rewolucji lutowej nie odznacza się żadnym większym zmysłem bojowym, ma jedynie zadanie rozbrojenia straży oddziałów estońskich. Po wygranej rewolucji w listopadzie 1917 r. zostaje burmistrzem Petersburga, ale jego wielka szansa przychodzi po śmierci Jakowa Swierdłowa, gdy obejmuje po nim przewodnictwo Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad. Jest formalnie głową państwa bolszewickiego, ale nikt nie traktuje go serio. Ze swoim chłopskim powolnym sposobem mówienia jawi się jako typowy rosyjski mużyk. Stalin akceptuje go jako przywódcę w pełni kontrolowanego, ale mającego możliwość interweniowania w poszczególnych losowych sprawach. W czasie wojny domowej nie wącha zbytnio prochu. Jeździ w propagandowym pociągu jako formalna głowa państwa, patronuje akcji ratunkowej

eprasa.pl 8fdf5bce69

na rzecz ofiar głodu na terenach wokół Wołgi w latach 1921–1922.

Pierwszy Zjazd Rad Związku Sowieckiego 30 grudnia 1922 r. przynosi Kalininowi potwierdzenie jego stanowiska przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR. Nazywany jest odtąd „wszechzwiązkowym starostą". Wszyscy są zadowoleni z obsadzenia tego stanowiska, gdyż mało ambitny Kalinin nie jest postrzegany przez żadną ze stron walki o władzę. Stalin, który zmierza do wysadzenia z siodła Lwa Trockiego i chce zostać faktycznym następcą Lenina, wie, że Kalinin może mu się przydać. Zresztą Kalinin szybko pojmuje, że nie należy wchodzić w grę Stalinowi, i robi wszystko, aby zachować swoje stanowisko. W 1926 r. „wszechzwiązkowy starosta" zostaje członkiem Biura Politycznego i jest to już awans do grupy partyjnych nadludzi.

Dla Stalina Kalinin jest wyjątkowo wygodny, Józef Wissarionowicz ma na niego mocne haki. W grudniu 1928 i w marcu 1929 r., podczas jego walki z tzw. odchyleniem prawicowym, szef Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej otrzymuje materiały o bardzo kompromitujących Kalinina zeznaniach w czasie przesłuchań przez carską policję. A na podstawie jego zeznań policja dokonała wielu aresztowań w podziemnych organizacjach rewolucyjnych. Stalin jednak rozgrzesza kogoś, kto mu nie wadzi na najwyższym stanowisku. Gruziński satrapa wyjaśnia Mołotowowi: „Nie ma wątpliwości, że Kalinin jest grzesznikiem. Wszystko, co mówi się o Kalininie w zeznaniach, jest prawdą". W ten sposób Stalin ogłasza: „Kalinin to łobuz, ale to mój łobuz". W zamian za parasol bezpieczeństwa Kalinin podpisuje wszystko, co jest potrzebne Stalinowi.

Morderca zza biurka

7 sierpnia 1932 r. Michaił Kalinin podpisuje dekret o ochronie własności przedsiębiorstw państwowych, kołchozów i spółdzielczości, który ugodził w ludność Ukrainy walczącą z wielkim głodem. Był to tzw. dekret pięciu kłosów. Za ich kradzież można było wymierzyć karę śmierci. W 1934 r. Kalinin podpisuje kolejny „krwawy dekret" po zleconym przez Stalina zabójstwie Sergiusza Kirowa, jego rywala z Leningradu. Na podstawie tego dekretu rozstrzeliwane są dziesiątki tysięcy ludzi w całej Rosji. Dekret określa, że dochodzenia powinny kończyć się w ciągu 10 dni. Akt oskarżony może zobaczyć dzień przed rozprawą w sądzie. Likwiduje się skargi kasacyjne od wyroków, a egzekucje wykonuje się niezwłocznie po ogłoszeniu postanowienia sądu.

Pomnik-nagrobek Kalinina pod murem Kremla

FOT. WIKIPEDIA/REDA KERBUSCH

Jak wspomina Iwan Groński, jeden ze świadków wydarzeń, Kalinin niekiedy próbował odgrywać rolę kogoś, kto nie pochwala masowych czystek. Groński wspominał: „W 1936 r. krytyk Piotr Rożkow zadał Kalininowi pytanie: »Dlaczego jest tylu u nas wrogów? Przecież za Lenina takich ludzi nie aresztowano, Lenin próbował ich pokierować, skłonić do wyrzeczenia się błędów«". Kalinin miał odpowiedzieć: „Stalin to nie Lenin. Wszyscy pracowali dla Lenina. Trocki, Zinowiew i Bucharin, ale Stalin to nie to samo. Nie ma wystarczająco wiedzy jak Lenin, nie ma doświadczenia i nie ma autorytetu".

Nie wiadomo, czy takie delikatne słowa krytyki dotarły do wodza. Raczej nie, bo 17 stycznia 1938 r., na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR, Kalinin ponownie został wybrany na jej przewodniczącego. Znane są pojedyncze przykłady jego interwencji w przypadkach niektórych ofiar wielkiego terroru. Prawdopodobnie Stalin dał mu na nie przyzwolenie. W październiku 1938 r. Kalinin staje przed kolejnym testem wierności. Jego żona Jekatierina Iwanowna Lorber zostaje aresztowana na mocy ustawy antyterrorystycznej, którą podpisał jej własny mąż. „Kalinin jest sparaliżowany strachem i nie śmie interweniować u Stalina w sprawie małżonki. Przez wiele lat żyje w strachu, że aresztowanie żony to zapowiedź aresztowania jego samego. Żonę zwolniono dopiero pod koniec wojny, w 1944 r.

Zepsute krymskie wakacje

Jak tłumaczono jego długą karierę i omijanie jego osoby przez kolejne kręgi stalinowskiej czystki? Chruszczow we wspomnieniach wyrażał się o Kalininie w sposób lekceważący, wskazując, że Stalin potrzebował figuranta mającego mały wpływ na rzeczywistość. Sam zresztą Kalinin zracjonalizował sobie wszystkie podłości, które musiał firmować swoimi podpisami, niewielką liczbą udanych interwencji w pojedynczych przypadkach. Od końca 1945 r. Kalinina coraz bardziej trapią różne choroby, ma już 70 lat. 19 marca 1946 r. na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR zostaje odwołany z funkcji przewodniczącego prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Zostaje wysłany przez Stalina na Krym, ale – jak wspominał sam Kalinin – z powodu ciągłych spotkań i mityngów nie zdążył odpocząć. Także dlatego, że był nachodzony przez ludzi traktujących go jako ostatnią deskę ratunku w wypadku wielu krzywdzących i niemądrych decyzji władz. Po powrocie z Krymu dowiaduje się od lekarzy, że rak jelit wchodzi w ostatnią fazę. Umiera 3 czerwca 1946 r. Jego szczątki trafiają pod mur Kremla, co jest bardzo wysokim uhonorowaniem, a jego imię otrzymuje poniemiecki Königsberg – Królewiec.

Był postawionym z kaprysu Stalina na wysokim fotelu kompletnym zerem, które podpisywało wszystko to, co mu podsuwano. Uchwałę politbiura skazującą polskich oficerów na śmierć podpisał z równą gorliwością, jak dekret związany z wielkim głodem na Ukrainie i ten wydany po zabójstwie Kirowa. Jego pomniki dalej stoją w Rosji Putina, a w klimacie wyrozumiałości dla „skomplikowanych" okoliczności historycznych nikomu nie wadzi odgrzewanie legendy o dobrym wujku Kalininie, który zza swego biurka na moskiewskim Kremlu pomagał zwykłym ludziom. W Polsce taki postsowiecki sentymentalizm na nikim nie robi wrażenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

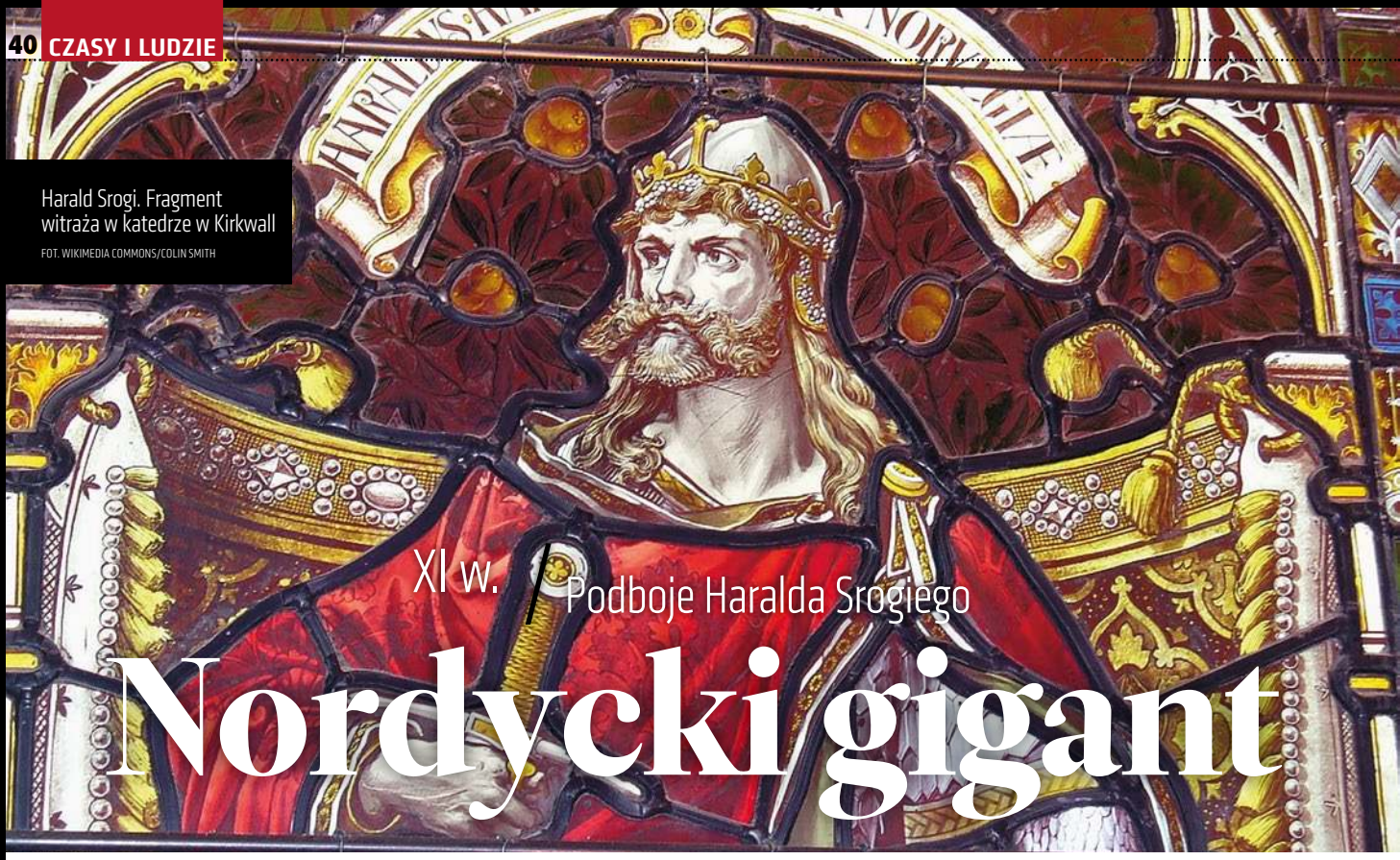

Harald Srogi. Fragment witraża w katedrze w Kirkwall

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/COLIN SMITH

XI w. / Podboje Haralda Srogiego

Nordycki gigant

Jakub Ostromęcki

Jego usiana trupami droga do tronu Norwegii liczyła tysiące kilometrów – zapuścił się podczas niej nawet na Mazowsze. Jest to opowieść krwawa, ponura, a także pełna epickiego rozmachu

Harald Srogi był mężem potężnym nawet jak na dzisiejsze czasy. Mierzył bowiem 2 metry 30 centymetrów wzrostu. Miał blond włosy, jasną długą brodę i gęste wąsiska. Nordyk nad nordykami. Jedna brew uniesiona wyżej – czy to naturalnie, czy też w skutek cięcia mieczem – nadawała mu dziki wygląd. „Mężowie piękni i rośli" – tak nazwał jemu podobnych mnich kronikarz z klasztoru w Fuldzie. Damy z cesarskiego pałacu w Konstantynopolu spozierały na przybysza z północy z mieszanką strachu i podniecenia. Jego usiana trupami droga do tronu Norwegii liczyła tysiące kilometrów, biegnąc przez Bałtyk, mroźne bezkresy Rusi i upalne południe: Bizancjum, święte Jeruzalem i Sycylię.

Harald urodził się w 1012 lub 1015 r. Dla konstantynopolitańskich elit był barbarzyńcą z nieznanego mroźnego kraju. W Norwegii nie był jednak anonimem. Po matce był przyrodnim, młodszym o prawie 20 lat bratem króla Olafa Świętego. Od małego był hardy. Podczas uczty starszy brat udał rozwścieczonego i jął straszyć młodszych braci. Malcy pochowali się pod ławy. Tylko rozbawiony Harald pociągnął starszego brata za brodę. Zaraz potem wydarzyła się scena, która musiała być inspiracją dla Johna Miliusa, reżysera „Conana Barbarzyńcy". Król Olaf zapytał braci, co jest najlepsze w życiu: „olbrzymie stado krów", „dużo ziemi" – odpowiadał jeden przez drugiego. „Drużyna wiernych rębajłów" – odrzekł jako ostatni mały Harald, puszczając w sadzawce wystrugane langskipy.

Ucieczka na Ruś

W 1030 r. tron Olafa zaczął się chwiać. Pstrokata koalicja jarlów, chłopów i zwolenników Knuta Wielkiego podniosła bunt. Gdy pod Stiklestad, niedaleko dzisiejszego Trondheim, Olaf szykował się do bitwy, w obozie nagle pojawił się młody Harald. Wymyślił sobie, że stanie ramię w ramię z dorosłymi wojami w ścianie tarcz. Król początkowo nie chciał o tym słyszeć, ale w jakiś tajemniczy sposób Harald dopiął swego. Mogło się to dla niego skończyć tragicznie. Król bitwę przegrał i padł usieczony. Harald został ciężko ranny. Z pola bitwy chyłkiem uniósł go towarzysz i umieścił w lasach u zaufanego chłopa. Harald lizał rany kilka miesięcy, po czym wieśniak sobie tylko znanymi ścieżkami przeprowadził go przez pustkowia, do Szwecji. Wiosną, wraz z innymi ocalałymi z stiklestadzkiej klęski, ruszył przez Bałtyk aż na Ruś, do dawnego sojusznika – jarla Jarisleifa, znanego nam jako książę Jarosław Mądry. Chłopak i wódz potrze-

eprasa.pl 8fdf5bce69

Gwardia wareska w służbie Bizancjum

FOT. WIKIPEDIA

bowali siebie nawzajem. Harald chciał pomścić brata i odzyskać tron, natomiast Jarosław potrzebował kilku setek skandynawskich wojów do odebrania Piastom Grodów Czerwieńskich. W 1031 r. kolczugi drużynników niezdarnego Mieszka II poczuły smak wikińskiego topora. Młody Harald poczynał sobie w tej kampanii śmiało, stając się zastępcą wodza całego wikińskiego kontyngentu – jego dowódcą był syn wojownika, który uratował go pod Stiklestad. Wiemy też, że zapuścił się na Mazowsze lub nawet na Kujawy. Po zwycięskiej kampanii towarzyszył Jarosławowi w wyprawach aż pod Ural i na stepy.

W czasie jednej z uczt w Nowogrodzie lub Kijowie wpadła mu w oko córka Jarosława, Elżbieta, na którą Harald wołał ze skandynawska Ellisif. Młody wiking zwał ją „boginią" – nie ją jedyną zresztą. Jej ojciec nie bez kozery nazywany był mądrym. „Dostaniesz ją, ale najpierw przywieź złoto" – odrzekł na zaloty Haralda. W realiach ówczesnej Rusi oznaczało to: „Jedź do Bizancjum bić się za pieniądze". Harald potrzebował i żony, i złota, więc w połowie lat 30. zebrał na łodzie swoich 500 wojów i ruszył Dnieprem na południe do najwspanialszego miasta tej części świata – Miklagardu, czyli Konstantynopola. W owej ekipie było kilku wojów z Orkadów i nawet dalekiej Islandii. Był to fenomen w świecie, gdzie horyzont geograficzny przeciętnego człowieka sięgał do najbliższego grodu, klasztoru lub targowiska.

Centrum cywilizacji

W cesarstwie owych zamorskich gości nazywano Rusami lub Waregami. Rus mógł, ale nie musiał być Słowianinem (tych Grecy nazywali Sklavenoi). W czasach, gdy Harald służył w Bizancjum, termin ten oznaczał przybyłego z Rusi Skandynawa – takie pochodzenie miało 500 jego wojów. Wikingowie na Rusi bardzo szybko się asymilowali i w drugiej połowie XI w., już po epoce Haralda, Rus stał się słowiańskim Rusinem, a dla Skandynawów zarezerwowano termin „Wareg".

Gwardia wareska była elitą armii bizantyjskiej. Aby się do niej dostać, nie wystarczyło być dobrym wojownikiem, ale należało wpłacić wpisowe w złocie, być może jako swoistą „składkę wypadkową". Drużyna Haralda rozpoczęła służbę na Morzu Egejskim, gdzie jak na ironię zajmowała się zwalczaniem piractwa. Od każdego zdobytego statku wojowie otrzymywali procent zysku. Harald dobrze wywiązał się z zadania. Wysłano go potem jako dowódcę eskorty pielgrzymów zmierzających do Jerozolimy. Zmiótł bez trudu luźne bandy rabusiów, po czym obmył się w Jordanie. Harald nie był już bowiem zatwardziałym poganinem broniącym starych bogów przed Rzymem czy Konstantynopolem. Imponowała mu potęga chrześcijaństwa i to, jak bardzo wzmacniało ono cesarską władzę. Po powrocie do Norwegii fundował zatem kościoły i szerzył nową wiarę, ale jednocześnie układał pieśni i wiersze, gdzie wzywał pogańskie boginie. Nie zamierzał również poprzestawać na jednej żonie. Nowa wiara nie stępiła też jego skłonności do okrucieństwa.

Potem przyszedł czas na rozprawę z prawdziwym przeciwnikiem. Haraldowi woje trafili na Sycylię, by odbijać ją z rąk Arabów. W czasie oblężeń Harald zastosował kilka zmyślnych forteli. Jedno z miast zdobył, chwytając ptaki wylatujące na żer do pobliskiego lasu. Kazał je złapać, przywiązać im do ogonów płonące szmaty i puścić wolno. Nieszczęsne zwierzęta odleciały ku drewnianym dachom, momentalnie wzniecając pożary i wywołując panikę, w skutek czego miasto się poddało. Wikingowie wspaniałomyślnie oszczędzili mieszkańców.

Inne nieznane z nazwy miasto było zamieszkane przez chrześcijan, dla których z jakiegoś powodu władza Arabów była milsza niż Bizantyjczyków. Harald zainscenizował więc swój własny pogrzeb. Kazał wsadzić się do trumny, a mieszczanom ogłosić, że chce być pochowany w mieście, które tak bohatersko mu się opierało. Naiwni mnisi zaczęli nawet spierać się o prawo do pochówku sławnego wojownika, licząc na przyszłe tłumy pielgrzymujące do grobu ukorzonego barbarzyńcy. Wpuścili do środka pogrzebowy orszak, po czym w środku miasta Harald nagle wyskoczył z trumny, rozpoczynając rzeź obrońców, nie zważając na to, że wielu z nich było duchownymi. Kolejne miasto zdobył, znajdując przejście w starej rzymskiej kanalizacji. Korytarz doprowadził go w pobliże komnaty, w której ucztowali dowódcy miejskiej załogi, rychło posiekani mieczami. Przeróżne sagi i kroniki przypisują te czyny również innym wojownikom świata wikingów, od Anglii do Rusi. Wojem, który chyba najczęściej kojarzony jest z „metodą na trumnę", był Hastein, zdobywający włoską Lunę na długo przed czasami Haralda.

Dowódcą operacji był Grek Giorgios Maniakes. Wzrostem i siłą niemal dorównywał Haraldowi, był podobnie jak on ambitny i chciwy. Sycylia była za mała dla dwóch samców alfa. Okazja do bójki nadarzyła się szybko. Podczas rozbijania jakiegoś obozowiska doszło do awantury o pagórek położony nad moczarami. Grecy i Waregowie sięgnęli do mieczy, ale sprawę rozwiązano ostatecznie poprzez losowanie. Harald, co w zawoalowany sposób przyznaje sam autor sag Snorri Sturluson, sfałszował losy, wygrywając prawo do wyboru miejsca na obóz dla swojej drużyny. Ostatecznie to jednak arogancja Maniakesa doprowadziła do tego, że włoscy Normanowie opuścili go, i tak Grekom została w rękach tylko Messyna. Wojsko w tej kampanii chętniej garnęło się do Haralda niż do Maniakesa. Grek nigdy tego wikingowi nie zapomniał.

W matni greckich intryg

Drużyna Haralda tłumiła bunt Bułgarów, za co Harald otrzymał pseudonim Bułgarospopielacz, co wiele mówi

eprasa.pl 8fdf5bce69

Bitwa pod Stamford Brigde, w której poległ Harald Srogi FOT. WIKIPEDIA

o stosowanych w czasie tej ekspedycji metodach. Od jego przybycia do Konstantynopola minęło sześć lat. Z mało znanego awanturnika – dzięki sile, zręczności i sprawnemu dowodzeniu – stał się najpierw manglabitą, czyli cesarskim ochroniarzem, który za pomocą złotego pejcza odpędzał natrętnych lub agresywnych petentów. Po powrocie z Bułgarii czekała zaś na niego godność spatharokandidatosa, czyli dworskiego urzędnika średniego szczebla. Nigdy wcześniej żadnemu wikingowi nie nadano tak znaczącego tytułu. Niemożliwe też, aby przyznano go analfabecie, a przecież zbrojne elity skandynawskie były wówczas w zdecydowanej większości „nieczytate i niepisate".

Harald wraz z wojami mieszkał teraz w samym pałacu cesarskim, co ściągnęło na niego kłopoty. W tym samym czasie umarł bowiem cesarz Michał IV. Następcą został jego przybrany syn – Michał V. Nie lubił on zarówno wikingów, jak i swojej przybranej matki, cesarzowej Zoe, z którą współrządził. Sytuacja wokół Haralda zaczęła gęstnieć. Admirał Stefanos oskarżył go publicznie o wcześniejsze niepowodzenia na Sycylii, za co porywczy wiking wymierzył mu cios pięścią w twarz. Zarzucono mu też kradzież publicznych pieniędzy. Maniakes tylko na to czekał. Na rozkaz Michała V wtrącił Haralda do lochu wraz kilkoma najwierniejszymi towarzyszami. Według jednej z sag w więzieniu trzech wojów miało stoczyć walkę ze… smokiem, którego wspólnymi siłami udało się ukatrupić. W realnym świecie doszło w tym czasie do potężnej rewolty ludu Konstantynopola niezadowolonego z uwięzienia Zoe. Tłum uwolnił więźniów, aresztował zaś cesarza. Zemsta wikinga była okrutna – osobiście wyłupił oczy monarsze, którego na resztę życia zamknięto w klasztorze.

Harald miał dość Bizancjum. Dowiedział się też, że władzę w Norwegii przejął jego bratanek, Magnus. Zaczął więc planować wyjazd – na to nie zgodziła się jednak potężna Zoe. Być może chciała użyć Waregów do rozgrywki ze zbuntowanym Maniakesem, być może chciała odzyskać zagarnięte przez Haralda złoto, a być może, co najbardziej pikantne, północny heros powodował u cesarzowej niekontrolowaną fascynację. Haralda nie mógł jednak zatrzymać nawet potężny łańcuch rozpostarty w poprzek Złotego Rogu. Wódz wpadł na to, jak ową przeszkodę pokonać. Kazał załogom dwóch langskipów przejść na rufy, a gdy stępki statków znalazły się już nad łańcuchem, natychmiast przebiec na dziób. Towarzyszący langskip nie wytrzymał tego i rozpadł się, ale statek Haralda pokonał przeszkodę i pomknął nieniepokojony ku chmurnej północy, do Jarosława i obiecanej Ellisif. Był rok 1043.

Powrót króla

Jarosław był człowiekiem lojalnym. W kijowskim skarbcu czekała na Haralda góra złota, które zarobił lub zagrabił w Bizancjum i które pieczołowicie wysyłał statkami na północ przez wszystkie lata służby. W czasie wieczornej uczty odbył się zaś ślub z Elżbietą, która od tego momentu miała już więcej nie ujrzeć Rusi. Rzadki to przykład w historii wywiązywania się z umów między rządzącymi.

Haraldowi nie w smak było jednak, że norweski tron odziedziczył jego bratanek Magnus zwany Dobrym, toteż natychmiast po powrocie na północ rozpoczął z nim wojnę. Wszedł na chwilę w sojusz z wrogiem Magnusa, królem Danii Svenem Estrydsenem, ale gdy tylko Magnus zgodził się na podział państwa i uczynienie swego wuja współrządcą, Sven poszedł w odstawkę.

Magnus szybko zmarł i Harald został jedynym władcą Norwegii. Jego rządza władzy była niepohamowana. Stwierdził, na prostej zasadzie dziedziczenia, że ma prawa do tronu Danii, skoro przez pewien czas przed Svenem władał nią jego bratanek. Tak rozpoczęła się wyniszczająca seria łupieskich napadów na Danię, która trwała 20 lat i przyniosła tylko śmierć i zniszczenie. Harald spalił wówczas słynne Hadeby i pokonał Svena u ujścia rzeki Nissan w zatoce Kattegat, tronu jednak nie zdobył. Władcy podpisali zatem pokój, rozchodząc się do swoich dziedzin.

Harald nie mógł usiedzieć spokojnie. W 1066 r., dwa lata po pokoju ze Svenem, ruszył na tragiczną wyprawę na Anglię, dowodząc dość mętnie swoich praw do tronu, na podobnej zasadzie jak wcześniej w przypadku Danii. Pobił Anglosasów pod Holderness i Fulford, po czym 25 września 1066 r. ruszył odbierać hołd od mieszczan Yorku. Był upał i Harald rozochocony zwycięstwami kazał zostawić kolczugi na okrętach. Zamiast hołdowników ujrzał jednak pod Stamford Bridge armię angielskiego króla Harolda Godwinsona. Rozpoczęła się jedna z ważniejszych bitew w historii Anglii.

Tak długo, jak wojowie Haralda trzymali mur tarcz, byli w stanie opierać się lepiej uzbrojonym Anglikom. Rychło wstąpił w nich jednak bojowy szał i wojownicy na własną rękę ruszyli na wrogów szukać sławy w indywidualnej walce. A może to Anglicy specjalnie napierali niemrawo, aby sprowokować Norwegów do nierozważnej szarży? Jeśli tak, to plan udał im się znakomicie.

Oddajmy głos Snorriemu Sturlusonowi: „Król Harald Sigurdson wpadł w taki szał, że wyrwał się naprzód z szeregu i ciął obiema rękami. Nie oparł mu się ni hełm, ni kolczuga". Król walczył jednak bez swojej słynnej kolczugi Emmy. Nagle został trafiony strzałą w gardło. Wkrótce polegli też wszyscy jego najbliżsi drużynnicy. Reszta Norwegów walczyła jednak nadal. Kolejni jarlowie podnosili bowiem królewski sztandar zwany Niszczycielem Ziem. Dobrze to świadczy o łańcuchu dowodzenia, który zbudował król. Z okrętów przybiegł zaraz Eystein Cietrzew z wojami odzianymi w kolczugi. Dwa razy Norwegowie z furią atakowali Anglików i dwa razy byli bliscy zwycięstwa. Wyczerpani biegiem, w mniejszości, padli w końcu pod ciosami wyspiarzy. Tak skończyły się norweskie marzenia o koronie Anglii. Harald Srogi żył jak wiking i zginął jak wiking, będąc jednocześnie ostatnim z nich.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

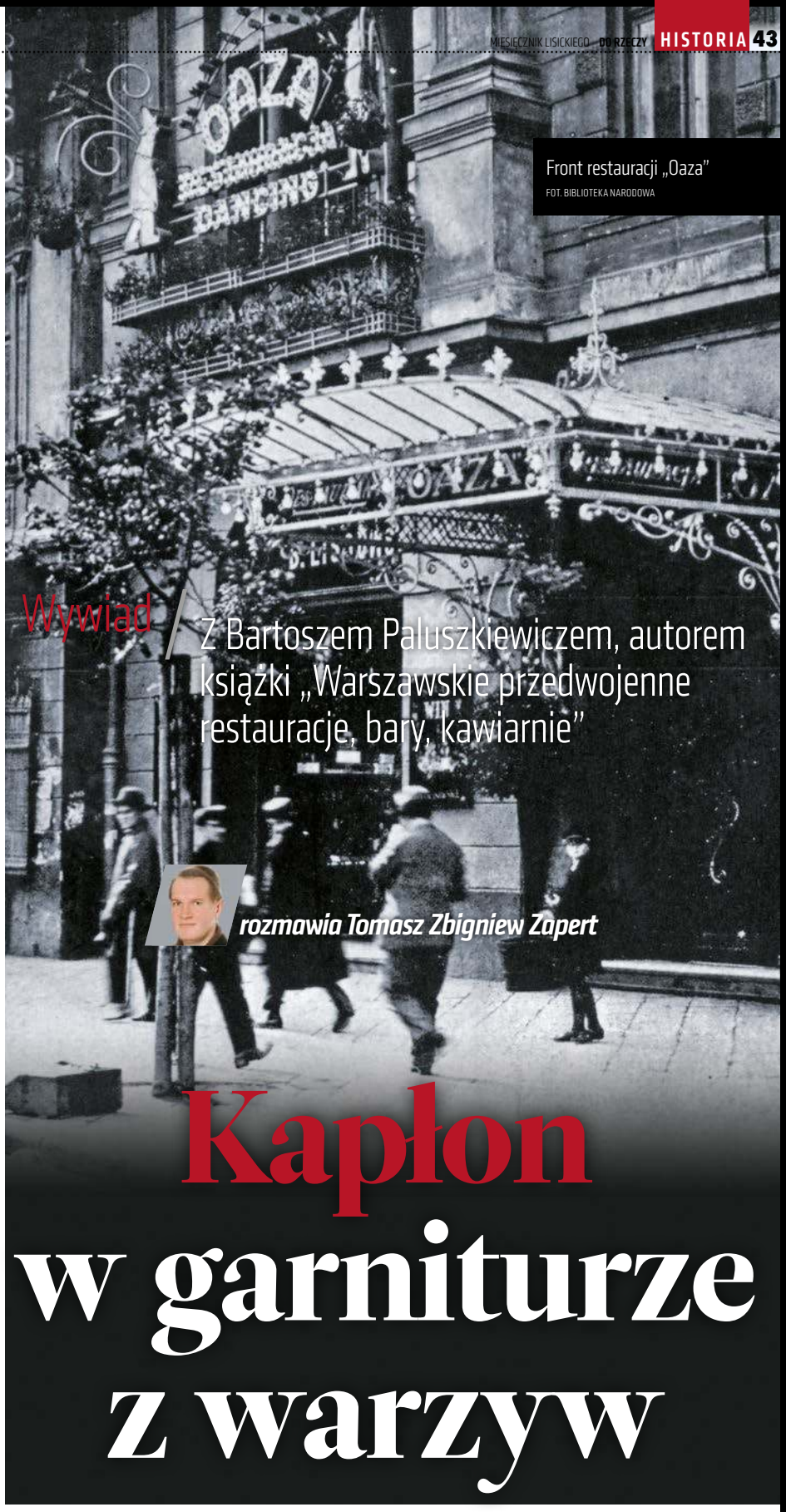

Front restauracji „Oaza"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wywiad / Z Bartoszem Paluszkiewiczem, autorem książki „Warszawskie przedwojenne restauracje, bary, kawiarnie"

rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Kapłon w garniturze z warzyw

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gastronomia międzywojennej Warszawy była dostępna dla każdego?

BARTOSZ PALUSZKIEWICZ: Tak. Aby zjeść lub napić się w przybytkach kulinarnych ówczesnej stolicy Polski, należało mieć kilka złotych w kieszeni, lecz ceny były zróżnicowane. W okresie II RP istniało kilka typów lokali: dla zamożnych, zarabiających przeciętnie i ubogich. Należy też jednak zaznaczyć, że część mieszkańców Warszawy żyła w nędzy i nie mogła sobie pozwolić nawet na najtańszą zakąskę czy talerz zupy podane w restauracji.

Konsumentom towarzyszyły muzyczne tony?

Muzyka w placówkach gastronomicznych pojawiła się już w XIX w. i szybko się tam zadomowiła. W dużych restauracjach czy kawiarniach cyklicznie odbywały się koncerty orkiestr czy jazzbandów. W niedziele zapraszano na taneczne podwieczorki. Wśród znanych muzycznych nazwisk prym wiedli Jerzy Petersburski, Artur i Henryk Goldowie, Zygmunt Karasiński i Szymon Kataszek. Niekiedy występy orkiestr odbywały się dwa razy dziennie. W mniejszych punktach przygrywali pojedynczy muzycy na skrzypcach, harmonii, bandżoli czy mandolinie. Posiłkowano się również muzyką z radia czy płyt. Lokale nocne, takie jak Oaza, Adria czy Paradis, codziennie zapraszały na dancingi. Transmitowano stamtąd też audycje radiowe.

Najpopularniejszą rozrywką knajpianą Syreniego Grodu w latach interbellum stanowił bilard?

Owszem. Wielkie sale bilardowe stanowiły integralną część licznych restauracji oraz kawiarni. Niekiedy mieściły nawet 15 stołów bilardowych! Panowie rozgrywali partie, popijając trunki i dyskutując. Następnie schodzili na posiłek do pomieszczeń restauracyjnych, po czym wracali do gry. Stoły bilardowe również produkowano w Warszawie. Takie sale znajdowały się m.in. w Dziekance, Café Varsovie, Café Italia, kawiarni Sommera. Niemało entuzjastów zyskało też domino.

Jak radzono sobie z plagą darmozjadów?

Wzywając policję. Nie było innego rozwiązania. Podczas kryzysu gospodarczego – u progu lat 30. – fala darmozjadów była ogromna. Niektórzy przy wejściu informowali, że nie mają pieniędzy,

eprasa.pl 8fdf5bce69

Dancing w restauracji Oaza FOT. NAC

Tancerka w Adrii FOT. NAC

jednak kelnerzy nie mieli możliwości weryfikacji tych słów aż do momentu płacenia rachunku. Pośród darmozjadów dominowały osoby średnio i mniej zamożne, chociaż trafiały się i osoby nieźle sytuowane, a nawet oficerowie. Co im groziło? Areszt i grzywna. Tego typu incydentami obficie karmiła się stołeczna prasa.

Scenerię kulinarną nierzadko wybierano do rozstania się w życiem. Dlaczego?

To trudne pytanie. Może osoba, która chciała popełnić samobójstwo, ufała, że ktoś ją w ostatniej chwili uratuje, wyrwie z dłoni rewolwer? Lokale gastronomiczne wypełniała przecież klientela, czyli swoista widownia aktu odebrania sobie życia. A może desperaci liczyli, że „publiczność" zaopiekuje się ich ciałem i poinformuje rodzinę? Samobójcy bardzo często pozostawiali po sobie listy. Ujawniali tam przyczyny, które pchnęły ich do targnięcia się na życie, oraz swoje dane osobowe. Zazwyczaj żegnano się ze światem przy pomocy trucizny, którą wlewano do kawy, herbaty czy innych napojów. Używano również broni palnej. Znaczna część warszawskich knajp gościła w swoich progach samobójców.

Kim byli właściciele jadłodajni Warszawy sprzed stulecia?

Przeważnie, mówiąc współczesnym językiem, biznesmenami, którzy niekiedy na potrzeby prowadzenia interesu zawiązywali spółki, głównie z ograniczoną odpowiedzialnością. Te wpisywano następnie w specjalny rejestr handlowy sądu okręgowego. Na początku XX w. powstały również spółki pracowników gastronomicznych, które prowadziły wiele warszawskich lokali, dzierżawiąc je od właścicieli. Przykładem jest Adria, łącząca w sobie dancing, cocktail-bary, kawiarnię i cukiernię.

A skąd wzięło się tak wiele plajt i zmian szyldów?

Sprawiły to prawa rynku, niezmienne od dekad. Prowadzenie lokalu gastronomicznego to biznes, który należy prowadzić z pomysłem, wyczuciem, właściwym zapleczem finansowym oraz personelem. W licznych przypadkach jedna niefortunna decyzja – np. o zamykaniu lokalu w niedzielę – skutkowała w krótkim czasie bankructwem. Swoje zrobił także światowy kryzys gospodarczy, lecz patrząc na liczby, nie był on aż tak straszliwy, jak go malują. Na jeden upadający wówczas lokal przypadał jeden nowo otwarty. Szyldy nie zawsze jednak zmieniano z powodu plajty. Niekiedy umierał właściciel lokalu, a sukcesor wprowadzał nową nomenklaturę.

Wizerunek pracy kelnerskiej i barmańskiej zawarty na kartach powieści „Zaklęte rewiry" Henryka Worcella i jej kongenialnej ekranizacji w reżyserii Janusza Majewskiego odpowiada prawdzie?

Jak najbardziej! Książka genialnie przedstawiła funkcjonowanie wytwornej restauracji hotelowej. Autor, nazywający się w istocie Tadeusz Kurtyka, przeszedł w niej kolejne stopnie wtajemniczenia zawodowego. Czytając tę prozę, dosłownie możemy poczuć stres – nieodłącznego towarzysza pracy kelnerskiej. Ciężkiej, wymagającej, nierzadko niewdzięcznej.

W międzywojniu hołdowano głównie kuchni swojskiej?

Nie tylko. Rodzima tradycja kulinarna przodowała, ale na podium utrzymywała się i kuchnia francuska. Znane również były dania włoskie, węgierskie czy też – co mnie zaskoczyło – chińskie. No i potrawy kaukaskie.

Nazewnictwo wielu potraw dzisiejszym smakoszom mówi niewiele (np. pularda, wermiszel, sztufada, cynaderki, kulebiak).

Dzisiejszy smakosz nie za bardzo ma gdzie skosztować takich rarytasów krajowej kuchni. Rynek weryfikuje potrzeby klienta. A ten najwidoczniej nie jest na razie zainteresowany delicjami, którymi zajadali się jego przodkowie. Na szczęście specjały te powracają powoli do jadłospisów współczesnych restauracji, choć zapewne jeszcze trochę wody w Wiśle upłynie, zanim do gastronomicznego języka powróci na nowo, dajmy na to, młody kapłon w garniturze z warzyw.

Poniedziałki w PRL-owskiej rzeczywistości zbiorowego żywienia były dniem bezmięsnym, a w czwartki w II RP spożywano flaki...

I to w kilku odmianach. Natomiast w piątki można było w lokalach zjeść dania mięsne serwowane à la carte. Za to postne tego dnia były obiady firmowe.

Jedne i drugie nie mogą się obejść bez popitki...

Alkohol zawsze parowano z jedzeniem. I na tym również bardzo dobrze lokale zarabiały. Przysłowiowa lorneta wraz z zimnymi nóżkami, śledziem była gastronomicznym

eprasa.pl 8fdf5bce69

Kadr z filmu „Zaklęte rewiry" Janusza Majewskiego FOT. EAST NEWS

standardem. W pierwszorzędnych restauracjach podawano wina z całej Europy. Lokal Simon i Stecki specjalizował się w idealnym dobieraniu właściwych alkoholi do potraw. Na półkach bufetów mieniły się kolorami etykiety różnych wódek, win, koniaków oraz likierów, zarówno krajowej produkcji, jak i zagranicznych. O piwach nie wspominając. Panie, spędzając czas w restauracyjnych ogródkach, mogły gasić pragnienie lemoniadą, oranżadą czy orszadą. Oferowano także wiele wód mineralnych. Coraz więcej gości zamawiało koktajle.

A skąd knajpiarze brali sztućce i zastawę stołową?

Głównie od warszawskich firm platerowych. Sztućce Frageta, Norblina i Henneberga spotykane były w lokalach gastronomicznych najczęściej. Te renomowane zakłady miały specjalne działy, które dostarczały wyposażenie gastronomiczne. Tworzono cenniki kierowane do branży gastronomicznej. W ofercie znajdowały się nie tylko komplety sztućców, lecz także półmiski, wazy, podstawki pod kieliszki czy szklanki, cukiernice, mleczniki, serwetniki i wiele innych poszukiwanych dziś przez kolekcjonerów przedmiotów. Oznaczonych – operując obecną terminologię – logo producenta.

Niemniej goście stołecznych lokali w II RP jadali i sztućcami zagranicznymi. Nierzadko pochodzącymi jeszcze z czasów carskich.

Wspomina pan o wpływach kuchni cudzoziemskiej, choćby kaukaskiej.

Kuchnia kaukaska bardzo dobrze zadomowiła się w Warszawie. Zaistniała tam już u schyłku XIX w., kusząc podniebienia mięsami przyrządzanymi na grillach i rusztach. Do tego najlepsze wina gruzińskie oraz szeroka gama egzotycznych dla Polaków przypraw. W latach 20. i 30. popularnością cieszyły się tzw. grillroomy, gdzie rozmaite mięsa przygotowywano na oczach klientów.

Automatyzacja kulinarna wzbudzała kontrowersje?

Według artykułów z okresu międzywojennego bary i restauracje automatyczne budziły swoiste zgorszenie i uważam, że w tym aspekcie dziennikarze robili dobrą robotę. Zwracano uwagę, że w takich lokalach alkohol był łatwo dostępny dla młodzieży, gdyż rola kelnera była tam marginalna i nie sprawował on pełnej opieki nad klientelą, która te miejsca odwiedzała. Za 50 gr, wrzucane do maszyny lub w specjalną szczelinę w ścianie, otrzymywało się kufel piwa albo kieliszek wina.

Majętni goście czasami padali ofiarą wyspecjalizowanych szajek...

Warszawskie zaułki roiły się od rzezimieszków czy „doliniarzy". Jednak nie tylko oni grozili podchmielonym gościom wychodzącym z restauracji. Pojawiły się wyrafinowane gangi, wtapiające się w tłum knajpianej klienteli i osaczające swe ofiary. Szajki tworzyli elegancko ubrani ludzie. Bawili się, pili i zapoznawali osoby, spośród których wybierali cel. We właściwym momencie do jego napitku dolewano środek usypiający. Po kilkunastu minutach cel – już na miękkich nogach – był wyprowadzany z lokalu, rachunek opłacano, rzecz jasna, z jego portfela. Na zewnątrz czekała umówiona dorożka, którą wywożono ofiarę za miasto. Tam była okradana – do bielizny! – i pozostawiana na łaskę losu.

Istniał jakiś ranking knajp międzywojennej Warszawy?

Takie klasyfikacje tworzyła prasa. Oczywiście można było się w nim znaleźć za „odpowiednią" sumę, np. za reklamę na danych łamach. Jednak to smakosze ustalali, które miejsce jest warte polecenia, gdzie najlepiej smakuje, powiedzmy, bigos, a których adresów należy unikać. Istniała również typologia lokali dzieląca je na kategorie/rzędy. Tutaj kryteriów było kilka, m.in. liczba personelu, metraż i menu.

BARTOSZ PALUSZKIEWICZ „WARSZAWSKIE PRZEDWOJENNE RESTAURACJE, BARY, KAWIARNIE"
BOOKEDIT

Z knajp opisanych w pańskiej publikacji pozostało coś poza pamięcią?

Dziś działa restauracja U Fukiera. Tej jednak w książce nie opisałem. Kontynuowana jest gastronomia w hotelach Europejskim, w Bristolu. Na Wierzbowej funkcjonuje prężnie parę lokali, które nawiązują do kulinarnej historii tej ulicy. Na tyłach Teatru Wielkiego jest restauracja U Wieniawy – jak sama nazwa wskazuje, oferująca kuchnię przedwojenną.

Skoncentrował się pan na najbardziej reprezentatywnych jadłospisowo fragmentach miasta. Ciąg dalszy nastąpi?

Obecnie pracuję nad książką o tematyce bardziej sensacyjnej. Zamierzam opisać najciekawsze wydarzenia kryminalne mające miejsce w lokalach gastronomicznych przedwojennej Polski. Przygotowuję też pracę dotyczącą dziejów koktajli i cocktail-barów w Polsce od drugiej połowy XIX w. do 1945 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bartosz Paluszkiewicz – popularyzator dziejów polskiego barmaństwa i gastronomii, autor książki „Warszawskie przedwojenne restauracje, bary, kawiarnie", prowadzący na Facebooku profil „Przedwojenne Restauracje, Bary i Kawiarnie"

eprasa.pl 8fdf5bce69

Sławomir Koper

Przeboje, które w epoce PRL nucili wszyscy, powstawały w przeróżny sposób. A ich teksty najczęściej opisywały ówczesną rzeczywistość obyczajową

Lata 80. / Największe polskie hity

Wszystko, czego chcieliśmy

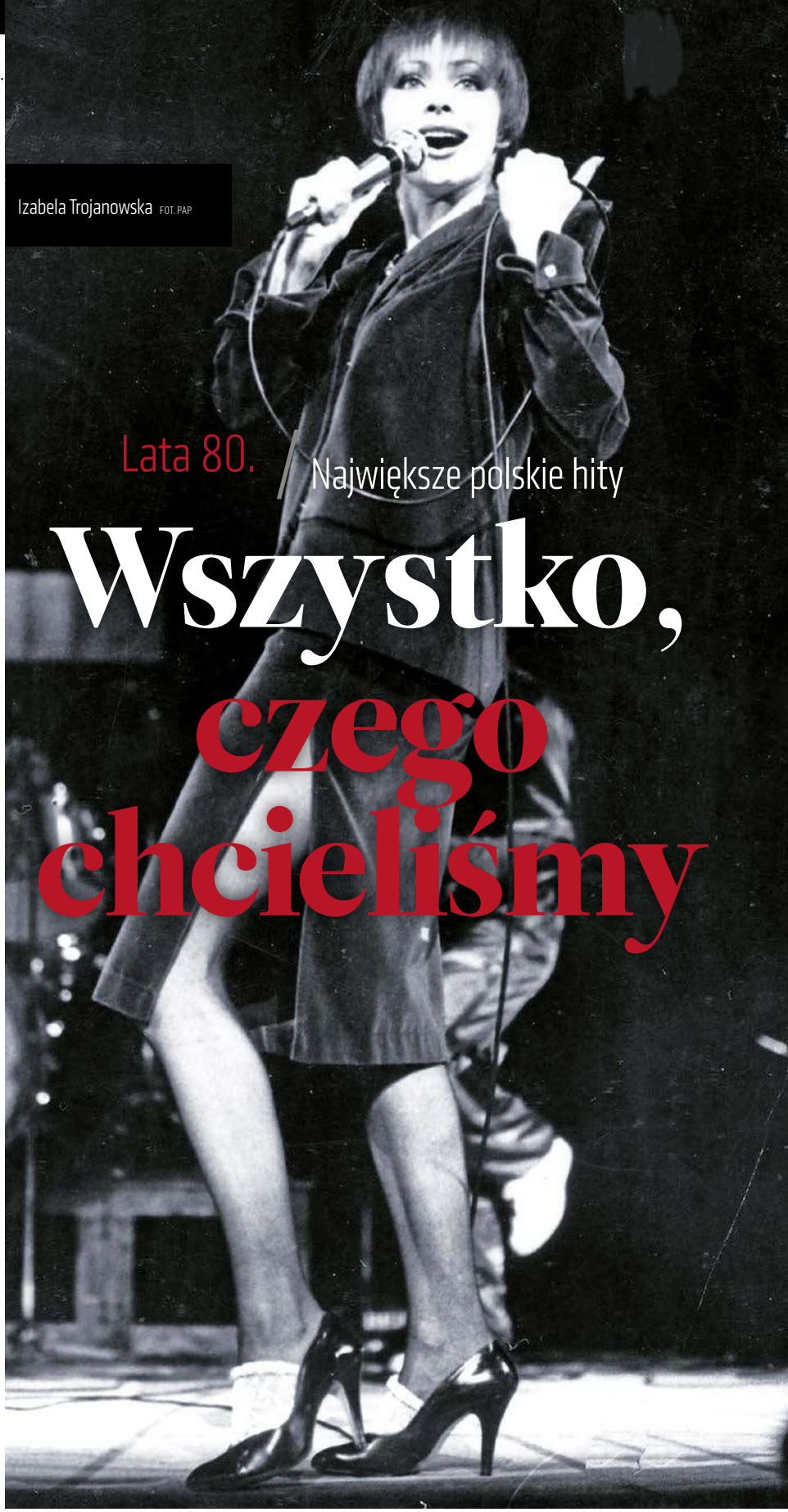

Izabela Trojanowska FOT. PAP

Słowa największego hitu Izabeli Trojanowskiej napisał stały współpracownik Budki Suflera Andrzej Mogielnicki. Stworzył dość dwuznaczny tekst, który idealnie pasował do osobowości scenicznej Trojanowskiej. Reszty dodała interpretacja wokalistki, bardzo odległa od tego, co dotychczas znano na polskiej estradzie.

„Wiadomo, jak Iza wyglądała – tłumaczył Andrzej Mogielnicki. – Nieprzeciętna uroda, taka bardzo ostra. Romek napisał kilka rzeczy, świetnych zresztą, i trzeba było napisać teksty. Na ogół dziewczyny takich tekstów nie śpiewały. Najczęściej były rzeczy bardziej o miłości, jakichś krajobrazach. A przy takiej drapieżnej urodzie to wyglądało na to, że ona rzeczywiście te sprawy przeżywa. […] Czasami jest tak, że pisząc komuś teksty, stwarzasz go i jesteś trochę w sytuacji takiego krawca, który szyje komuś garnitur albo sukienkę".

Utwór wszedł w kwietniu 1980 r. na listę przebojów radiowego wydania Studia Gama, będącego uzupełnieniem cyklicznego bloku programów rozrywkowych nadawanego z reguły w piątek przed wolną sobotą. Piosenka powaliła dosłownie wszystkich.

Wytwórnia Tonpress zaproponowała nagranie singla, musiał zatem powstać drugi utwór. I chociaż wydaje się to niemożliwe, to pojawił się jeszcze większy hit od poprzedniego. Duet Lipko-Mogielnicki wyczarował fantastyczny przebój, a orientalizująca gitara Borysewicza nadała mu dodatkowego smaku. Poza tym tekst „Wszystko, czego dziś chcę", był – delikatnie mówiąc – dość kontro-

eprasa.pl 8fdf5bce69

wersyjny jak na tamte czasy. Nic zatem dziwnego, że po nabycie płyty ustawiały się kilometrowe kolejki.

„[Tekst był] o prawie kobiety do orgazmu – wyjaśniał Mogielnicki. – Noo, w tamtych czasach była to bardzo mocna rzecz. Jakby uczciwie na to spojrzeć, to dla systemu bardziej obrazoburcza niż 21 postulatów Solidarności. Bo jak to? Porządna polska (w PRL innych nie było) dziewczyna wychodzi na scenę i śpiewa, o tym, że jak ma czekać z ukochanym kilkadziesiąt lat na M3 i małego fiata, to woli porządny orgazm od ręki. Taki tekst mogłem napisać tylko dla Izy, bo widziałem w niej drapieżność i duże pokłady erotyzmu. Co to za ziółko, można zobaczyć chociażby w »Karierze Nikodema Dyzmy«. A fakt, że Iza pochodziła z bardzo bogobojnej rodziny, nadawało temu nieomal perwersyjny posmak. Wyprzedziliśmy o ładnych parę lat Madonnę i jej »Like a prayer«".

Upór Trojanowskiej

Sama wokalistka po latach nieco inaczej wspominała okoliczności powstania tekstu, chociaż także ona nie zaprzeczała, że jego tematem było prawo kobiety do orgazmu. I nadała temu jeszcze bardziej polityczne znaczenie niż Mogielnicki:

„Był to właśnie okres strajków Solidarności, pustki w sklepach, wielki bunt w nas, w młodzieży tego kraju. I w jakiś sposób chcieliśmy zamanifestować nasz bunt. Tutaj można tylko marzyć o jakimś M2, M1, marzyć naprawdę, załatwić przez ciocię, przez panią Kazię małego fiata. I to był szczyt marzeń. Buntowaliśmy się oczywiście i o tym jest ta piosenka. Że no cóż, nie mogę niczego mieć, to chodź".

Zaczęło się zbiorowe szaleństwo i oczywiście pojawiło się zaproszenie na festiwal opolski, a Trojanowska uparła się, by zagrać tam z Budką Suflera, tak jak na nagraniu płytowym. Mariusz Walter reżyserujący imprezę wyraził na to zgodę, chociaż większość decydentów muzycznych uważała członków lubelskiego zespołu za „dekadenckich rockmanów".

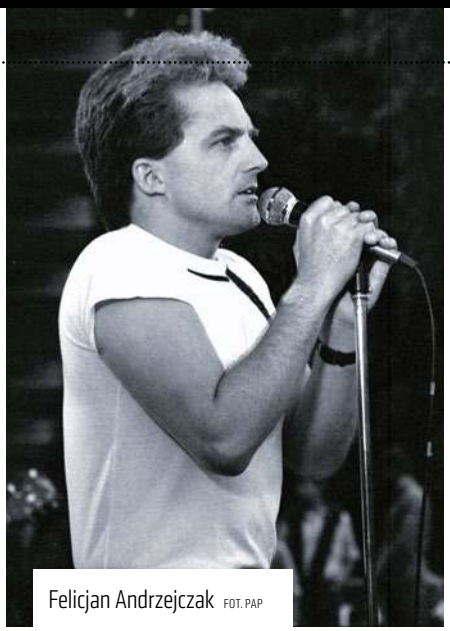

Felicjan Andrzejczak FOT. PAP

Trojanowska – prowokacyjnie ubrana w trzyczęściowy, męski, granatowy garnitur, białą koszulę w delikatne paski i skórzany krawat – prezentowała się zupełnie odjazdowo. Do tego dochodziły buty na obcasie, ostry makijaż i słynna fryzura (podobno według projektu Vidala Sassoona), którą naśladowały tysiące dziewcząt w Polsce. Prowokacyjnego obrazu dopełniał fakt, że przez większość utworu Trojanowska trzymała ręce w kieszeniach marynarki, co oczywiście nie przeszkodziło jej w erotycznych ruchach podkreślających tekst piosenki. Trudno się dziwić, że publiczność wręcz oszalała.

Wydawać by się mogło, że męski garnitur dla kobiety będzie strojem totalnie aseksualnym, ale nic z tych rzeczy. Zapięta po szyję 25-letnia Trojanowska kipiała aż erotyzmem. Gdyby założyła jakaś odważniejszą kreację, nie osiągnęłaby takiego efektu. Zgodnie ze starym porzekadłem nie liczy się bowiem, co kto odsłoni, ale jak się zachowuje. Władcza i prowokująca, wydawała się wcieleniem femme fatale. Werdykt jury był formalnością, Trojanowska dostała główną nagrodę, a do tego jeszcze otrzymała Karolinkę (nagrodę publiczności) i została wybrana Miss Obiektywu. Było to równoznaczne z kwalifikacją na festiwal w Sopocie.

Miało tam miejsce nieoczekiwane wydarzenie, gdyż w przebieg festiwalu zaingerowała polityka. Wokalistka miała przedstawić premierową piosenkę, „Tydzień łez", ale okazało się to niemożliwe. „Nie pozwolono mi tej piosenki zaśpiewać – skarżyła się po latach. – Dopiero później dowiedziałam się z książki Jerzego Gruzy – który reżyserował całą imprezę – dlaczego. Ponoć dysydenci obawiali się, że tekst »Tygodnia« zostanie odebrany jako aluzja do strajków w stoczni. W tej sytuacji musiałam zrobić powtórkę z Opola i zaśpiewać »Tyle samo prawd« i »Wszystko, czego dziś chcę«".

Tym razem postawiła na sukienki, a w pamięci pozostała najbardziej kreacja z koncertu galowego utrzymana w odcieniach błękitu. Inna sprawa, że była to sukienka mini, a moda ta dopiero za kilkanaście miesięcy miała zdobyć uznanie.

Pierwszą nagrodę zdobył zespół Vox i jego „Bananowy song", ale Izabela była druga. Umocniło to jej pozycję na krajowej scenie muzycznej, ale ważniejsze było to, że stała się prawdziwą megagwiazdą, a ulice polskich miast zaludniły się jej kopiami.

Prawdziwa historia „Jolki"

Po zakończeniu współpracy z Trojanowską Lipko przygotował kolejny ogromny hit. Wprawdzie skomponował utwór jeszcze w 1980 r., ale odłożył go na lepsze czasy, gdyż nie miał pomysłu na dokończenie całości. Chciał bowiem, by utwór był w stylu Roda Stewarta.

„Chodziło o refren – tłumaczył. – Przez długi czas nie mogłem sobie z nim poradzić. I ostatecznie on mi się trochę wymknął spod kontroli. Zwrotki były stewartowskie, a refren poszedł w innym kierunku. I dobrze, bo wbrew moim intencjom zamiast pastiszu Stewarta powstało coś oryginalnego". Muzyka jak zwykle stała na wysokim poziomie, chociaż aranżację można uznać za wręcz ascetyczną. Wolne tempo podkreślało natomiast wymowę tekstu i fantastyczną interpretację wokalisty. Felicjan Andrzejczak śpiewał

SŁAWOMIR KOPER, MAREK SIEROCKI
„PRZEBOJE PRL"
HARDE

eprasa.pl 8fdf5bce69

Zespół Lady Pank FOT. PAP

jak starzejący się mężczyzna, który wspomina najpiękniejsze chwile swojego życia i żałuje, że w przyszłości nic podobnego już go nie spotka. Tekst Dutkiewicza od samego początku wzbudzał emocje, a z upływem lat podobno powstały nawet prace uniwersyteckie na jego temat.

„Z perspektywy lat »Jolka« – oceniał autor – jest właściwie niezwykłym popkulturowym zjawiskiem. To jest ten przypadek, gdy song znakomicie trafia w realia. Prosty refren o emigrowaniu, przenoszeniu się, piciu wódeczki i młodzieńczej miłości, który niesamowicie oddawał klimat lat 80. To coś więcej niż przebój, z czego wówczas kompletnie nie zdawaliśmy sobie sprawy. Mogę tylko powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwy, że coś takiego nam się przydarzyło, bo to jest naprawdę niezwykła sytuacja".

Jednak na początku koledzy z zespołu nie byli – delikatnie mówiąc – zachwyceni tekstem. Dopiero gdy Lipko wręczył go recepcjonistce hotelu, w którym się zatrzymali, i dziewczyna się wzruszyła, zmienili zdanie. A całkowicie zakochali się w utworze po tym, jak Andrzejczak zaśpiewał go w studiu. Treść piosenki długo wywoływała kontrowersje. Jeszcze w 1998 r. na łamach „Gazety Wyborczej" zarzucano Dutkiewiczowi brak dydaktyzmu i wymyślanie absurdalnych sytuacji: zakonnic na plaży, zaćmienia Słońca i żebrania o benzynę. Jednak tydzień później pewien anonimowy czytelnik przysłał do redakcji list, w którym stwierdził, że… był świadkiem historii, o której mowa w piosence! Wszystko działo się latem 1982 r. w Karwi nad Bałtykiem, a jej bohaterami była niejaka Jola R., której mąż pracował w Anglii, i sam… Dutkiewicz. Faktycznie doszło wtedy do częściowego zaćmienia Słońca, a zakonnice wędrowały po plaży. Dutkiewicz przebywał w Dębkach i do Joli mieszkającej na letnisku z dzieckiem dojeżdżał samochodem.

„[Mąż Joli] narzeczoną jak sen miał kiedyś – kontynuował anonimowy czytelnik – i nawet z nią do jednej klasy przez lata chodziłem, stąd sądzę, że z tym autobusem Arabów to już »Dudka« metafora, która go zbyt daleko na swych skrzydłach poniosła".

Letni romans zakończył się rozwodem państwa R. Dutkiewicz dopiero po latach przyznał, że tekst miał podłoże autobiograficzne. A właściwie, że opisywał konkretny fragment jego życia: „[To] w zasadzie paradokumentalny zapis mojego romansu. Nie był to związek zbyt długi, ale w tamtym okresie na tyle dla mnie istotny, że postanowiłem poświęcić mu piosenkę. Zapytałem jego bohaterkę, czy nie ma nic przeciwko temu. Nie miała. Ale samego tekstu nie pokazałem".

Dutkiewicz od dawna nie widział swojej znajomej, słyszał jednak, że mieszka w Warszawie. Natomiast jej eksmąż najwyraźniej był dumny, że przedstawiono go w piosence. Prostował jednak, że narzeczona nie zdradziła go z autobusem Arabów, lecz z mikrobusem pełnym islamskich kochanków…

Jednak chyba największym dowodem uznania dla tego utworu było jego wykonanie w 2014 r. na Przystanku Woodstock. Zespołowi towarzyszyło co najmniej pół miliona fanów (według niektórych szacunków nawet o 200 tys. więcej!).

Nie tylko „Mniej niż zero"

Jednym z największych hitów początku lat 80. były piosenki grupy Lady Pank z tekstami Andrzeja Mogielnickiego. Słowa do piosenek pisał czasami w niecodziennych okolicznościach, jak np. podczas pieszego powrotu do domu z imprezy.

„W tamtych czasach nie było w ogóle taksówek – wspominał powstanie »Kryzysowej narzeczonej« – i szedłem pieszo nocą z dziewczyną z klubu Park na Mokotowie do mnie na Nowolipki. Noc faktycznie była zimna, a ja byłem trochę rozgrzany w środku i cały czas sobie podśpiewywałem pewien temat Janka i układałem słowa. Kiedy doszedłem do Nowolipek, to była już gotowa »Kryzysowa narzeczona«. Praktycznie ten tekst powstał, można powiedzieć, tak w biegu".

Natomiast jeden z największych hitów grupy – „Mniej niż zero" – początkowo miał charakter hardrockowy. Zarejestrowano go jako jeden z podkładów bez wokalu, a gdy wreszcie nagrał go Panasewicz, lider nie był zadowolony. Sam nawet próbował zaśpiewać, ale ostatecznie

eprasa.pl 8fdf5bce69

zgodził się na interpretację wokalisty.

Zgodnie z powszechną opinią początkowy fragment melodyczny miał być zagrany na grzebieniu, ale w rzeczywistości wykorzystano syntezator Mooga. Natomiast na koncertach w celu podniesienia jego atrakcyjności Panasewicz faktycznie używał grzebienia.

„Na »Mniej niż zero« duży wpływ miał Jarek Szlagowski – wspominał basista Paweł Mścisławski – który praktycznie zaaranżował całą piosenkę. Przez Janka numer ten był podany w czysto rockowej formie […], natomiast Jarek wpadł na pomysł, by zrobić to w rytmie ska, i praktycznie to on nadał kształt tej piosence, co nie zostało odnotowane na płycie. To już kwestia Janka, który jest bardzo zaborczy, jeżeli chodzi o swoją pracę".

Sam utwór został też zaplątany w tragiczną śmierć warszawskiego maturzysty, Grzegorza Przemyka, zakatowanego przez milicjantów w komisariacie na warszawskiej Starówce. Piosenka trafiła na listę Programu Trzeciego w maju 1983 r., by po pięciu miesiącach znaleźć się na szczycie notowania. Rychło jednak władze powiązały ją ze śmiercią maturzysty, na co wpływ miało to, że śpiewała go młodzież podczas jego pogrzebu.

„Nie pisaliśmy tego numeru z taką intencją – zaprzeczał Borysewicz. – […] To zbiegło się w czasie. Na początku są słowa: »Myślisz może, że więcej coś znaczysz / Bo masz rozum, dwie ręce i chęć / Twoje miejsce w tym kraju tłumaczy / Zaliczona matura na pięć«. Cenzura więc zdjęła ten utwór z Trójki, ale powrócił, kiedy Andrzej zmienił tekst na: »Twoje miejsce na Ziemi«. Mnie się wydaje, że ta zmiana wyszła na korzyść, bo tekst miał dotyczyć wszystkich ludzi, nie tylko ludzi w Polsce".

W tym samym czasie przed koncertem w Poznaniu do Borysewicza zgłosiło się „dwóch panów w czarnych garniturach z teczkami" i zażądało, by podczas występu nie wykonywano „Mniej niż zero". Borysewicz się zgodził i – jak można było przypuszczać – jako pierwszy numer zabrzmiał ze sceny zakazany utwór. Na całym świecie rockmani raczej nie przejmowali się poleceniami władz.

Na trzecim singlu grupy pojawiła się natomiast ballada „Wciąż bardziej obcy" śpiewana przez Borysewicza. Utwór oczywiście stał się przebojem, a jego tekst powstał w wyniku zupełnego przypadku. „Gdyby napisać tekst jadący równo z muzyką – wspominał Borysewicz – to byłoby strasznie smutne. Flaki z olejem. A zamiast tego zaczyna się od razu zadziornie: »Są dni, kiedy mówię dość« […]. Ten tekst powstał trochę przypadkiem, bo akurat czekaliśmy z Mogielem na obiad we Wrocławiu i nie mogliśmy się doczekać, więc Andrzej z tego wkurzenia zaczął nucić pod nosem »wciąż bardziej głodny«. Epokowy numer powstał od pustego brzucha".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Borysewicz J., „Mniej obcy. Rozmawia Marcin Prokop"**, Warszawa 2022. **Grzesiek M., „Lady Pank. Biografia nieautoryzowana"**, Wrocław 2013. **Sawic J., „Budka Suflera. Memu miastu na do widzenia. Muzyka/miasto/ludzie"**, Warszawa 2017.*

REKLAMA

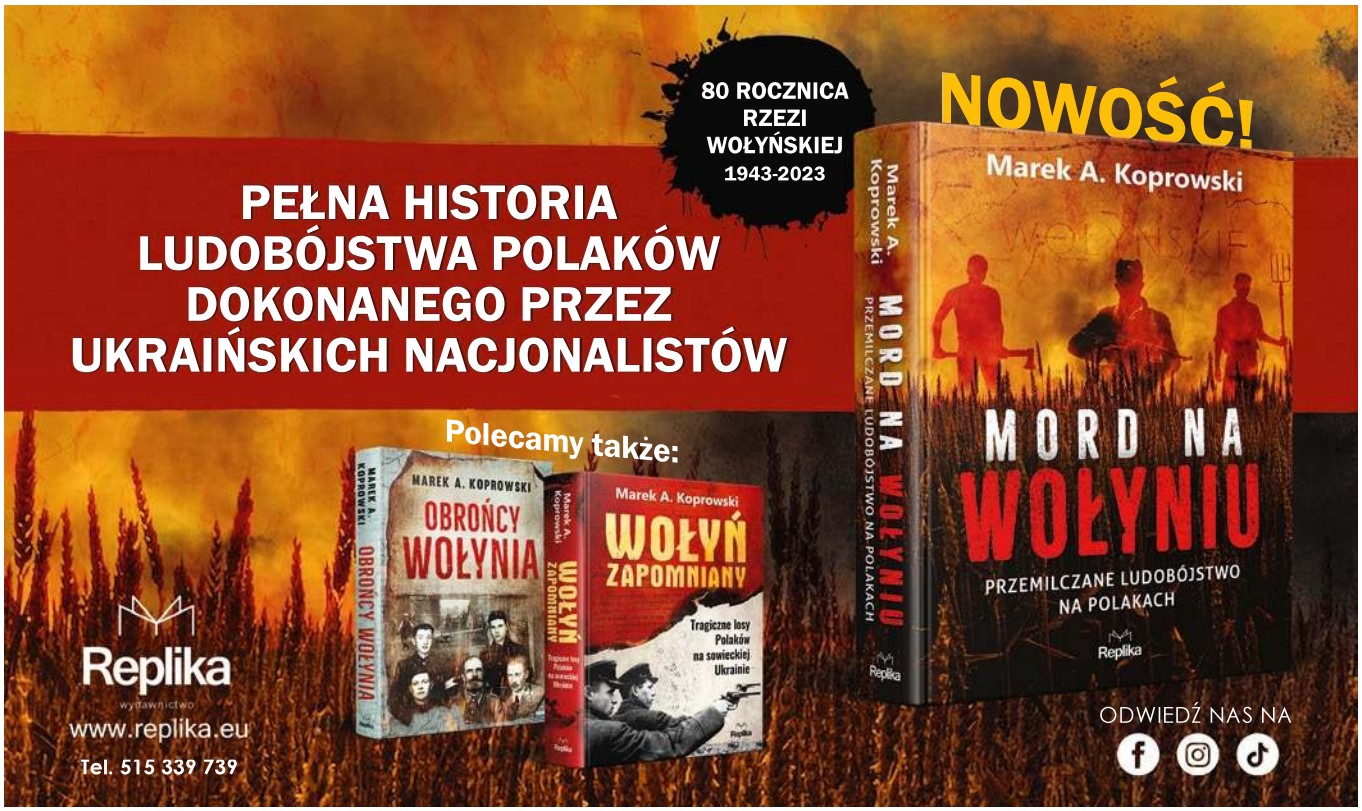

eprasa.pl 8fdf5bce69

Anna Szczepańska

Za przyzwoleniem świata – m.in. USA – utopił Kongo we krwi. „Lepiej, aby się bali, niż mieliby kochać" – mawiał dyktator Zairu

30 października 1974 r. niemal 70 tys. ludzi oczekiwało na hucznie zapowiadaną od tygodni walkę pomiędzy mistrzem wagi ciężkiej George'em Foremanem i Muhammadem Alim. To miało być starcie dekady, które wypromuje Zair na całym świecie.

Mobutu Sese Seko, dyktator Zairu, był jednym z niewielu przywódców na świecie, który mógł zdecydować się na organizację takiego wydarzenia. Walkę oglądało nawet miliard ludzi na całym świecie. Do historii przeszła ona jako „Rumble in the Jungle" („Łomot w Dżungli"). Sam Mobutu nie zamierzał jednak przybyć na galę – nie chciał pozwolić, aby nawet ktoś taki jak Foreman czy Ali przyćmił jego splendor. Poza tym opuszczenie tak hucznie zapowiadanej imprezy miało w sobie coś ekstrawaganckiego i stawiało dyktatora ponad nawet największych gwiazdorów. Wydarzenie to rozsławiło Zair i rządzącego nim Mobutu Sese Seko. Wiele osób zaczęło się zastanawiać, kim jest pojawiający się w „dziwnej" czapce prezydent. W jaki sposób do władzy doszedł człowiek, który za przyzwoleniem świata utopił Kongo we krwi?

Zmiany

Na świat przyszedł 14 października 1930 r. jako Joseph-Désiré Mobutu. Był synem pokojówki i kucharza, pracujących dla belgijskiego sędziego mieszkającego w Kongu. Bywało, że na spacery zabierała go żona sędziego. Ten widok wywoływał sensację, a czasem zgorszenie. Mobutu był jej ulubieńcem. Mówił płynnie po francusku i był oburzony,

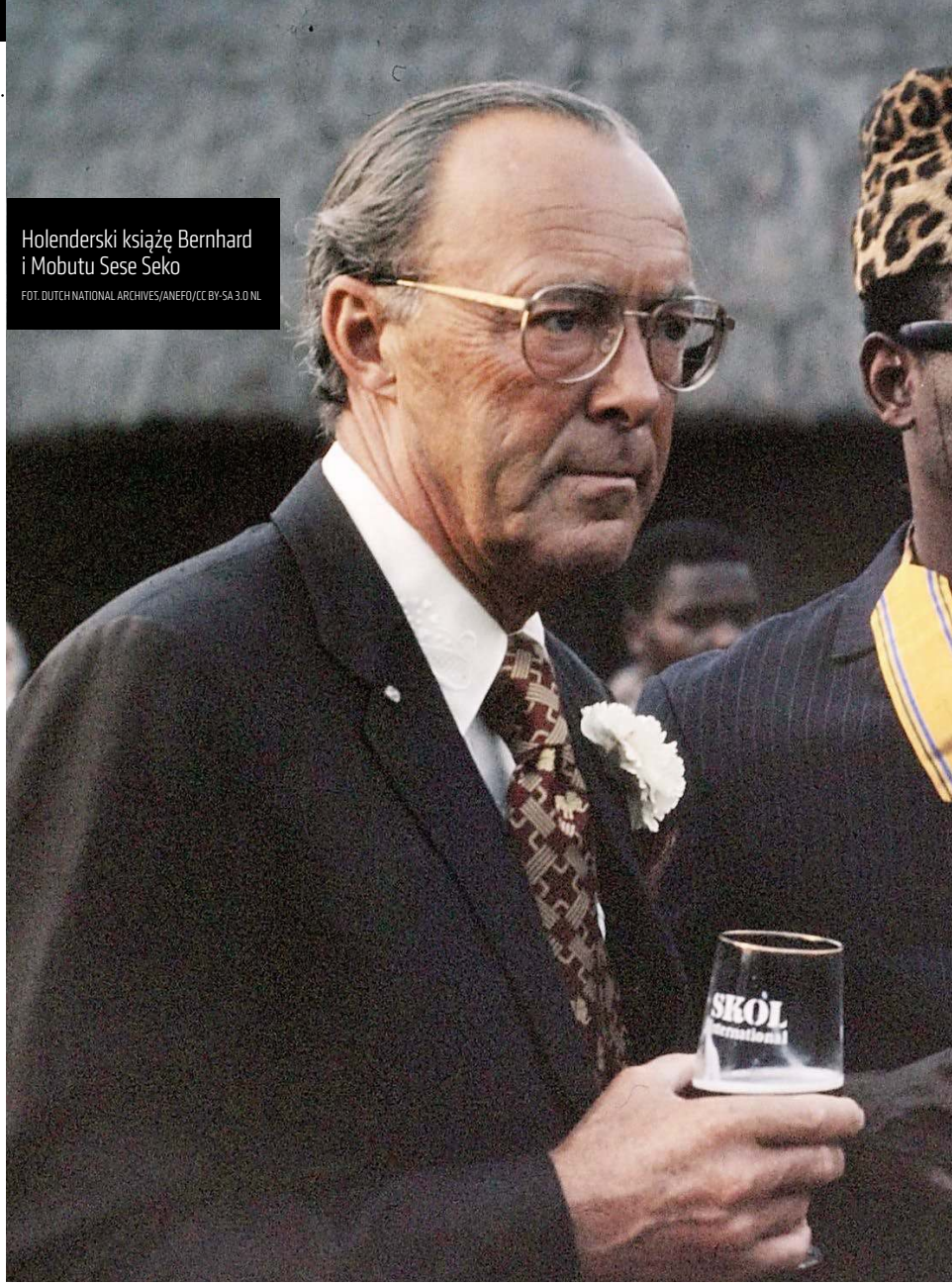

Holenderski książę Bernhard i Mobutu Sese Seko

FOT. DUTCH NATIONAL ARCHIVES/ANEFO/CC BY-SA 3.0 NL

XX w. / Afrykańska katastrofa

Morderca Mobutu

eprasa.pl 8fdf5bce69

Mural „Otworzyć ziemię dla narodów" w Kinszasie FOT. A.KAVANAGH/MONUSCO/CC BY-SA 2.0

kiedy ktoś popełniał przy nim językowe błędy. „Joe" był zresztą zafascynowany Europą. Kiedy w 1949 r. został wcielony do wojska – belgijskich służb w Kongu zwanych Force Publique – zaczytywał się w pismach Charles'a de Gaulla i Winstona Churchilla. W 1956 r., po zakończeniu służby wojskowej, zajął się dziennikarstwem i zaczął się interesować polityką.

Dla Konga był to początek burzliwego przełomu. Nadchodził czas ludzi, którzy chcieli działać i zamierzali wziąć losy kraju we własne ręce. Choć zmiany były nieubłagane, to trudno było zarazem wyobrazić sobie inne państwo w Afryce tak źle przygotowane do zbliżającej się niepodległości.

Kongo od dekad było kolonią belgijską. Wcześniej obszar ten należał, jako prywatna własność, do króla Belgów Leopolda II Koburga. Za jego czasów na terenie Konga doszło do ludobójstwa. Życie straciło wówczas ok. 8 mln ludzi. Świat, choć przyzwyczajony do okrutnych obrazków z egzotycznych kolonii, był jednak wstrząśnięty widokiem odciętych dłoni i stóp Kongijczyków, co było powszechną karą stosowaną przez kolonizatorów. Nawet jak na ówczesne standardy Leopold przesadził. Kongo zostało odebrane królowi, dostając się pod zarząd belgijskiego państwa. Kolonia została skrajnie zbiurokratyzowana, władzę nad obszarem wielokrotnie większym od samej Belgii przejęła garstka urzędników. Kongijczycy wciąż byli jednak marginalizowani. Nie dopuszczono ich do władzy, a tylko nielicznym pozwolono na zdobycie jakiegokolwiek wykształcenia (nie mówiąc o studiach). Na tym tle ludzie tacy jak Mobutu, który miał szczęście trafić „dobrych panów", byli wyjątkiem.

W Kongu zaczął pojawiać się jednocześnie nowy typ człowieka – évolué. Był to „wytwór" belgijskiego i francuskiego systemu kolonialnego. Évolué był rdzennym mieszkańcem kolonii, który na drodze pewnych „egzaminów" otrzymywał od władz kolonii specjalny status. Był kimś, kto ewoluował, zmieniał się w Europejczyka, przyjmował europejską kulturę. W Kongu évolué został m.in. Patrice Lumumba – socjalistyczny, niezwykle charyzmatyczny działacz społeczny. Lumumba szybko stał się jednak dla Belgów bardziej problemem niż admiratorem europejskich wzorców.

Tymczasem huragan zmian zbliżał się do kontynentu. Zaczęło się w Ghanie, która w 1957 r. ogłosiła niepodległość. Jej przywódca Kwame Nkrumah miał w Afryce półmityczny status. Afrykanie uwierzyli, że kolonializm da się pokonać.

Obietnica Baldwina

W Kongu popularność zaczęli zyskiwać Lumumba i jego Kongijski Ruch Narodowy (MNC). W czasie wystąpień Lumumba opowiadał, jak Belgowie traktują jego krajan, mówił o prześladowaniach i brutalnej kolonizacji. W końcu trafił do więzienia za działalność antykolonialną. To tam po raz pierwszy natknął się na nazwisko Josepha-Désiré Mobutu. Człowiek ten był dziennikarzem, pisał dla „Actualités Africaine". Kiedy Belgowie wypuścili Lumumbę z aresztu, postanowił on poznać intrygująco piszącego Mobutu. Młody dziennikarz także zafascynował się porywającym tłumy Lumumbą. Obaj się zaprzyjaźnili. Wydawało się im, że niepodległość Konga jest na wyciągnięcie ręki. Potrzebny był jedynie „zapalnik".

eprasa.pl 8fdf5bce69

Wybuch nastąpił 4 stycznia 1959 r. Wszystko zaczęło się od niegroźnie wyglądającej manifestacji. W jej trakcie doszło nagle do kłótni z białym kierowcą autobusu, który był agresywny wobec czarnych. Manifestanci rzucili się na niego. Do rozdzielenia bijących się ludzi ruszyła policja. Incydent przerodził się w walki uliczne. W ciągu kilku dni zginęło od 50 do 300 osób. Władze belgijskie zostały postawione pod ścianą. Jedyną szansą na uspokojenie wzburzonych Kongijczyków była obietnica niepodległości. Wtedy król Belgów Baldwin I po raz pierwszy w historii swoich przemówień wspomniał o uniezależnieniu kolonii. Choć obietnica była wciąż dość mglista (król mówił o „poprowadzeniu narodu kongijskiego w pomyślności i pokoju, bez szkodliwej zwłoki, a także bez nadmiernego pośpiechu, ku niepodległości"), to liczyło się to, że monarcha w ogóle o uwolnieniu kolonii mówi.

W styczniu 1960 r. miały rozpocząć się w Brukseli pierwsze rozmowy „przy okrągłym stole", w których uczestniczyć miała kongijska delegacja. Zmuszeni (pod groźbą dalszych rozruchów w Leopoldville) Belgowie zgodzili się wypuścić z więzienia ponownie osadzonego tam Lumumbę i w ciągu jednej doby wysłali go na rozmowy do stolicy Belgii. W negocjacjach brało udział 90 Kongijczyków, w tym zyskujący popularność przywódca prowincji Katanga Moise Czombe, który niepodległość Konga widział całkiem inaczej niż Lumumba (bogata Katanga pod władzą Czombego miała być terytorium o dużej autonomii wobec stolicy). Rozmowy w Brukseli obserwował przebywający wówczas na studiach w Belgii Mobutu, któremu Lumumba zaproponował wkrótce dołączenie do negocjacji.

W Brukseli na młodego Mobutu uwagę zwrócili amerykańscy agenci CIA. Nie próżnowali też Sowieci – oni również szukali swoich „wtyczek". Kongo było obiecującym kąskiem.

Rozmowy mocno zaskoczyły Belgów. Kongijczycy szybko zaproponowali konkretną datę ogłoszenia niepodległości: 1 czerwca 1960 r. Niespełna pół roku? To wydawało się nierealne. Ostatecznie zgodzono się na termin niewiele bardziej odległy: 30 czerwca 1960 r. Za Kongijczykami przemawiały światowe „trendy". Dekolonizacji chciały i Stany Zjednoczone, i Związek Sowiecki. Rok 1960 miał być „rokiem Afryki" i tak rzeczywiście się stało. Liczne afrykańskie państwa zyskały wówczas niezależność.

Belgowie musieli zgodzić się na niepodległość Konga. Nie zamierzali jednak oddawać Kongijczykom ich gospodarki. Złoża i przemysł miały pozostać w rękach belgijskich biznesmenów. Taki układ w praktyce i tak uzależniał całe Kongo od Brukseli.

Lumumba u steru

Po wyborach w 1960 r. władzę w kraju przejęły trzy główne siły polityczne skupione wokół Patrice'a Lumumby, Moise Czombego z Katangi i Josepha Kasavubu z Dolnego Konga. Pierwszym prezydentem Republiki Konga został Kasavubu. Premierem ogłoszono Lumumbę. W tym czasie Mobutu był jego osobistym sekretarzem.

Pogodzić zwaśnione plemiona w kraju mającym 2,5 mln km kw. powierzchni nie było łatwo. Antagonizmy w każdej chwili groziły wybuchem konfliktu. Tymczasem doszło do buntu armii, która chciała się pozbyć belgijskich oficerów. Wielu szeregowców na własną rękę zaczęło ponadto rozprawiać się z mieszkającymi w Kongu Europejczykami. Lumumba i Kasavubu byli bezradni. Wówczas Mobutu został mianowany szefem sztabu kongijskiej armii. Tylko jemu, nieuwikłanemu w politykę, żołnierze mogli zaufać.

Żołnierz separatystycznej Katangi

FOT. TORSTEN DAHLÉN/DOMENA PUBLICZNA

11 lipca 1960 r. pojawił się kolejny problem: Moise Czombe ogłosił niepodległość Katangi. Poparła go Belgia. Wszyscy wiedzieli, że bez bogatej w złoża Katangi Kongo sobie nie poradzi. Mobutu ruszył w kraj, próbując zjednać rozpadającą się armię (na wypadek, gdyby Katangę trzeba było „przywołać do porządku" siłą). Choć początkowo postrzegano go jako zwolennika Belgów, to Mobutu przekonał tłumy, że jego jedynym pragnieniem jest niezależne i silne Kongo. Szybko pokazał swoje talenty. Umiał przemawiać, trafiał do ludzi. Dla wielu żołnierzy stał się idolem, na którego od dawna czekali.

Tymczasem Lumumba, nie otrzymawszy żadnej pomocy od ONZ, o którą wcześniej zabiegał, patrząc na swoje rozpadające się państwo, zdecydował się na radykalny krok i zwrócił się o pomoc do ZSRS. Wtedy wydawało się, że tylko Moskwa zechce wesprzeć Kongijczyków w walce z Belgami i panoszącymi się zagranicznymi koncernami. Lumumba nie miał dużego pola manewru, lecz decyzja o wezwaniu na pomoc Sowietów miała okazać się najtragiczniejszą w jego, krótkim zresztą, życiu.

Trzeba pamiętać, że rok 1960 był dopiero początkiem wyścigu o Afrykę. Zimna wojna się rozpędzała, a dekolonizacja zaczynała. Układ sił na Czarnym Lądzie klarował się przez kolejnych 20 lat. Kongo byłoby pierwszym państwem Afryki, gdzie Sowieci mieliby tak wiele do powiedzenia.

Patrice Lumumba stał się dla Zachodu wrogiem numer jeden. Nie znosił Belgów, chciał wyzwolenia od obcych wpływów ekonomicznych. Po wysłanej na Kreml prośbie o interwencję został okrzyknięty komunistą. Lumumba nie walkę klas miał jednak w głowie. Sowieci byli dla niego po prostu jedyną alternatywą. Tylko Moskwa dysponowała potencjałem, który mógł przeciwstawić się sile zachodnich rządów i korporacji.

Amerykanie nie mogli jednak pozwolić, aby Kongo dostało się pod wpływy Kremla. Już w połowie sierpnia 1960 r. rozważali obalenie Lumumby i zastąpienie go „prozachodnim" Mobutu, nad którego przychylnością pracowali od miesięcy.

W końcu konflikt wybuchł także pomiędzy Lumumbą i Kasavubu. Obaj

eprasa.pl 8fdf5bce69

Mobutu Sese Seko i prezydent Richard Nixon, Biały Dom 1973 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

zabiegali zarazem o poparcie Mobutu, za którym stała armia. 5 września Kasavubu odsunął Lumumbę od władzy. Kilka godzin później Lumumba ogłosił z kolei, że „odsuwa" Kasavubu. Chaos się pogłębiał. Ostatecznie tydzień później Mobutu ogłosił, że aresztował prezydenta i premiera, a władzę w kraju przejęło wojsko.

Kasavubu został wkrótce wypuszczony. Pozwolono mu sprawować fikcyjny urząd prezydenta. Lumumba pozostał w areszcie domowym. Dla wszystkich stanowił problem. Rozważano różne scenariusze, łącznie z jego otruciem.

27 września 1960 r. Lumumba podjął próbę ucieczki, lecz schwytali go żołnierze Mobutu i ponownie uwięzili. W styczniu Mobutu wysłał go do Katangi, gdzie o jego losie miał zdecydować Czombe. Władze prowincji i kilku belgijskich doradców postanowiły go zabić. Lumumbę rozstrzelano 17 stycznia 1961 r., a jego ciało pocięto i rozpuszczono w kwasie siarkowym. Mobutu nie przyznawał się, że pośrednio jest za tę śmierć odpowiedzialny. W 1966 r. ogłosił Lumumbę bohaterem narodowym.

Precz z Europą!

Kongo było areną ciągłych walk. Część armii, finansowana przez ZSRS i Chiny, wystąpiła przeciwko Mobutu. On sam wciąż otrzymywał poparcie od USA. Kongo stało się jedną z wielu zimnowojennych proxy war. Jak pisze Paul Kenyon w książce „Ziemia dyktatorów": „[…] położono kres secesji Katangi, ale koszty ludzkie były ogromne: oddziały ONZ walczyły przeciw żołnierzom Katangi, tamtejsi bojownicy walczyli z ONZ, a belgijskie, południowoafrykańskie i niemieckie wojska najemne zwalczały bojowników". Do tego sekretarz generalny ONZ Dag Hammarskjöld, zmierzający na negocjacje w sprawie pokoju w Kongu, zginął w przedziwnej katastrofie lotniczej blisko kongijskiej granicy.

Pod koniec 1965 r. Mobutu ogłosił się prezydentem. Koniec z pozorami. Wojsko przejmowało pełnię władzy. Zawieszono działanie partii i sądów cywilnych.

W czerwcu kolejnego roku rozpędzający się reżim Mobutu przekroczył swój Rubikon. Na stadionie w stolicy zebrały się tłumy. Władze obiecały widowisko, przeczuwano jednak, że coś złego czai się w powietrzu. Na stadionie ustawiono szubienicę. Wkrótce przywieziono czterech skazańców – byłych ministrów oskarżonych o spisek przeciwko Mobutu. Godzinę później wszyscy byli martwi. Był to początek krwawej rozprawy z każdym, kto ośmielił się sprzeciwić prezydentowi. „Lepiej, aby się bali, niż mieliby kochać" – mawiał ponoć Mobutu i tej dewizy trzymał się do końca.

Kraj pod władzą Mobutu przeobrażał się w dyktaturę, gdzie propagowano kult jednostki. Prezydent porzucił europejskie imiona, przyjmując długi tytuł Mobutu Sese Seko Kuku Ngbendu wa za Banga, co w skrócie można tłumaczyć jako „Wszechpotężny wojownik, który pozostawia za sobą ogień". W kraju wprowadzono politykę authenticité, czyli „zairyzacji". Obywatele mieli przyjąć afrykańskie nazwiska, a wszystkie kolonialne nazwy należało zmienić na pochodzące z lokalnych języków. Republika Konga, przemianowana na Zair, miała zapomnieć o swojej przeszłości i jakichkolwiek kontaktach z Europą. Zakazano europejskich strojów, obyczajów. Cały naród miał budować nową tożsamość pod okiem „ojca narodu" Mobutu, który jako pan Zairu przypisał sobie nawet takie „przywileje" jak prawo pierwszej nocy.

Pod względem prowadzonej polityki gospodarczej Mobutu nigdy nie opowiadał się za jedną drogą. Sam mawiał, że jego poglądy „nie są ani prawicowe, ani lewicowe, ani nawet centrowe". W działaniach dyktatora wszystkiego było po trochu. Dostrzec można tam było kapitalizm, wstręt do kolonializmu, ostrożny socjalizm, zainteresowanie drogą chińską. Mobutu przyjaźnił się z prezydentem USA Richardem Nixonem i dyktatorem Rumunii Nicolae Ceaușescu. „Mobutyzm", który stworzył, był w istocie nietypową drogą „rozwoju".

Katastrofa ekonomiczna czaiła się za rogiem. W 1973 r. Mobutu ogłosił, że wszystkie zagraniczne firmy zostaną odebrane właścicielom i przekazane lokalnym mieszkańcom. Oznaczało to np., że pracownik marketu otrzymywał swój sklep, a górnik kopalnię. Cały przemysł przeszedł w ręce nieprzygotowanych do zarządzania ludzi. Rozdawnictwo następowało „po uważaniu". Nietrudno się domyślić, że oznaczało to krach.

Zair, mający potężne zasoby naturalne (miedź, diamenty, złoto), mógł być jednym z najzamożniejszych państw Afryki. Bogactwa rozkradane były jednak przez garstkę uprzywilejowanych ludzi na czele z Mobutu, a państwo bazowało w dużej mierze na pomocy zagranicznej, z której potężną część i tak defraudowano. Samego Mobutu oskarża się o sprzeniewierzenie od 5 do 15 mld dzisiejszych dolarów. Jednym z symboli szaleństw prezydenta był pałac wybudowany tysiąc kilometrów od Kinszasy (dawniej Leopoldville), o ironio, w stylu… zachodnioeuropejskiego renesansu. Do schowanej w środku lasu deszczowego rezydencji Mobutu mógł dotrzeć m.in. naddźwiękowym concordem, dla którego zbudowano specjalny, wystarczająco długi pas startowy.

Mobutu Sese Seko rządził niepodzielnie Kongiem do 1997 r. Jego upadek zaczął się wraz z ludobójstwem, którego w 1994 r. dokonano w Rwandzie. Wkrótce Mobutu uwikłał swoje państwo w wojnę, która przerodziła się w jeden z największych konfliktów w dziejach Afryki, trwający (z przerwami) do 2003 r., w którym zginęło nawet 5,5 mln ludzi. O tym opowiemy jednak w kolejnym numerze „Historii Do Rzeczy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

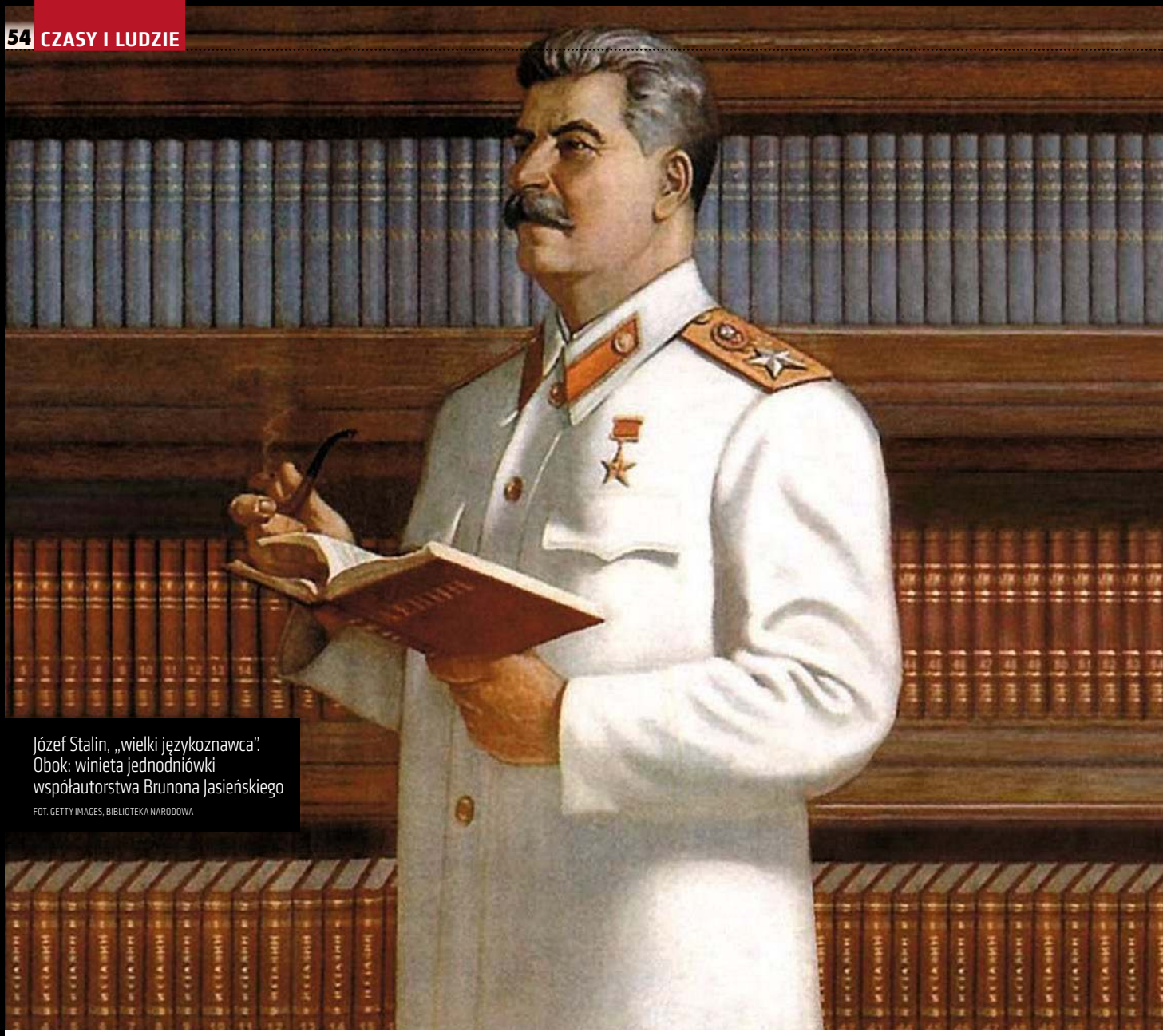

Józef Stalin, „wielki językoznawca". Obok: winieta jednodniówki współautorstwa Brunona Jasieńskiego

FOT. GETTY IMAGES, BIBLIOTEKA NARODOWA

XX w. / Rewolucjonizowanie polszczyzny

Język polski sowiecki

eprasa.pl 8fdf5bce69

Cena 80 mk.

NUŻ W BŻUHU

2 JEDNODŃUWKA FUTURYSTUW

WYDAŃE NADZWYCZAJNE

KRAKUW LISTOPAD 1921 WARSZAWA

Mikołaj Iwanow

W połowie lat 20. XX w. bolszewicy zdecydowali o zsowietyzowaniu ludności polskiej mieszkającej na terenie Rosji. „Ideałem rewolucji w dziedzinie uludowienia pisowni polskiej powinno być: jak się mówi – tak się pisze" – przekonywał jeden z komunistycznych propagatorów tych zmian

Historia Polaków w Związku Sowieckim obfituje w wydarzenia niewiarygodne. Po podpisaniu w 1921 r. pokoju w Rydze poza nową granicą Rzeczypospolitej, na terenie Rosji bolszewickiej, pozostało co najmniej 1,2 mln Polaków. Była to przeważnie ludność wiejska, choć nie brakowało również ludności miejskiej. W Mińsku, stolicy Białoruskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej, Polaków – według danych oficjalnych – było ponad 10 proc., a w Żytomierzu na Ukrainie – 8 proc. W Piotrogrodzie Polacy stanowili natomiast trzecią pod względem liczebności grupę narodowościową, ustępując jedynie Rosjanom i Żydom.

W połowie lat 20. XX w. bolszewicy zdecydowali o zsowietyzowaniu ludności polskiej. Postawiono jednak nie na asymilację i denacjonalizację Polaków, lecz na zakorzenienie tzw. sowieckiej polskości. Polegało to m.in. na używaniu języka polskiego i rozwoju polskiej kultury, przesianej – co prawda – przez sito ideologiczne.

Utworzono dwa rejony narodowościowe, w których Polacy stanowili większość: Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego (Marchlewszczyzna) i Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego (Dzierżyńszczyzna). We wszystkich instytucjach państwowych i partyjnych, z milicją i GPU (NKWD) włącznie, język polski był tam językiem obowiązującym. Trzeba jednak zaznaczyć, że był to język odbiegający od literackiego języka polskiego, zawierający wiele sowietyzmów i rusycyzmów. Nie było to jednak wszystko. W głowach Polaków komunistów, architektów tzw. polskiej autonomii socjalistycznej, narodziła się bowiem idea stworzenia nowomowy – polskiego języka proletariackiego.

Polak sowiecki

Duży wpływ na dążenia do zmian pisowni polskiej miała też, przeprowadzona po rewolucji bolszewickiej, reforma języka rosyjskiego, z którego usunięto pięć liter uznanych za niepotrzebne. O radykalizmie reformatorów pisowni rosyjskiej świadczy podjęcie w Rosji bolszewickiej w latach 1918–1920 przygotowań do rezygnacji z cyrylicy i przejścia na alfabet łaciński.

System indoktrynacji Polaków w ZSRS tworzono pod hucznym hasłem krzewienia „polskiej kultury proletariackiej". Socjalistyczna co do treści, narodowa co do formy – miała powstać w oderwaniu od procesów kulturotwórczych II RP. Do „kultury proletariackiej" – spośród wartości kulturalnych minionych lat – zamierzano włączyć tylko te osiągnięcia, które odpowiadały zadaniom „walki klasowej proletariatu" (np. dążenie klas eksploatowanych do zmiany istniejącego ustroju) i „budownictwu socjalistycznemu" w Kraju Rad. Powstającą pustkę kulturową miały wypełnić wysiłki intelektualne polskiej emigracji komunistycznej.

Przedstawiona teoria powstała w środowisku komunistów polskich pod wpływem założeń osławionego Proletkultu. Była to ochotnicza organizacja społeczno-kulturalna działająca w latach 1917–1925, która po rewolucji bolszewickiej niemal zupełnie zdominowała życie kulturalne w kraju. W 1920 r. zrzeszała ok. 400 tys. członków, a w 1921 r. została włączona do Narodowego Komisariatu Oświaty, gdzie funkcjonowała na prawach wydziału. Teorie Proletkultu o tzw. czystej kulturze proletariackiej polegały na negowaniu jakiejkolwiek ciągłości w procesie kulturotwórczym, na idealizowaniu roli proletariatu w tym procesie i nihilizmie w ocenie osiągnięć kultury przeszłości. O ile w środowisku komunistów rosyjskich teorie te zostały potępione i odrzucone (w 1920 r. wystąpił przeciwko nim sam Lenin), o tyle na gruncie polskim okazały się one o wiele bardziej żywotne.

Głównymi architektami „polskiej kultury proletariackiej" w ZSRS byli trzej komuniści: Tomasz Dąbal, Bruno Jasieński i Witold Wandurski (niedawni emigranci z Polski). Cechą charakterystyczną ich koncepcji było (w odróżnieniu od teorii Proletkultu) odejście od nihilizmu kulturowego. Twierdzili oni, że konieczne jest łączenie procesu tworzenia w ZSRS „polskiej kultury proletariackiej" z ówczesnymi procesami kulturotwórczymi zachodzącymi w Polsce. Zgadzali się również na włączenie części dorobku kulturowego przeszłych pokoleń Polaków do „kultury proletariackiej".

To liberalne stanowisko wywołało jednak ostrą reakcję tych, którzy stali na straży „czystości ideologicznej" polskich szeregów partyjnych. Jan Nejman, piastujący stanowisko kogoś w rodzaju komisarza ds. polskich, wystąpił jako główny demaskator i oskarżyciel Dąbala, Jasieńskiego i Wandurskiego. Pisał o nich na łamach czołowej polskojęzycznej gazety ZSRS „Trybuny Radzieckiej": „Agenci imperializmu polskiego, niestety, znaleźli nawet w naszych szeregach partyjnych swych nieświadomych rzeczników, na-

eprasa.pl 8fdf5bce69

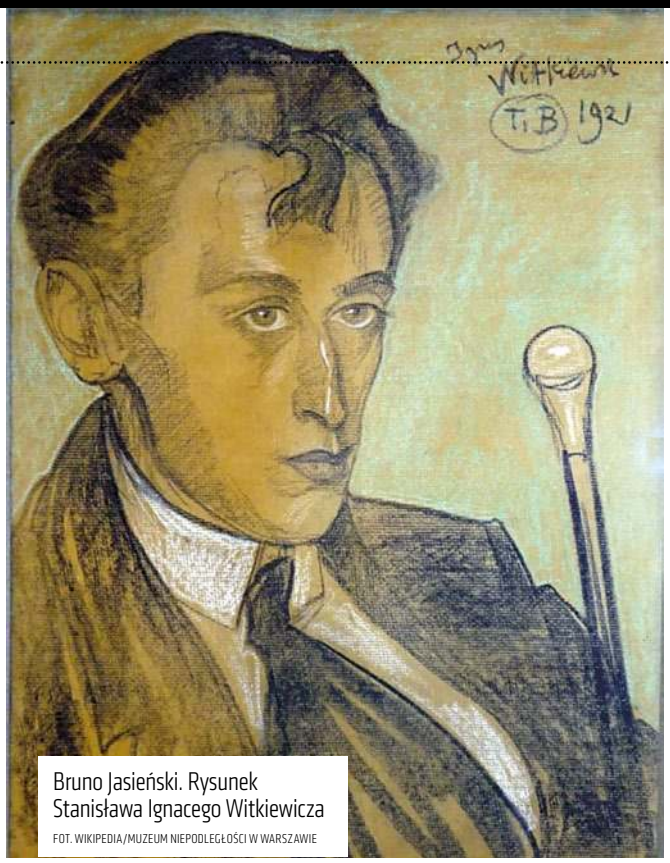

Bruno Jasieński. Rysunek Stanisława Ignacego Witkiewicza

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

piętnowanych ostatnio przez nasze wyższe organa partyjne. Dąbal, Jasieński i Wandurski zbudowali teorie o niemożliwości zbudowania polskiej kultury proletariackiej w ZSRR bez związku z etnograficzną Polską [...]. Istota nacjonaloportunizmu na odcinku polskim polega na tym, że jest on wyrazicielem w szeregach WKP(b) niezadowolenia z dyktatury proletariatu polskiego kułactwa, nepmaństwa, resztek burżuazyjnej inteligencji, którzy dążą do obalenia dyktatury proletariatu, do przyłączenia Białorusi i Ukrainy Radzieckiej do Polski faszystowskiej, do rozszerzenia jej terytorium do granic z 1772 r. Nacjonaloportunizm, będący agenturą wrogich nam klas, leje wodę na młyn polskiego faszyzmu i interwencji".

Po „rozgromieniu" oportunistycznej grupy Dąbala, Jasieńskiego i Wandurskiego bez oporu przystąpiono do tworzenia nowej pisowni „polskiego języka proletariackiego". Problem reformowania pisowni polskiej był nieodzownym elementem procesu tworzenia „polskiej kultury proletariackiej". Dyskusje na ten temat nigdy nie miały charakteru naukowego. Były to wyłącznie spory ideologiczne.

Język polski od nowa

„Polska kultura proletariacka" miała powstać w wyniku zerwania wszelkich związków z procesami kulturotwórczymi w II RP. Reforma pisowni miała wznieść dodatkową barierę w kontaktach między dwiema częściami narodu polskiego. „Prawdziwą rewolucję" w środowisku komunistów polskich rozumiano jako konieczność szybkiej, gruntownej i skutecznej „sowietyzacji" ludności katolickiej. Uproszczenie pisowni miało na celu likwidację analfabetyzmu wśród Polaków sowieckich i chciano w ten sposób wzmocnić element polskości na dalszych kresach. Naiwnie wierzono też, że uproszczenie pisowni... utrudni wierzącym katolikom czytanie np. książek religijnych pochodzących z Polski.

Była jeszcze jedna, prozaiczna przyczyna konieczności zmiany pisowni języka polskiego w ZSRS. Powodem była niedostateczna liczba Polaków komunistów władających dobrze językiem polskim. Skutkiem tego były np. niski poziom językowy polskich wydawnictw komunistycznych i brak ujednolicenia literackiej polszczyzny w różnych regionach kraju.

Kierownik oddziału językoznawstwa i literatury polskiej Instytutu Polskiej Kultury Proletariackiej Białoruskiej Akademii Nauk Czesław Dombrowski, jeden z czołowych zwolenników reformy, opisywał tę sytuację następująco: „Dzisiaj mamy chaos pod względem pisowni: gazety używają pisowni Kryńskiego (niekiedy dopuszczając »domieszkę« pisowni Łosia); słownik polsko-rosyjski, wydany w Moskwie w r. 1931 pod redakcją tow. Krasnego, używa pisowni Łosia; nie ma dotychczas ćwiczeń ortograficznych według pisowni Kryńskiego dla szkół polskich w BSRS, nie ma ich i w USRR i RSFRR; szereg towarzyszy pisze według Łosia, inni według Kryńskiego; w szkołach powstaje galimatias, korespondenci gazet usiłują pisać według Kryńskiego, bo tak są drukowane ich korespondencje; stałego nie ma nic".

Bardzo przygnębiające wrażenie wywarł stan języka polskiego używanego w ZSRS na Brunonie Jasieńskim, który po objęciu stanowiska redaktora „Kultury Mas" założył w tym czasopiśmie osobny dział, gdzie wskazywał najbardziej rażące błędy językowe z polskiej prasy i wydawnictw książkowych. Do walki o czystość języka polskiego włączyła się też czołowa gazeta polskojęzyczna „Trybuna Radziecka" kierowana w tym czasie przez Tomasza Dąbala. Korespondenci tej gazety, opisując swoją podróż do Mińska, podawali przykłady błędów językowych pojawiających się np. na szyldach i witrynach.

Nawiasem mówiąc, według konstytucji republiki białoruskiej szyldy wszystkich instytucji i urzędów musiały być sporządzane m.in. w języku polskim. Tymczasem tylko na mińskim dworcu korespondent zwrócił uwagę na napisy typu: „Biuro dla sprawek", „Biletna kasa na Gomel", „Służbowe przejście", a w księgarni: „Książki na wszystkie pytania".

Zasady proponowanej reformy polszczyzny byty wyraźnie zideologizowane. Jej zwolennicy propagowali przeprowadzenie reformy pod hasłem: „Język orężem walki klasowej". Oprócz uproszczenia pisowni z języka zamierzano usunąć liczne zwroty „szlacheckie", „burżuazyjne" i „faszystowskie" i wzbogacić go jednocześnie o nowe słowa „socjalistyczne". Bruno Jasieński pisał: „Oczyścimy język nasz z obcych jemu naleciałości, będziemy musieli przystąpić z kolei do oczyszczenia go od piętna tych klas, które tworzyły dotychczas literaturę polską. Nowa literatura proletariacka przemówić musi własnym językiem klasowym, językiem pracujących mas polskich, wykuwających własne słownictwo i własne formy językowe".

Stronnicy reformy za główny argument podawali tezę, że arystokratyczny, historyczny charakter pisowni polskiej utrudnia wciągnięcie mas do budownictwa „polskiej kultury proletariackiej".

eprasa.pl 8fdf5bce69

Proponowana przez nich „demokratyzacja" pisowni przewidywała następujące nowości:

– zamianę rz na ż,
– zamianę sz i cz na s i c,
– zamianę ch na h,
– usunięcie liter ą i ę i wprowadzenie zamiast nich om i em oraz on i en (w zależności od ich pozycji w słowie),
– zamianę ó na u.

Były także propozycje uproszczenia gramatyki przez zlikwidowanie różnic typu: oni – one, ci – te, dobrzy – dobre, chodzili – chodziły itp. Nie miały one jednak wielu zwolenników wśród komunistów polskich.

Gorącym zwolennikiem reformy był Tomasz Dąbal, niezmordowany w propagowaniu wszelkich „nowości", choć uzależniający zmiany w gramatyce i ortografii od postępów walki rewolucyjnej w Polsce. „Ideałem rewolucji w dziedzinie uludowienia pisowni polskiej powinno być: jak się mówi – tak się pisze" – przekonywał Dąbal.

Liczba zwolenników reformy wśród działaczy polskich wyraźnie przewyższała liczbę jej przeciwników. Niewielu odważyło się stawić czoła politycznym reformatorom. Najbardziej konsekwentnym przeciwnikiem proponowanych zmian był Stefan Heltman, który ośmielił się nawet nazwać reformę „nożem w brzuchu" sowieckiej polskiej autonomii socjalistycznej, nawiązując w ten sposób do słynnego manifestu futurystycznego Brunona Jasieńskiego.

Problem reformowania pisowni polskiej był dyskutowany na I Zjeździe Polskich Pisarzy Proletariackich w 1931 r. Przeciwko rezolucji w sprawie przeprowadzenia reformy miała odwagę głosować jedynie Helena Bobińska. Nieliczne trzeźwe głosy tonęły w zgodnym chórze „chłopów i robotników", zwolenników reformowania pisowni polskiej.

W 1932 r. Oddział Polski Białoruskiej Akademii Nauk przyjął postanowienie w sprawie reformy, w którym czytamy, że „odkładanie tej sprawy do rewolucji w Polsce jest wyrazem nacjonaloportunizmu, który wychodzi z założenia niemożliwości zbudowania polskiej kultury proletariackiej w ZSRR, socjalistycznej pod względem treści, narodowościowej pod względem formy".

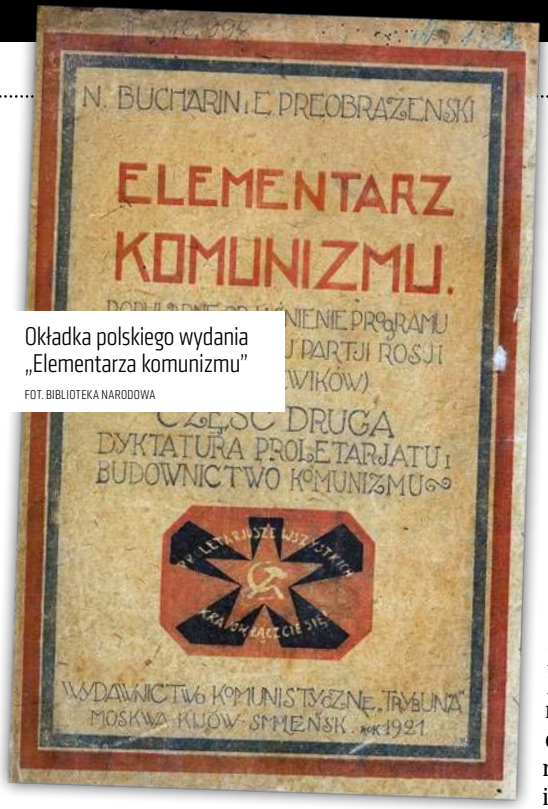

Okładka polskiego wydania „Elementarza komunizmu"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

„Demokratyzacja pisowni" przewidywała m.in. zamianę rz na ż, ch na h, ó na u. Stefan Heltman nazwał te pomysły „nożem w brzuchu" sowieckiej polskiej autonomii

Niekiedy argumenty zwolenników reformy wręcz zdumiewały swoim prymitywizmem. Na łamach sowieckich wydawnictw polskojęzycznych pisano np., że „klasie burżuazyjnej nie przeszkadza pisownia, trudna dla chłopa, robotnika, dla dziecka, które nie ma tak dużo czasu na naukę jak pańskie czy burżujskie (kupieckie czy fabrykanckie) dziecko".

Dyskusję w sprawie reformy polszczyzny komplikował też brak w środowisku komunistów polskich w ZSRS prawdziwych lingwistów. Z tego powodu argumenty naukowe traciły na wartości i nie miały wpływu na ostateczny kształt proponowanych zmian. Głosy nielicznych uczonych czy inteligenckich działaczy polskich, próbujących w sposób życzliwy, za pomocą argumentów naukowych, sprzeciwić się reformie, utonęły w masie politycznie zaostrzonych, prymitywnych, ideologicznych haseł.

W latach 1930–1931 w całym kraju odbyła się seria wieców, robotniczych konferencji, wiejskich zebrań i posiedzeń nauczycieli poświęconych reformie, na których „entuzjastycznie i jednomyślnie" przyjmowano oświadczenia opowiadające się za zmianami. Na jednym z takich wieców inspektor do spraw polskich okręgu słuckiego na Białorusi Józef Magdal mówił: „Nie jestem uczonym-lingwistą i może ja tu czegoś podstawowego nie rozumiem, bo mi mój chłopski rozum dyktuje, że jak robić reformę, to robić po bolszewicku, to jest zupełną i natychmiastową... Może kiedyś pojedziemy do Polski urzędować i nie znając starych prawideł, będziemy się czuli analfabetami? Znów nic podobnego, bo kiedy my pojedziemy tam urzędować, to wszystko stare przed nami wyjedzie, do gramatyki włącznie. Nie męczmy idiotycznymi prawidłami siebie i dzieci".

Fala poparcia dla reformy doprowadziła do utworzenia w 1932 r. w Oddziale Polskim Akademii Nauk Białoruskiej SRS specjalnej komisji lingwistycznej do spraw reformy pisowni. W skład tej komisji, na równi z pracownikami wydziału lingwistycznego, weszli liczni przedstawiciele polskiej społeczności sowieckiej: pisarze, dziennikarze, działacze polityczni i społeczni, nauczyciele, aktorzy oraz chłopi i robotnicy. Komisja zajęła się rozpatrywaniem wszystkich napływających propozycji i opracowaniem nowych prawideł polskiej ortografii, odpowiadających „wymogom radzieckiej socjalistycznej rzeczywistości".

Do roku 1933 nowy zbiór zasad pisowni był gotowy. Nie został jednak nigdy zatwierdzony. W tym czasie na polskie społeczeństwo w ZSRS spadły niewyobrażalnie represje. Polaków uznano za wrogów ludu, zdrajców, prowokatorów, szkodników i szpiegów. Władze ZSRS nie zamierzały już Polaków sowietyzować. Należało ich jedynie zniszczyć jako „piątą kolumnę" imperializmu światowego. W latach 1937–1939 w ramach tzw. operacji polskiej zginęło ponad 200 tys. naszych rodaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

Krzysztof Masłoń

1891–1962 / Władysław Zambrzycki

Autor pełen fantazji

„Miał ambicję nieść ludziom radość, kpił bez złośliwości i jadu. Każde jego zdanie mieściło się w konwencji i atmosferze »Colas Breugnon«"

Tak wspominał go Olgierd Budrewicz. A kpiarzem był Władysław Zambrzycki niebywałym. Przed wojną w „Expressie Porannym" donosił o nadzwyczajnych transakcjach niejakiego Alfonsa Cynjana, który a to jakiemuś kmiotkowi sprzedał kolumnę Zygmunta, to znów innemu naiwniakowi spieniężył most Kierbedzia czy wydzierżawił na dansing halę Dworca Głównego. Historie te przeżyły ich twórcę i przywoływane są do dziś, choć mało kto świadomy jest, czyjego były autorstwa. Na ostatniej stronie „Expressu Porannego", którą redagował, w kronice drobnych wypadków potrafił zamieścić np. mrożącą krew w żyłach opowieść o żmijach zagrażających przechodniom w Ogrodzie Saskim. Ciągnęła się potem ta czy podobna jej bzdura niczym wąż morski, przy czym wszedł Zambrzycki w dziennikarską spółkę z Szymonem Krongoldem, który banialuki te powtarzał w prasie żydowskiej, i na odwrót. „W ten sposób każde z naszych kłamstw miało swego rodzaju dokumentację…" – opowiadał po latach Markowi Sadzewiczowi w wywiadzie dla „Stolicy".

Rządy komuny nie miały zupełnie poczucia humoru, co dla Zambrzyckiego było nie do przyjęcia. Radził więc sobie, jak mógł, choćby podrzucając koledze w ramach walki z analfabetyzmem hasełko: „Szerz oświatę wśród zdunów. Naucz czytać choć jednego z nich. Pokaż zdunowi cztery litery". A w „Expressie", już nie „Porannym", a „Wieczornym", publikował horoskopy z takimi oto radami:

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE M. ST. WARSZAWY

eprasa.pl 8fdf5bce69

„Dla kupców dzisiejsze godziny przedwieczorne mogą być dość ciężkie. Powinni się liczyć z kłopotami. Uważać na rachunki. Nagłe zjawienie się kontrolerów w sklepie jest prawdopodobne”.

Właśnie w „Expressie Wieczornym” miał Władysław Zambrzycki swój stały felieton opatrzony, do czasu, winietą: „Kto chce, niech wierzy”. W nadtytule tego zbioru dziwactw, kuriozów i najprzeróżniejszych osobliwości doszukano się jednak zapewne religijnego podtekstu, zmieniono bowiem nazwę felietonu na „Kto chce, niech czyta”. A chcieli wszyscy.

On sam filozofię swych dowcipów wywodził od belgijskiej zwanze, co wyjaśnił w książce „Kaskada Franchimont” (1962): „Prawdziwe zwanze powinno być bezinteresowne, zatajone, wytworne i zabawne. Innymi słowy, jest to wysublimowany żart, dla większości ludzi niezrozumiały, a tak osobisty, że pozostawia radość na całe życie”.

Z należytą powagą

W „Kaskadzie Franchimont”, jak i wcześniej we „Mgle nad Skaldą” (1947), znalazły odbicie belgijskie doświadczenia pisarza. Urodzony w Radomiu w 1891 r. Zambrzycki uczęszczał tam do szkoły handlowej, gdzie jego nauczycielem polskiego był sam Walery Przyborowski, powstaniec roku 1863, autor świetnych powieści historycznych dla młodych czytelników, takich jak m.in. „Szwedzi w Warszawie” czy „Bitwa pod Raszynem”. „Gramatyki uczył źle – wspominał po latach jego znakomity uczeń – bo go tak samo nudziła, jak i nas, ale za to opowiadał ciekawe epizody z dziejów ojczystych, opowiadał też pyszne anegdoty zalatujące Rejem, Górnickim, Potockim i zakończone często rubaszną pointą. Toteż z lekcji Przyborowskiego, choć nie były obowiązujące, nikt się nie wymykał. W ponurej carskiej szkole przynosiły nam odprężenie, a w połączeniu z jego książkami podtrzymywały w nas polskość”.

Przed wybuchem strajków szkolnych Przyborowskiemu groziło aresztowanie. Przestał przychodzić wtedy na lekcje i symulował chorobę serca. Zambrzycki za to strajkował tak aktywnie, że w obawie przed represjami musiał uchodzić z kraju, emigrując do Belgii, gdzie ukończył szkolną edukację i studia chemiczne.

Pracował w laboratoriach chemicznych, najpierw w Belgii, potem w Rosji, skąd uciekł w trakcie rewolucji bolszewickiej, wreszcie w Warszawie, gdzie osiadł. I tu przydarzył mu się w 1920 r. fatalny wypadek, gdy wybuchła mu w dłoniach szklana probówka ze środkami wybuchowymi. „Rezultatem wypadku – pisał Olgierd Budrewicz – były dwadzieścia dwie rany w twarzy i szklany szuter w oczach. Kłuto mu oczy igłami, poszukując odłamków; po wielu tygodniach nieludzkich cierpień opuścił szpital, posiwiały, z jednym okiem utraconym, a drugim bardzo słabym”. Siostra w szpitalu namówiła go do pielgrzymki do Lourdes, o czym przypomniał sobie, będąc po latach we Francji. I tam ten sceptyk religijny – relacjonował Piotr Kuncewicz – „mimo że nie odczuwał żadnych szczególnych wzruszeń, poczuł, że z oczu płyną mu strugi łez. A ze łzami wypłynęło szkło…” – to pozostałe. „Wyszło tak jak w »Dziadach« – komentował znany krytyk, którego ojciec przyjaźnił się z Zambrzyckim. – Polak kpi z religii, ale czci Madonnę”.

Najważniejsze fragmenty „Kwatery Bożych Pomyleńców” (1959) wskazują co prawda, że kwestie religijne Zambrzycki traktował z należytą powagą, ale wracając do jego wypadku, należy dopowiedzieć, że od tamtej pory skupił się na pisarstwie, z doświadczeniami chemicznymi dając sobie spokój, tyle że w czasie wojny był ponoć współwłaścicielem laboratorium. O tym jednak, że w czasie okupacji musiał ukrywać się przed gestapo, zadecydowało co inne-

Król oszustów warszawskich przed sądem
za kradzież... toru kolejowego Warszawa -- Młociny

Wojskowa karjera genjalnego oszusta
Alfons Cynjan --- dezerterem i defraudantem

Imię Alfonsa Cynjana stało się głośne z racji afery oszukańczej. Jak wiadomo, Cynjan przed rokiem sprzedał kilka kilometrów toru budującej się kolejki prywatnej pod Warszawą. Odstąpił różnym ludziom podkłady i szyny, za co został już „nagrodzony“ odpowiednim wyrokiem sądu okręgowego w Warszawie.

Ale głośny Alfons Cynjan ma jeszcze inne grzechy na sumieniu z czasu pobytu swego w wojsku.

Oto w 1924 r. ówczesny starszy sierżant Alfons Cynjan był kapitulantem w 82 p. p. W przed dzień zwolnienia uciekł z oddziału, zabierając ze sobą co najlepsze umundurowanie.

Od tej chwili wszelki ślad za Cynjanem zaginął i dopiero, gdy głośna afera z kolejką została ujawniona — wykolejony na całej linji Alfons Cynjan został przymknięty za kratą.

Znajdującemu się w więzieniu Cynjanowi wręczono akt oskarżenia o dezercję i przywłaszczenie umundurowania.

Stanąwszy przed wojskowym sądem okręgowym w Warszawie — Cynjan, elegancko wedle ostatniej mody odziany, przyznał się do winy, a na zapytanie o swój stosunek do wojska, odrzekł cynicznie:

— Jestem żołnierzem z krwi i kości! Mimo, że w cywilu, to jednak zawsze noszę szablę u...boku.

W wyniku przeprowadzonej rozprawy — wytworny i cyniczny Cynjan został skazany na 3 miesiące więzienia i degradację do stopnia szeregowca.

Wyrok ten stał się wczoraj prawomocny, gdyż sąd najwyższy zatwierdził go w całej rozciągłości.

Chciał wydzierżawić... wiadukt
Cynjan – „genialny“ oszust warszawski

Dziś wedlug PIM-a słonecznie

DLA WYTWORNEJ PUBLICZNOŚCI
TYTAN BOBO
NAjelegantsza
NAjmniejsza
NAJlżejsza
LATARKA KIESZONKOWA

Dźwiękowy Kinoteatr MIEJSKI
Wiejskie Grzechy
dźwiękowiec produkcji SOWKINO

Sensacyjne artykuły o Alfonsie Cynjanie, postaci wymyślonej przez Zambrzyckiego FOT. BIBLIOTEKA CYFROWA UW

eprasa.pl 8fdf5bce69

go. Otóż w jego warszawskim mieszkaniu przy Filtrowej zainstalowana była krótkofalówka Związku Walki Zbrojnej. Po wpadce, która miała miejsce, musiał pod przybranymi nazwiskami tułać się po całym Generalnym Gubernatorstwie. „Wypędzenie Niemców – pisał w jednym z listów – zastało mnie w Krakowie. Na moją opieszałość w staraniach o przywrócenie nazwiska wpłynął ton ówczesnej prasy krakowskiej, dalej – afisze (naprz. miotła, która wymiatała insygnia AK wraz z insygniami hitlerowskimi), wreszcie pogłoski o deportacjach". W efekcie dopiero jesienią 1946 r. wszczął starania o przywrócenie nazwiska.

Harmonia narracji

Jego „Kwatera Bożych Pomyleńców" okazać się miała jedną z najpiękniejszych książek o powstaniu warszawskim, a już na pewno o udziale w nim ludności cywilnej. Powieść opowiada o 63 dniach bohaterskiej walki stolicy z niemieckim wrogiem widzianych oczyma czterech przyjaciół spotykających się na zapleczu wypożyczalni książek przy ulicy Żurawiej. Trudny czas zabijają wspominaniem młodości, rozprawianiem o rzeczach pogodnych i cudacznych wydarzeniach, przestrzegając przy tym czystości języka i harmonii narracji.

Mają grubo po pięćdziesiątce, są za starzy, by walczyć z Niemcami z bronią w ręku. Na ile jednak pozwala im zdrowie, służą pomocą powstańcom świadomi swych obywatelskich powinności. Jak jeden z nich, Afrykander, ochotniczy pielęgniarz w powstańczym szpitalu, który w obliczu zagrożenia życia ciężko rannego żołnierza przypomina sobie o medycznym wykształceniu i nie waha się przeprowadzić (udanej!) operacji. Aby zaraz potem powrócić do noszenia wody, opatrywania rannych i grzebania umarłych, a także służenia do mszy, „w białym kitlu lekarskim ze znakiem Czerwonego Krzyża".

Gdy Afrykander zginie od snajperskiej kuli, przyjaciele na jego biodrach odkryją powróz z surowej wełny. W latach młodości ten wytrawny podróżnik i światowiec był tercjarzem, franciszkaninem. Po jego śmierci litanię do Najświętszej Marii Panny równie żarliwie odmawiać będą jego towarzysze: rzymski katolik, protestant i muzułmanin. Ta scena jest kulminacją książki (w pełnej, nieocenzurowane wersji wydanej dopiero w roku 2008). Trzej gawędziarze, erudyci, inteligenci w dawnym dobrym, najlepszym stylu wyruszają na tułaczkę, pozostawiając czwartego w mogile na Wspólnej. Drogę przebiega im „szkaradny czarny kot, mokry i ubabrany w błocie". Marnie to wróży na przyszłość, którą określą stojące na praskim brzegu Wisły wojska. Miały przyjść z odsieczą…

W 2009 r. „Kwaterę Bożych Pomyleńców" wystawił, w reżyserii Jerzego Zalewskiego, Teatr Telewizji. W doborowej obsadzie, z Janem Peszkiem, Danielem Olbrychskim, Jerzym Trelą i Jerzym Radziwiłłowiczem. Spektakl był świetny, ale reżyser (ten od „Obywatela poety") niepoprawny, „Polityce" wymowa przedstawienia nie przypadła do gustu, a w końcu i niektórzy wykonawcy zaczęli kręcić nosami i tak po raz kolejny Zambrzycki okazał się autorem dla wtajemniczonych.

Ani cienia pedantyzmu

O czym traktowały inne książki Zambrzyckiego? W „Naszej Pani Radosnej czyli Dziwnych przygodach pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau" (1931) cudownie przenosi swoich bohaterów do Pompei, w odległą przeszłość, tuż przed wybuchem Wezuwiusza w 79 r. po Chrystusie. Po otrzymaniu Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (za „Filipka") pisarz, zapewne z dozą przesady, twierdził, że po „Naszej Pani Radosnej" wszyscy się na niego pogniewali: „Endeków rozeźliło to, że jedyną w pewnym sensie dodatnią postacią był Żyd Ruben, Żydzi obrazili się za wyciągnięcie ze Starego Testamentu rudej krowy odpuszczającej, jak wiadomo, grzechy całej gminie, socjaliści mieli za złe żarty z ubezpieczeń społecznych, zaś pewien organ sfer drobnomieszczańskich zawyrokował po prostu: w szanującym się domu nie ma miejsca dla książki p. Zambrzyckiego. W pismach prowincjonalnych wreszcie, zależnie od ich barwy, zarzucano mi na przemian: to świętoszkowatość, to znów niesmaczne żarty graniczące z bluźnierstwem".

Niemniej jednak prof. Leon Piwiński w „Wiadomościach Literackich" pisał: „Przepyszny żart literacki napisany z wielkim smakiem i nie mniejszym talentem. Powieść historyczna w założeniu fantastycznym, potraktowana na wesoło, w doskonale utrzymanym stylu picaresque… Erudycja autora jest niewątpliwa, ale nie ma w niej ani cienia pedantyzmu – służy ona tylko do celów wyrafinowanej humorystyki dziejowej…". Ale pierwszą jego książką był zbiór humoresek „Większa z kropelkami" (1929), wykorzystujących materiał, który zebrał, przysłuchując się, jako sprawozdawca redakcyjny, toczącym się w Warszawie sprawom sądowym. Rzec można, że w tej materii był poprzednikiem autora, który w ten właśnie sposób zdobył sławę, a mianowicie Stefana Wiecheckiego, arcypopularnego Wiecha.

W „Pamiętniku Filipka" ukazał Warszawę pod rządami pruskimi, miasto księcia Józefa Poniatowskiego i bawiącego czasowo nad Wisłą królewskiego wygnańca, przyszłego Ludwika XVIII, których – podobnie jak uczonych, oberżystów i złodziejaszków – portretuje tytułowy bohater, odpowiednik paryskiego Gavroche'a, rozkochany w grodzie Warsa i Sawy, imający się rozmaitych zajęć Filipek. Po wypędzeniu zaborcy ze stolicy Filipek wstępuje do wojska i, o czym dowiadujemy się z ostatniego zdania książki, ginie niestety pod Berezyną.

„Pamiętnik Filipka" po latach nie wytrzymuje może porównania z najlepszymi utworami pisarza, ale „ja tę książkę lubię – powiada Marcin Gugulski w »Moich ulubionych książkach o Warszawie« – między innymi za spokojną wiarę autora, że to kolumna Zygmunta, a nie żadna inna budowla, jest i będzie symbolem Warszawy". Też podzielam tę wiarę.

Wdzięk i dowcip

W 2007 r., 45 lat (!) po śmierci autora, ukazała się wreszcie jego napisana jeszcze w połowie zeszłego wieku powieść „W oficynie Elerta. Luźne zapiski księgarskie z roku 1650". W dobie PRL nie miała ona najmniejszych szans na wydanie, czego Zambrzycki był w pełni świadomy, i może dlatego informował o jej ukończe-

eprasa.pl 8fdf5bce69

niu w wywiadach prasowych, jakby „chciał wyryć po prostu ślad bibliograficzny" – pisał Przemysław Cieślak, znawca i wielbiciel twórczości Zambrzyckiego, edytor „W oficynie Elerta", którą to znakomitą książkę opublikował własnym sumptem. To właśnie zmarły niestety przedwcześnie Przemek, podziemny drukarz i współpracownik KOR, a w wolnej Polsce antykwariusz zmagający się z chorobą i – co tu dużo mówić – niedostatkiem, zwrócił mi uwagę na pisarstwo Władysława Zambrzyckiego, choć ściśle mówiąc, w ogóle o istnieniu tego pisarza dowiedziałem się od Marka Nowakowskiego, zdumionego, że nie słyszałem o nim wcześniej. No cóż, nie ja jeden zapałałem do tej prozy mocno spóźnioną miłością.

I to Nowakowski właśnie w rozmowie z Krzysztofem Świątkiem dla „Tygodnika Solidarność" podkreślał nieoczekiwanie współczesne walory powieści Zambrzyckiego traktującej o przybyciu do Warszawy w połowie XVII stulecia misji posła Jerzego Gawryłowicza Puszkina, dającej popisy ruskiej pychy i buty przemieszanej z chciwością i chamstwem. „Celem poselstwa – przypominał Nowakowski – było uzyskanie zapewnienia o wieczystej przyjaźni, ale chcieli też wybadać słabość Polski, wycieńczonej wojnami z Turkami, Szwedami, Kozakami". Negocjacje kończyły się „pijaństwem. Rosjanie rozłażą się po mieście – do lupanarów, na Stare Miasto, zaczynają się zabawy w zamtuzach z ladacznicami. Ich finałem są bijatyki, musi interweniować straż miejska. Tłuką lustra i pewien bywały w Rosji Polak komentuje: „Tak już jest, że pijany Moskal, dojrzawszy w szkle swe oblicze, w szaleństwo wpada".

Od siebie dodam, że już „na dzień dobry ściął się" ów XVII-wieczny Puszkin z witającymi

tego wysłannika cara Aleksego podczaszym litewskim Tyszkiewiczem i chorążym koronnym Wesslem. Ten ostatni jakiś czas przysłuchiwał się w milczeniu wymianie zdań między Tyszkiewiczem a Puszkinem, narzekającym, że nie jest dostatecznie honorowany. Wreszcie Moskal zainteresował się i jego osobą: – Ej, chorunży, dlaczego ty nic nie mówisz? Dlaczego mnie nie witasz? – Bo nie znam waszej mowy. – Tak na cóż ciebie, głupiego, król tu przysłał? – indagował Puszkin dalej. – Nie ja głupi, jeno mnie do pilnowania głupich przysłano. – Bladin syn twój hajduk, razem z tobą, ot co! (nieznającym rosyjskiego podpowiadam, że Puszkin wcale nie martwił się bladością syna Wessla.)

Dialog ten jest niemal dosłownie przytoczony ze „Szkiców historycznych" Ludwika Kubali, podobnie jak informacje o handlu sobolimi skórami, czym zajmowali się w Warszawie członkowie licznego orszaku moskiewskiego posła. Czy jednak bojarzy wykrzykiwali przy tym – jak czytamy – „U nas wsiego mnogo, u nas bogato!", tego nie wiemy. Zapewnienia te przypominają raczej deklaracje Sowietów, którzy po zajęciu w 1939 r. naszych ziem wschodnich przechwalali się przed Polakami bolszewickim dobrobytem. Zaraz też dowodzili tego, zdejmując swoim rozmówcom zegarki z rąk. I taką scenę znajdziemy w książce Zambrzyckiego, kiedy to jedną z person moskiewskiej misji zafascynuje prototyp nieznanego urządzenia. Czy to wtedy po raz pierwszy rozległ się okrzyk, który przejść miał do historii stosunków polsko-rosyjskich: „Dawaj czasy!"?

Powieść Władysława Zambrzyckiego niekiedy mija się z prawdą historyczną, a właściwie inaczej – miesza fakty z fantazją autorską. Ale to właśnie dodaje jej wdzięku, wzmocnionego walorami stylu imitującego staropolszczyznę. „W oficynie Elerta" zachęca do lektury fabułą, a przede wszystkim skrzącymi się dowcipem scenami i obrazami z życia XVII-wiecznej Warszawy.

Maria Dąbrowska w liście do Janiny Orynżyny (z 19 lipca 1962 r., a więc prawie trzy miesiące po śmierci autora „W oficynie Elerta") pisała: „Z wielką żałością zauważyłam, że nie podziękowałam p. Zambrzyckiemu za »Kwaterę Bożych Pomyleńców«, którą otrzymałam z Jego dedykacją.

Nigdy się więc już nie dowie, że jest moim ulubionym autorem, że książki jego czytam po kilka razy, uwielbiam jego lekkość, żartobliwość, życzliwy krytycyzm, uroczą fantazję, mądrość i wiedzę, podawaną z tak nieopisanym wdziękiem.

Zazdroszczę mu po prostu rodzaju talentu i chciałabym tak umieć pisać".

Małgorzata Musierowicz po zacytowaniu tego listu dodała od siebie (w tekście z 2008 r. zamieszczonym w miesięczniku „W drodze"): „Tak, te książki się kocha – i jak napisała mi ostatnio młoda Czytelniczka, której poleciłam »W oficynie Elerta« i która po skończonej lekturze natychmiast pobiegła do biblioteki po inne powieści tego autora – »jakoś nie można rozstać się z Zambrzyckim«. Żywa, miła jego myśl, urok dobroci, dyskretnie zaznaczona głębia i metafizyczny »oddech«, ciepło i wnikliwość obserwacji, bogactwo pomysłów i szczegółów, dystans i powściągliwość inteligencka, doskonały smak, skłonność do żartów, kawałów i kpinek, wciąganie czytelnika do literackiej zabawy – jakże to wabi i cieszy!".

Sam swoje literackie zasługi lekceważył lub – wspominał Olgierd Budrewicz – nie mówił o nich wcale: „»Byle się ludzie uśmiechali, to wystarczy« – powiadał zawsze. Do innych pisarzy odnosił się z szacunkiem. Jeżeli mu się coś nie podobało, stwierdzał: »Ja tego nie rozumiem, to dla mnie za mądre«. Sam podyktował swój nekrolog: »Żadnych szczegółów, jak najkrócej, tylko, co konieczne«. Mierził go wszelki patos i egzaltacja. We »Mgle nad Skaldą« napisał: »Niestety w naszym kraju istniał i wciąż istnieje zwyczaj hałaśliwego wielbienia ojczyzny… O ojczyźnie powinno się mówić jak o kobiecie, którą się kocha. Cicho, dyskretnie, bez hałasów«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

Pomnik Stepana Bandery w Tarnopolu FOT. COMMONS WIKIMEDIA/HAIDAMAC

Książka miesiąca / Źródła zbrodni na Polakach

Nienawiść OUN i UPA

Zakordot (Zakordonnyj Otdieł – Oddział Zagraniczny) był organizacją powołaną przez Moskwę w jednym celu: podpalenia kresów Rzeczypospolitej. Chodziło przede wszystkim o zrewoltowanie ludności ukraińskiej przeciw władzy Warszawy. „Na Wołyniu »Zakordot« skierował główne działania przeciwko osadnikom wojskowym, oskarżając ich o zagrabienie ziemi należnej Ukraińcom – pisze w swojej książce Marek A. Koprowski. – Był to oczywiście argument propagandowy i mocno naciągany. Pod osadnictwo wojskowe władze przeznaczyły ziemie należące wcześniej do Polaków i skonfiskowane im przez Rosjan za udział w powstaniach narodowych".

A jednak ta propaganda zapuściła głębokie korzenie w świadomości Ukraińców z Wołynia i wciąż zresztą można usłyszeć od ukraińskich historyków zarzut o grabieży ziemi. Grunty te nie tylko nie były odbierane chłopom ukraińskim, lecz także ich wielkość nie była przytłaczająca w skali całego województwa: stanowiły one niecałe 4 proc. areału Wołynia. Trudno też powiedzieć, by pojawienie się w dwudziestoleciu międzywojennym osadników było śmiertelnym zagrożeniem dla żywiołu ukraińskiego, skoro było ich nieco ponad 18 tys. Stanowili więc oni ledwie 1 proc. populacji tego województwa.

Kwestia osadnictwa polskiego i zbudowanej wokół niego propagandowej narracji stanowi ważny element historycznego tła, bez którego nie da się w pełni zrozumieć okoliczności przeprowadzenia przez ukraińskich nacjonalistów ludobójstwa na polskiej ludności Wołynia i Małopolski Wschodniej. Marek A. Koprowski przedstawia to tło bardzo szczegółowo, stopniowo wprowadzając czytelnika w historię, której finałem była bestialska rzeź wołyńska. W przeciwieństwie do innych książek Koprowskiego o Wołyniu, które koncentrowały się na wąskim wycinku tamtego ludobójstwa (m.in. na ukraińskich katach, polskiej samoobronie czy relacjach ludzi, którzy cudem uszli spod banderowskiego topora), „Mord na Wołyniu" to kompleksowo opowiedziana historia tej najokrutniejszej zbrodni dokonanej na narodzie polskim.

Znajdziemy tu m.in. opis systemu indoktrynacji młodych członków OUN, który tłumaczy w pewnym sensie ślepą nienawiść, którą kierowali się mordercy Polaków, masakrując swoje ofiary.

Stepan Łenkawskyj, bliski współpracownik Stepana Bandery, stworzył „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty". Ósme „przykazanie" zupełnie wprost mówi o nienawiści wobec „wrogów twojego narodu". Z kolei w dołączonym później do „Dekalogu..." opracowaniu wyjaśniającym poszczególne punkty pt. „Jak rozumieć Dekalog" młodzi nacjonaliści mogli przeczytać: „Żyjemy na pograniczu stepowych i osiadłych narodów i w walce przyjmiemy taktykę ludzi stepów. Okrutność w stosunku do wroga nigdy nie jest za wielka". Szał zabijania, którego ofiarami padli w latach 1943–1944 Polacy z Wołynia i Małopolski Wschodniej, nie wziął się więc z „powietrza". Nienawiść była „pielęgnowana" przez OUN i UPA.

Jak zawsze w przypadku książek Marka A. Koprowskiego czytelnik może zapoznać się z szerokim wyborem ciekawych cytatów i relacji świadków. Wiele mówiąca w kontekście zarzutów o okrucieństwo polskich przedwojennych władz jest opinia znanego ukraińskiego intelektualisty i polityka Mychajła Horynia (1930–2013):

„Za Polski nikt nie zwracał uwagi na to, że tacy chłopcy jak ja [...] nosili czapki [...] z tryzubami. Kiedy organizowaliśmy festyny, to najpierw stawialiśmy słup, na którym wieszaliśmy niebiesko-żółtą flagę. Kiedy był teatr, to najpierw trzeba było wystawianą sztukę zarejestrować w starostwie i jeśli sztuka dotyczyła ukraińsko-polskich konfliktów, to na przedstawienie mógł przyjść policjant, ale nie miał prawa ingerować w to przedstawienie. [...] Na wschodniej Ukrainie nikt na coś podobnego by sobie nie pozwolił. Ale za Polski takie rzeczy były możliwe". ©℗

Piotr Włoczyk

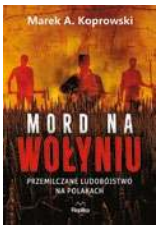

MAREK A. KOPROWSKI „MORD NA WOŁYNIU. PRZEMILCZANE LUDOBÓJSTWO NA POLAKACH"
REPLIKA

eprasa.pl 8fdf5bce69

Królowa polskich rzek

Wisła to jeden z symboli Polski. Dzięki prof. Andrzejowi Chwalbie doczekała się swojej biografii – tak brzmi podtytuł książki. Choć autor zastrzega, że książka nie jest literacka, lecz naukowa, oparta na przekazach źródłowych, to nie znaczy to, że lektura jej jest ciężka i opatrzona sążnistymi przypisami. Jest wręcz odwrotnie, czytanie „Wisły" stanowi przyjemność. Dla kogo przeznaczona jest książka? Autor odpowiada: dla tych, którzy lubią turystykę wiślaną, wioślarzy i żeglarzy, tych, którzy pasjonują się dawnymi technikami szkutniczymi, wędkowaniem, przyrodą, dzikim ptactwem, oraz dla wielu innych, dla których rzeka ma coś w sobie pociągającego.

W historii Wisły, opowiedzianej przez prof. Chwalbę, splatają się przeróżne wątki: gospodarczy, transportowy, hydrologiczny, rybacki, turystyczny, ekologiczny. Po odzyskaniu przez Rzeczpospolitą Pomorza rzeka stała się „centrum układu krwionośnego gospodarki polskiej". Rozpoczął się, poprzez Gdańsk, eksport zboża, surowców dla przemysłu stoczniowego, masztowych drzew. Jak stwierdza autor, furorę robił dziegieć. Transport wodą był najszybszy i najtańszy, Wisła stała się więc „wodną autostradą". Na gospodarczym tle wybuchały konflikty Gdańska z Elblągiem, Torunia z Nieszawą, a także Nowego Sącza z Krakowem – o składy soli, także przewożonej Wisłą.

W XIX w. znaczenie gospodarcze rzeki wybitnie się zmniejszyło, gdyż płynęła teraz przez ziemie trzech państw zaborczych, a przewóz towarów przejęła kolej. Natomiast, jak podkreśla prof. Chwalba, rozwinęła się żegluga pasażerska, pod wpływem mody na podróżowanie i zwrotu ludzi ku naturze. Szkoda jednak, że minęły te czasy, gdy można było popłynąć Wisłą do Płocka, Ciechocinka, Puław, Kazimierza Dolnego. Gdy nad Wisłą budowano miasta, odwracały się one – z wyjątkiem Gdańska – od rzeki, nadbrzeżne dzielnice były ubogie, nieatrakcyjne. Pod tym względem dziś jest zupełnie inaczej.

Wisła jest jedyną tak wielką, dziką rzeką europejską, stąd też – jak zauważa autor – istnieje silny ruch społeczny zmierzający do tego, by zachowała swój unikatowy charakter, nadal stanowiła „korytarz ornitologiczny" i była wolna od zagrożeń związanych z działalnością przemysłu. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***

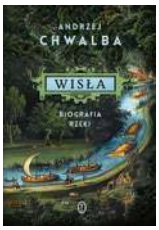

ANDRZEJ CHWALBA
„WISŁA. BIOGRAFIA RZEKI"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Znikające Bieszczady

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu Bieszczady były prawdziwie niedostępnymi górami. Do wielu miejsc dało się dotrzeć jedynie na piechotę, a tylko rosnące gdzieniegdzie drzewa owocowe przypominały, że gdzieś tu istniały kiedyś wioski. Dziś takich miejsc jest coraz mniej. W trzytomowej serii „Bieszczady w PRL-u" Krzysztof Potaczała przypomina świat, który odchodzi w zapomnienie. Nieomal pionierskie wędrówki po Bieszczadach, nielegalne przekraczanie granicy z ZSRS, cerkwie i zapomniane mogiły. Przede wszystkim zaś smak wolności. I przestrzeń. ©℗ ***ASz***

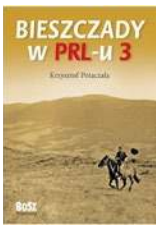

KRZYSZTOF POTACZAŁA
„BIESZCZADY W PRL-U", T. 1–3
WYDAWNICTWO BOSZ

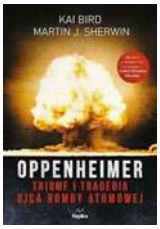

KAI BIRD, MARTIN J. SHERWIN
„OPPENHEIMER. TRIUMF I TRAGEDIA OJCA BOMBY ATOMOWEJ"
REPLIKA

ATOMOWE TAJEMNICE

Dyrektor naukowy Projektu Manhattan, który orientuje się, do czego doprowadziła jego praca, i który stara się powstrzymać atomowy wyścig. Wielkie tajemnice, laboratoria schowane pod ziemią, broń, która może zgładzić całą ludzkość, i spiski na najwyższych szczeblach władzy. Życiorys Oppenheimera to wyjątkowo wdzięczny temat. Ta książka to majstersztyk i nic dziwnego, że wyróżniono ją Nagrodą Pulitzera. ©℗ ***(p.w.)***

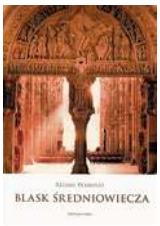

RÉGINE PERNOUD
„BLASK ŚREDNIOWIECZA"
ANDEGAVENUM

PRAWDA O ŚREDNIOWIECZU

Chyba każdy słyszał, że w średniowieczu mieszkańcy Europy nigdy w życiu się nie myli, a fanatyczni krzyżowcy najechali Bogu ducha winnych muzułmanów. Krótko mówiąc, średniowiecze było okresem największej zapaści w dziejach ludzkości. Te mity – i wiele innych – a czasem i zwykłe brednie w ciekawy sposób odkłamała prof. Pernoud. ©℗ ***(p.w.)***

BRUCE GOLDFARB
„18 ZBRODNI W MINIATURZE. NIEZNANA HISTORIA FRANCES GLESSNER LEE I POCZĄTKÓW WSPÓŁCZESNEJ KRYMINALISTYKI"
WYD. UJ (BO.WIEM)

POSTRACH MORDERCÓW

„Przekrojowe Studia Niewyjaśnionych Zgonów" to seria 18 dioram, których autorką była Frances Glessner Lee. Ta niezwykła kobieta nazywana jest „matką współczesnej kryminalistyki"; przyczyniła się m.in. do stworzenia medycyny sądowej. Bruce Goldfarb przybliża jej postać, opisuje jej intrygujące życie, a przy okazji „prostuje" jej biografię z krzywdzących stereotypów. ©℗ ***ASz***

eprasa.pl 8fdf5bce69

Panorama Florencji FOT. COMMONS WIKIMEDIA/STEVE HERSEY

Perła Italii

Podobno niektórzy, zwiedzając Florencję, doznają czegoś na kształt oszołomienia. Liczba zabytków i piękno otaczającej architektury są tak pobudzające, że powodują szybsze bicie serca. Ta książka uchyla drzwi do tego niezwykłego świata.

Opowieść czworga autorów, włoskich mediewistów, to podróż przez historię Florencji, a także niezwykła wędrówka po jej, istniejących współcześnie, ulicach, placach i zaułkach. Praca ta może posłużyć jako nietypowy (a zarazem być może najlepszy) przewodnik po tym wyjątkowym mieście.

„Florencja nie jest miastem jak każde inne" – przekonują autorzy. Nawet jeśli ktoś we Florencji nie był, to po lekturze tej książki i tak pewnie szybko pojmie, co historycy mieli na myśli. W dziejach tego jednego z najsłynniejszych włoskich miast jak w soczewce skupiają się historia Italii, a także historia chrześcijańskiej Europy. Dzieje Florencji to w końcu też nasze wspólne – europejskie i chrześcijańskie – dziedzictwo. Z polskiej perspektywy funkcjonowanie Florencji może stanowić zarazem pewien fenomen – struktury polityczna i społeczna, które istniały w tym mieście, nie przypominają tego, co znamy z północnych części kontynentu.

Wskazane w pracy rozdziały z dziejów Florencji nie wyczerpują każdego zagadnienia. Stanowią one jednak dobry punkt zaczepienia do dalszych poszukiwań i pogłębiania wiedzy, zachęcając jednocześnie do odwiedzenia miasta, którego mury doskonale pamiętają postaci takie jak Dante Alighieri czy Giotto.

Książka oparta została na licznych źródłach historycznych, całość uzupełniają piękne kolorowe zdjęcia i reprodukcje obrazów. Nie jest to praca obszerna, lecz nie liczba stron decyduje o jej wartości. To jedna z najlepszych i intrygujących „biografii" miasta, jakie napisano. We Włoszech, gdzie książka ukazała się w 2016 r., w środowisku naukowym okrzyknięto ją jako „bardzo ciekawe i nowatorskie" podejście do dziejów Florencji. Na uwagę zasługuje także świetne tłumaczenie książki na język polski, którego dokonała dr Hanna Podgórska. ©℗

Anna Szczepańska

S. DIACCIATI, E. FAINI, L. TANZINI, S. TOGNETTI
„JAK KWITNĄCE DRZEWO. FLORENCJA ŚREDNIOWIECZNA I RENESANSOWA"
PIW

Gierki Gierka

Profesor Mirosław Szumiło wielokrotnie dzielił się na łamach naszego miesięcznika swoją imponującą wiedzą na temat rządów komunistycznych w Polsce. Jak mało który badacz w naszym kraju prześwietlił „elity" władzy PRL. Tym razem czytelnicy dostają do ręki wnikliwą pracę o tym, jak Edward Gierek wspinał się na kolejne szczeble partyjnej drabiny, by w 1970 r. stanąć na samym jej szczycie.

Po drodze autor obala kilka mitów, którymi obrosła ta postać. Jednym z nich są opowieści o Gierku jako o ważnym członku belgijskiego ruchu oporu. Ta wojenna legenda ambitnego działacza ze Śląska miała wzmacniać jego pozycję polityczną (w fałszowanie jego wojennego życiorysu zaangażowano nawet Wojskowy Instytut Historyczny im. Wandy Wasilewskiej). Tymczasem, jak udowadnia autor, Gierek był po prostu szeregowym, szerzej nieznanym członkiem ruchu oporu. Mitem okazuje się też obraz Gierka, który nie miał wyboru i musiał przyjąć z rąk towarzyszy partyjnych „namaszczenie" na następcę Władysława Gomułki. W rzeczywistości Gierek całkowicie pochłonięty był wówczas machinacjami partyjnymi, by zrzucić z PRL-owskiego „tronu" Gomułkę i zająć jego miejsce. ©℗

Piotr Włoczyk

MIROSŁAW SZUMIŁO
„GIEREK. DROGA DO WŁADZY"
KSIĘŻY MŁYN

eprasa.pl 8fdf5bce69

Czerwoni pancerniacy i kościuszkowcy

Udział żołnierzy komunistycznej 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w bitwie pod Lenino jest dość dobrze opisany w polskiej historiografii. Słabsza jest natomiast wiedza na temat udziału w walkach sowieckich jednostek współdziałających z berlingowcami. Problematykę użycia w bitwie pod Lenino 5. Korpusu Zmechanizowanego Armii Czerwonej dowodzonego przez gen. Michaiła Wołkowa zaprezentował w swej najnowszej książce „Czołgi pod Lenino…" dr Kamil Anduła.

Wspomniana jednostka wchodziła w skład 33. Armii, której zadaniem było rozwinięcie natarcia po przełamaniu przez 1. DP, 290. Dywizję Strzelecką i 42. Dywizję Strzelecką niemieckiej obrony na linii Połzuchy – Trigubowo. Celem było opanowanie rzeki Pniewka i ofensywa w ramach tzw. operacji orszańskiej w kierunku Dniepru. Zasadnicze cele, jakie postawiono przed dywizjami piechoty, nie zostały zrealizowane. Pododdziałom 1. DP udało się zaledwie na kilka godzin zająć wieś Trigubowo. Pomimo tego dowódca 33. Armii, gen. Wasilij Gordow, zdecydował się na użycie wchodzącej w skład korpusu 233. Brygady Pancernej. Zbiegło się to w czasie z kontratakiem niemieckim przeprowadzonym siłami jednej kompanii, który doprowadził do wyparcia kościuszkowców ze wsi Trigubowo. Sowieckie czołgi zaczęły w godzinach popołudniowych odgrywać rolę wsparcia w nieudanych szturmach mających na celu odbicie zajętej wsi.

Należy zwrócić uwagę na brak jakichkolwiek uzgodnień pomiędzy dowództwem korpusu a dowództwem 1. DP. Co prawda, dowódca komunistycznej polskiej dywizji gen. Zygmunt Berling, uczestnicząc w naradzie sztabu 33. Armii, słyszał, jakie rozkazy otrzymał gen. Wołkow, ale ta wiedza nie przełożyła się na wspólne decyzje dotyczące szturmu na niemieckie pozycje. Jak słusznie zauważa autor publikacji, żołnierze kościuszkowscy i sowieccy pancerniacy prowadzili nieskoordynowane ze sobą działania, tocząc jakby odrębne bitwy z tym samym przeciwnikiem.

Inną sprawą było to, że nawet gdyby do ustaleń doszło, to ze względu na niedostateczną analizę warunków terenowych 12 października 1943 r., 256. BPanc, pomimo podejmowanych prób, nie była w stanie przekroczyć bagnistej doliny rzeki Mirei. Część czołgów, którym ten wyczyn się udał, utknęła w błocie. Do akcji mogli wkroczyć dopiero następnego dnia, po interwencji wojsk sapersko-inżynieryjnych.

Podczas dwudniowych zmagań polegających głównie na wspieraniu ataków piechoty kościuszkowców i żołnierzy sowieckich 5. KZmech poniósł straty wielkości 22 zabitych i 120 rannych. Te liczby uległy zwielokrotnieniu, ponieważ po wycofaniu spod Lenino 1. DP korpus, a potem jego pododdziały, aż do 20 października 1943 r. uczestniczył na tym odcinku w zmaganiach militarnych. W sumie do tego dnia zginęło 501 żołnierzy i oficerów, a całkowitemu zniszczeniu lub uszkodzeniu uległy co najmniej 73 czołgi i działa pancerne. Trudno określić wielkość strat zadanych stronie niemieckiej. Przeciwnikiem berlingowców i Sowietów był w rejonie wsi Trigubowo 688. pułk grenadierów z 337. Infanterie Division. Straty poniesione przez tę jednostkę wyniosły co najmniej 339 zabitych, rannych i zaginionych. Do tej liczby należy dodać 185 zabitych, rannych i zaginionych z dwóch batalionów 278. pułku grenadierów 95. Infanterie Division. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

KAMIL ANDUŁA
„CZOŁGI POD LENINO. 5. KORPUS ZMECHANIZOWANY W WALCE 12–18 PAŹDZIERNIKA 1943 R. STUDIUM ZASTOSOWANIA BRONI PANCERNEJ"
TETRAGON

Dyplomaci i Żydzi

Książka omawia stanowisko władz polskich w latach 1932–1936 wobec kwestii emigracji żydowskiej i związane z nią działania dyplomatów na arenie międzynarodowej. W dokumencie MSZ, omówionym przez autorkę, zawarto uwagę, że emigracja części ludności żydowskiej z Polski rozpatrywana nie jest z punktu widzenia rasowego czy też religijnego, a bierze się pod uwagę tylko względy społeczne i gospodarcze.

Wiceminister Jan Szembek podkreślał, że zmniejszenie się liczby ludności żydowskiej przyczyni się do zwężenia płaszczyzny tarć natury gospodarczej, społecznej i politycznej. Jak pisze autorka, duże nadzieje na wzrost emigracji Żydów z Polski władze pokładały w rozmowach z ruchem syjonistycznym, który był zainteresowany jak największym wzrostem ludności żydowskiej w Palestynie. Książka omawia również rozmowy z Brytyjczykami, którzy starali się ograniczać emigrację Żydów do Palestyny.

Ciekawostką jest informacja, którą przedstawiła ambasada RP w Waszyngtonie – prasa żydowska w Stanach Zjednoczonych wyolbrzymiała ekscesy antysemickie w Polsce, a minimalizowała je, gdy pisała o Niemczech. Dyplomacja polska starała się na arenie międzynarodowej wykazać, jak duża była różnica w traktowaniu Żydów w obu tych krajach. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***

KINGA CZECHOWSKA
„POLSKA DYPLOMACJA WOBEC »KWESTII ŻYDOWSKIEJ« W LATACH 1932–1939"
IPN

eprasa.pl 8fdf5bce69

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Słodka obłuda

Wynalazek kolumny rektyfikacyjnej, umożliwiającej produkcję cukru z łatwo dostępnych i tanich ziemiopłodów, jak buraki czy kukurydza, był jednym z najbardziej brzemiennych w skutki dla naszej cywilizacji. Substancja dostarczająca bardzo łatwo przyswajalnych węglowodanów, niezbędnych dla dobrego funkcjonowania ludzkiego mózgu, w przyrodzie występuje skąpo i zawsze w połączeniu z innymi, spowalniającymi jej wchłanianie – stąd mózg wyznacza szczególną endorfinową nagrodę za dostarczenie mu słodyczy. Tego, że pojawi się cukier wytwarzany przemysłowo i oczyszczony, natura nie przewidziała.

Oczywistym skutkiem tego stanu rzeczy jest powszechne przejadanie się przez współczesnych ludzi słodzonymi produktami – szczególnie paskudne skutki ma tu powszechna dostępność napojów gazowanych, przeważnie słodzonych syropem kukurydzianym, izoglukozą – i spowodowana tym epidemia chorób tzw. cywilizacyjnych. Mimo że problem zauważono jeszcze przed drugą wojną światową i że od tego czasu stale wdrażano coraz to nowsze programy edukacyjne oraz uchwalano ustawy, normy i przepisy, z pokolenia na pokolenie sytuacja jest gorsza. Ocenia się, że dzisiejsi nastolatkowie i pokolenia następne żyć będą krócej niż ich dziadkowie, mimo ogromnego postępu medycyny.

A choroby uważane kiedyś za związane ze starością – nadciśnienie, miażdżyca i cukrzyca – stały się powszechne już wśród 20-latków.

Polecam każdemu prześledzenie przyczyn tej nieskuteczności. Otóż uporczywa, głośna i kosztowna walka z otyłością w Ameryce i zachodniej Europie prowadzona była de facto pod dyktando koncernów produkujących przemysłową, przetworzoną żywność, w tym szczególnie te jej rodzaje, które są przyczyną problemu. Ilekroć władza publiczna próbowała zrobić coś, co mogłoby pomóc – choćby tak drobnego, jak obowiązek oznaczania na opakowaniu, że produkt zawiera szczególnie dużo rafinowanych cukrów – tylekroć nabijała się na lobbing koncernów… i wiadomo. Jest takie badanie, wspólne dzieło uniwersytetów Princeton i Northwestern, pokazujące, że od kilkudziesięciu lat nie zdarzyło się w USA, aby weszła w życie choćby jedna ustawa, którą wielkie koncerny uznały za szkodliwą dla siebie.

> / Stworzono ogromny rynek produktów „fat free" i wydano miliardy na wmówienie ludziom, że produkty bez tłuszczu odchudzają. **W istocie tuczą jeszcze bardziej**

Wzamian za to walkę z otyłością skierowano na tory ślepe, za to mnożące zyski wytwórców słodkich trucizn. Stworzono ogromny rynek produktów „fat free" i wydano miliardy na wmówienie ludziom, że produkty bez tłuszczu odchudzają. W istocie tuczą jeszcze bardziej, z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że tłuszcz w ludzkich tkankach nie pochodzi z tłuszczu w jedzeniu, jest produkowany przez organizm – głównie z węglowodanów. To one tuczą, cukier – nie tłuszcz. Poza tym, żeby jedzenie odtłuszczone nie było burą breją, trzeba do niego dodać mnóstwo chemicznych świństw zaburzających metabolizm. A na dodatek oszukany człowiek, który normalnie zjadłby jedną porcję, łudzony obietnicą, że to „nietuczące", je dwa razy więcej.

Polecam wszystkim książki i filmy dokumentalne na ten temat dopóty, dopóki są – bo historia „nietuczącego" jedzenia właśnie powtarza się z „zielonymi" produktami, mającymi „ratować planetę". Ich produkcja niszczy ją znacznie bardziej niż tradycyjne technologie – ale lobbujące za „zeroemisyjnością" koncerny zbijają na tym fortuny. Ludzie nic a nic się nie uczą. ©℗

eprasa.pl 8fdf5bce69

/ Felieton

Piotr Semka

„Titanic” refleksyjny

Kiedy na początku obecnego stulecia władze miejskie Belfastu, stolicy Irlandii Północnej, szukały jakiegoś symbolu, który zepchnąłby na dalszy plan wizerunek stolicy Ulsteru jako miejsca krwawych, bratobójczych walk katolików i protestantów, ktoś wskazał drogę wyjścia z pułapki złych stereotypów. Świat był wtedy pod wrażeniem imponującego filmu „Titanic” z 1997 r. w reżyserii Jamesa Camerona. Przypomniano sobie, że przecież ten gigantyczny statek, symbol nadziei i rozczarowań „epoki węgla i stali”, zbudowany był w stoczni w Belfaście. I rzeczywiście dekadę później w Belfaście powstało muzeum „Titanica”. Każdy, kto odwiedza tę niezwykle imponującą placówkę muzealną, musi być pod wrażeniem rozmachu jej twórców. Bardzo atrakcyjna architektoniczna forma muzeum, drobiazgowa historia powstawania statku i troskliwie zebrane z najprzeróżniejszych miejsc na świecie nieliczne ocalone pamiątki ze statku. Zazwyczaj to, co morze wyrzuciło na brzeg na plażach kanadyjskiej Nowej Szkocji.

Na przestrzeni 12 tys. mkw pokazano w mistrzowski sposób, jak wyglądał na początku XX w. Belfast – industrialne centrum Irlandii, które w tamtym czasie było większym miastem niż Dublin. Wspaniale położony na tzw. Queens Island monument jest hołdem dla kunsztu stoczniowego 14 tys. robotników, którzy pracowali przy budowie tego kolosa. Ale widać też, że autorzy ekspozycji najlepiej czują się w eksploatowaniu specyficznego uroku industrializmu początku XX w. Doskonale opracowano swoisty przejazd na gondoli wycieczkowej przez odtworzoną za pomocą efektów specjalnych halę, w której powstawał kadłub tego morskiego giganta. Błyskają światła z elektrod spawaczy, w uszy wbija się hałas młotów pneumatycznych, a specyficzna symfonia stoczniowych hałasów robi wrażenie na każdym.

Na tle tego pysznienia się kunsztem stoczniowej sztuki imperium brytyjskiego z czasów króla Edwarda VII wyraźne zakłopotanie autorów wystawy widać w rozdziale „Titanic w micie i pamięci”. I to, co rzuca się w oczy i w jakiś sposób szokuje dzisiejszego widza, to głębia chrześcijańskiej pokory, z którą ówcześni brytyjscy chrześcijanie, katolicy i protestanci przyjęli tę tragedię. Na wystawie zgromadzono wiele widokówek z motywem Jezusa i krzyża – znaku jego męki, który widnieje na niebie nad tonącym statkiem. Na wielu widokówkach jest widoczne przesłanie: dzięki katastrofie jej ofiary znalazły się bliżej Boga. Przy roztrząsaniu okoliczności tragedii polskie gazety przypominały wówczas postać księdza katolickiego, który odmówił wejścia do łodzi, aby pozostać z tymi, którzy na ratunek nie mieli szans, i razem z nimi, wspólnie modląc się, udzielał im absolucji aż do ostatnich chwil, gdy kadłub statku zanurzył się w lodowatej toni. Był to ks. Józef Montwiłł, 27-letni kapłan z Suwalszczyzny, który oddał swoje miejsce w szalupie bardziej potrzebującej matce z dzieckiem. Ówczesne polskie gazety nieco zbyt łatwo przedstawiały go jako polskiego kapłana. Sprawa była bardziej skomplikowana, bo Montwiłł należał już do tej generacji kapłanów, którzy utożsamiali się z litewskością rozumianą w opozycji do polskości. Ale sylwetka ks. Montwiłła była w ówczesnych czasach przedstawiana jako przykład godnego zachowania się katolika w momencie katastrofy.

Inny motyw z tej ostatniej części wystawy w Belfaście to duma Brytyjczyków z zachowania ekipy oficerskiej statku na czele z kapitanem Edwardem Johnem Smithem. Jego słowa „We British gentlemen” stały się symbolem zdolności synów Albionu do zachowania spokoju i racjonalnego zachowania nawet w obliczu największej tragedii. I ten motyw pojawił się na dziesiątkach płyt pamiątkowych i monumentach, które odsłonięto ku czci ofiar tragedii. Przykładowo na jednym z pomników w Southampton uczczono też konstruktorów statku, którzy wyruszyli w jego dziewiczy rejs i w większości zginęli, biorąc pośrednio odpowiedzialność za błędy konstrukcyjne, które spowodowały zatonięcie morskiego kolosa. Dlaczego piszę o tym najciekawszym bodajże końcowym rozdziale muzealnej wystawy o „Titanicu”? Pokazuje on bowiem, jak nieco ponad 110 lat temu reagowano w zupełnie inny sposób na tragedię, niż zazwyczaj dzieje się to teraz. Szukano w niej głębokiego sensu wyroków Bożej opatrzności i akcentowano w niej to, co było zachowaniem godnym i wynikającym z poczucia obowiązku. Każdy, kto zakochany jest w morskich powieściach Josepha Conrada-Korzeniowskiego, znajdzie w tych pamiątkach po reakcjach na tragedię bardzo znajome motywy. I choćby tylko z tego jednego powodu warto odwiedzić Belfast i muzeum „Titanica”. ©℗

eprasa.pl 8fdf5bce69

XVIII–XX w. / Utracone skarby

Zamek w Nieświeżu FOT. ADOBE STOCK

Grabież i odnowa Nieświeża

Tomasz Stańczyk

Rezydencja Radziwiłłów była rabowana przez Rosjan. Z zaniedbania wyciągnęła zamek Francuzka – żona przedstawiciela berlińskiej linii rodu

Zamek w Nieświeżu, dziś na Białorusi, znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Zbudowany w końcu XVI w., wraz z kościołem – mauzoleum rodowym, przez Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła „Sierotkę", należał do 1939 r. do 17 kolejnych ordynatów nieświeskich. Gdy Radziwiłłowie byli potężni, wspaniała była też ich rezydencja. Ostatnim wielkim panem na Nieświeżu był ekscentryczny patriota Karol Stanisław Radziwiłł „Panie Kochanku". Wielki magnat zaangażował się po stronie antyrosyjskiej konfederacji barskiej, za co wojska carycy Katarzyny II złupiły mu Nieśwież, zabrały m.in. bogato zdobione armaty – arcydzieła sztuki ludwisarskiej. Niektóre z nich wróciły do Polski po traktacie ryskim.

Ostatnim blaskiem chwały zamku było wspaniałe przyjęcie przez księcia „Panie Kochanku" króla Stanisława Augusta w 1784 r. Sprawozdanie z tej wizyty, cytowane z rękopisu w książce „Z dziejów Nieświeża" Bolesława Taurogińskiego, mówi o przygotowanych dla króla pokojach „według godności majestatu udekorowanych". A Radziwiłł miał czym po królewsku dekorować komnaty, wstawił do nich m.in. tron Jana III. Stanisław August oglądał przebogaty skarbiec, a w nim znajdowały się także dary monarchów i papieży dla Radziwiłłów. Były w skarbcu konie z drewna, naturalnej wielkości, „w bogato haftowane, samo przez się złote, diamentami, perłami i drogimi kamieniami sadzone siodła i rzędy złote". Oglądał też król wielkie i ważne archiwum, gdyż Radziwiłłowie na mocy przywileju Zygmunta Augusta przechowywali najważniejsze dokumenty Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Rosyjscy rabusie

Po śmierci Karola Stanisława Nieśwież objął jego bratanek Dominik. Kontynuował tradycje stryja, spraszając i goszcząc szlachtę, urządzając bale i festyny. Książę Dominik, oficer wojsk Księstwa Warszawskiego, walczył z Rosją, wziął udział w wyprawie na Moskwę, poległ w 1813 r. Konsekwencje postawy księcia Dominika były dla Nieświeża fatalne. Zbiory zamkowe zostały wywiezione do Rosji. Marszałek zamku Albert Burgielski wyliczał to, co zabrał adm. Paweł Cziczagow: m.in. brylanty, tabakiery srebrne i złote, wysadzane brylantami, bezcenne antyki, zegary, monstrancje, miecz podarowany

eprasa.pl 8fdf5bce69

Sobieskiemu po wiktorii wiedeńskiej, płaszcz francuskiego Orderu św. Ducha, buławy hetmańskie, laski marszałkowskie, biżuterię. Reszta – meble, lustra, powozy, a nawet pościel i firanki – padła łupem gen. Tuczkowa. Cziczagow pisał do Aleksandra I: „Pogubiwszy w drodze własne skrzynie wojskowe, byłem aż nadto szczęśliwy, odnajdując w Nieświeżu w pałacu ks. Radziwiłła wspaniały skarbiec, który mógł pokryć moje straty". Część skradzionych rzeczy Cziczagow oddał do petersburskiego Ermitażu. Rosyjscy oficerowie także się obłowili, choć nieco skromniejszymi łupami. Wcześniej, po pierwszym rozbiorze, wywieziono też do Rosji liczącą 20 tys. woluminów bibliotekę, największy prywatny księgozbiór w Rzeczypospolitej. To, co pozostało w zamku, było niszczone lub rozkradane.

Dominik Radziwiłł miał nieślubnego syna, Aleksandra, którego uznał, ale władzom rosyjskim ani się śniło uznać go za spadkobiercę. Skonfiskowany Nieśwież car nadał innemu Radziwiłłowi – Antoniemu z linii berlińskiej, nazywanej też pruską. Odtąd zaczął się jego upadek, ponieważ Radziwiłł posiadał rezydencję w Berlinie i Nieświeżem się nie interesował.

Edward Kotłubaj, który był w zamku nieświeskim w 1844 r., zastał galerię portretów „w najsmutniejszym stanie". Tak to opisał: „Obrazy te zebrane do jednej nigdy nieopalanej sali, po największej części bez ram, butwieją na podłodze lub na wilgotnych ścianach, oddane na pastwę szczurom i wszystko niszczącemu czasowi. Większa część obrazów jest bardzo uszkodzona i niezadługo te resztki nagromadzonych przez wieki pamiątek zniszczeją do ostatka".

Dlatego też Kotłubaj postanowił odrysować portrety i wydać je w postaci drzeworytowej, wraz z życiorysami kolejnych ordynatów nieświeskich, w książce „Galeria Nieświeżska portretów Radziwiłłowskich".

Niewiele później w Nieświeżu przebywał Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz), który tu właśnie chodził do szkoły, a potem pracował w administracji ordynacji nieświeskiej. Oprócz portretów Radziwiłłów, znajdujących się w nieładzie, zauważył w stanie „półzepsucia" wielkie płótna przedstawiające nadanie przez cesarza Karola V tytułu książęcego Radziwiłłom, a także scenę batalistyczną z wojen za czasów Jana Kazimierza oraz myśliwską z XVII lub XVIII w. „Oba te szmaty płótna osypują się za każdym powiewem wiatru, którego cugi przez pobite okna wieją po galerii" – pisał w „Wędrówkach po moich niegdyś okolicach". Był też obraz przedstawiający koronację Barbary Radziwiłłówny. Z blisko tysiąca obrazów, które były na zamku w XVIII w., Syrokomla mógł oglądać tylko połowę, reszta przepadła. Spośród wymienionych przez niego płócien przynajmniej dwa, ze sceną nadania tytułu książęcego i koronacji, były do 1939 r. w Nieświeżu, jak podawał Roman Aftanazy w swoim monumentalnym dziele o kresowych rezydencjach.

Jedna z sal zamku w Nieświeżu FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Maria Radziwiłłowa z domu de Castellane

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Wiele lat później, w 1905 r., odwiedził Nieśwież Aleksander Jelski. W książce „Nieśwież Radziwiłłowski przed ćwierć wiekiem a dziś" pisał, że jeszcze ok. 1880 r. zamek świecił pustkami, tylko niektóre pokoje były zajęte przez oficjalistów, inne nie miały okien, w innych jeszcze mieściły się w nieładzie archiwa. W niedających się zliczyć pokojach walały się całe stosy obrazów starożytnych i rupieci, opłakany widok dziejowego rumowiska resztek wielkopańskiej przeszłości i znikomej sławy śmiertelnych. W kościele były „pył i brud", a podziemia, w których spoczywali właściciele Nieświeża, były zalane wodą.

Dziwna obojętność cechowała Antoniego Henryka Radziwiłła i jego syna Wilhelma na wspaniałe kresowe dziedzictwo rodu. Książę Antoni ożenił się z Hohenzollerówną i – jak stwierdzał Kazimierz Bartoszewicz, autor książki o Radziwiłłach – jego ognisko domowe było bardzo pruskie. Pisał, że berlińscy Radziwiłłowie „zfryderykowali się i zwilhelmowali doszczętnie", nawiązując też do tego, że synom nadawano wyłącznie imiona niemieckie – Fryderyk i Wilhelm. Berlińska linia Radziwiłłów – jak surowo oceniał Bartoszewicz – „sprusaczywszy się, zatraciła nawet rodową dumę radziwiłłowską. Zapożyczony sztuczny

eprasa.pl 8fdf5bce69

blask od Hohenzollernów tak ją olśnił, że zapomniała o najdroższych pamiątkach swej przeszłości, pozwalała na ich zupełną zagładę". Jedynie część archiwum nieświeskiego zabrana została do Berlina.

Ratunek dla zamku

Los swój berlińscy Radziwiłłowie związali z Niemcami, niektórzy byli pruskimi generałami. Nie znaczy to jednak, że kompletnie zapominali o polskości, ponieważ starali się bronić Polaków przed niemieckimi prześladowaniami i germanizacją. O Nieświeżu, w którym rozsypywała się w proch galeria portretów ich przodków, jednak nie pamiętali.

W 1865 r. gen. Antoni Wilhelm Radziwiłł wybrał się do Nieświeża, wiedziony jednak nie sentymentem, lecz koniecznością uregulowania pewnych spraw majątkowych. Towarzyszyła mu żona Maria Dorota Radziwiłłowa, z domu de Castellane, która była Francuzką. I to dzięki niej zamek w Nieświeżu podniósł się z kompletnego upadku. W swoich pamiętnikach tak to opisywała:

„Ten zamek, którego każdy kamień mógł opowiadać dzieje kraju tego, oraz, że kraj ten sam był przez swoją kulturę o ileż wyżej posunięty jak Prusy, a przez to zbliżał się więcej do mojej klasycznej ziemi, do Francji […]. Wynikło z tego wielkie uczucie sympatii dla Polski, gdzie o wiele więcej, niż w Berlinie, czułam się w środowisku pełnym kultury takim, w jakiem się urodziłam. I oto wtedy już stanowczo ogarnęło mnie pragnienie podniesienia z upadku, o ile na to siły moje pozwolą, tych pamiątek, pełnych chwały, a zarazem postanowienie sprowadzenia na powrót do swej ojczyzny tych z rodziny, którzy o niej zapomnieli przez swe małżeństwo na dworze pruskim […]. Skoro tylko mój mąż wszedł w posiadanie Nieświeża w 1875 roku i z moim wielkim żalem pozostał nadal w służbie wojskowej pruskiej, przez 25 lat oddawałam się cała zadaniu tej restauracji, ażeby uratować dla moich dzieci siedzibę godną ich nazwiska i godną dziejów ich ojczyzny".

Francuzce udało się uzyskać zgodę cara na zwrot części rzeczy ze skarbca nieświeskiego i na zabranie z muzeów rosyjskich dzieł sztuki, co do których Radziwiłłowie mogli udowodnić, że przed grabieżą były ich własnością. Do Nieświeża wróciły dwie skrzynie kosztowności ze skarbca. Była to jednak znikoma część tego, co na 13 wozach wywiózł adm. Cziczagow. Nie udało się odzyskać biblioteki, z której książki zostały rozparcelowane między rosyjskie instytucje naukowe. Z pewnością miały radziwiłłowskie ekslibrisy świadczące o tym, do kogo należały.

W archiwum na zamku opiekujący się nim Michał Bohusz-Szyszko odnalazł oryginał aktu unii lubelskiej. Wywiózł ten dokument do pałacu Radziwiłłów w Berlinie „przez niezbyteczną wcale ostrożność", jak pisał Jelski. Chodziło oczywiście, by w latach represji przeciw Polakom po powstaniu styczniowym akt unii lubelskiej nie dostał się w ręce Rosjan.

Do Nieświeża wróciła część zbroi wywiezionych, podobnie jak część archiwum, przez księcia Wittgensteina, męża Stefanii Radziwiłłówny, która była córką księcia Dominika Radziwiłła. Mathias Bersohn w rozprawie o dawnej zbrojowni nieświeskiej napisanej na początku XX w. informował, że spadkobierca Wittgensteina zwrócił zabrane także stare zbroje (o wadze 460 pudów, czyli ponad 7 ton), jednak były one w fatalnym stanie, bardzo przerdzewiałe. Niestety, z archiwum zachowała się tylko połowa z ok. miliona dokumentów, reszta uległa rozproszeniu.

Żona Antoniego Wilhelma Radziwiłła zajęła się także bardzo zaniedbanym kościołem. Krypta grobowa została osuszona, położono kamienną posadzkę, trumny ułożono chronologicznie, dodając na nich stosowne napisy.

Aleksander Jelski, który zwiedzał w 1905 r. zamek na zaproszenie Marii Róży Radziwiłłowej z Branickich, żony Jerzego Radziwiłła, pisał, że zamek ma sto pokoi, świetnie urządzonych, wypełnionych meblami, obrazami, pamiątkami historycznymi, „i chyba jak kraj długi i szeroki nic podobnego się nie znajdzie w historycznych rezydencjach magnatów naszych". Jelski, pisząc o kraju, miał z pewnością na myśli dawne ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego, nie całej Rzeczypospolitej. Pałac w Łańcucie i niektóre rezydencje na kresowych ziemiach ukraińskich bez wątpienia były bogatsze w dzieła sztuki i różne kolekcje.

Marszałek w gościnie

Raz jeszcze, w 1920 r., zamek w Nieświeżu, należący wówczas do Albrechta Radziwiłła, został ograbiony, tym razem przez żołnierzy Rosji bolszewickiej. W 1926 r. marszałek Józef Piłsudski przyjechał do Nieświeża, by udekorować trumnę mjr. Stanisława Radziwiłła, ordynata dawidgródeckiego, swojego adiutanta, poległego w 1920 r. Z tej okazji Stanisław Mackiewicz, redaktor wileńskiego „Słowa", zamieścił na pierwszej stronie obok siebie wizerunki Stanisława Augusta i Józefa Piłsudskiego, nawiązując do słynnej wizyty króla w Nieświeżu. Ale była to też aluzja. „Cat" był monarchistą i marzył, by Piłsudski został królem. Marszałkowi zestawienie go ze Stanisławem Augustem nie mogło się podobać. Uważał go jeśli nie za zdrajcę, to za sługusa Katarzyny II. A co do monarchicznych sugestii „Cata", odrzucał je, choć mawiał – żartem – że może jego córka, Wandzia lub Jagódka, zostanie królową.

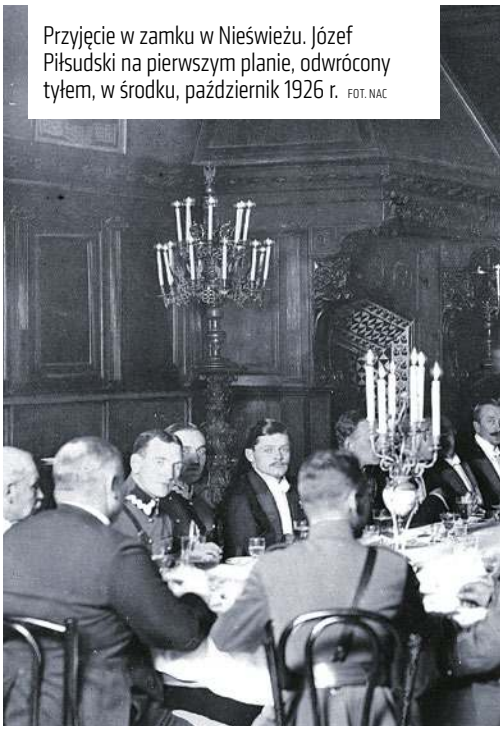

Przyjęcie w zamku w Nieświeżu. Józef Piłsudski na pierwszym planie, odwrócony tyłem, w środku, październik 1926 r. FOT. NAC

eprasa.pl 8fdf5bce69

Dekoracja orderem trumny Stanisława Radziwiłła była pretekstem do spotkania Piłsudskiego, wkrótce po przewrocie majowym, ze sferami arystokratycznymi i ziemiańskimi i do zaproszenia ich do współpracy z obozem rządzącym (Janusz Radziwiłł, ordynat ołycki, został senatorem BBWR). Spotkanie było przełamaniem lodów. Marszałek miał powiedzieć wtedy z humorem: „To nie sztuka zabić kruka ani sowę trafić w głowę, ale sztuka całkiem świeża, trafić z Bezdan do Nieświeża". Piłsudski nawiązywał do swego udziału w akcji na rosyjski wagon pocztowy przewożący do Petersburga ruble, zebrane jako podatki w Królestwie Polskim. Akcja ta była uważana przez arystokrację i ziemiaństwo za bandycki napad organizacji socjalistycznej – PPS.

We wrześniu 1939 r. Sowieci zajęli Nieśwież. W zamku zastali matkę Leona Radziwiłła, ostatniego ordynata – Marię Różę Radziwiłłową. Zostawili ją w zamku, jako „żywy eksponat" muzealny dla wycieczek. Dzięki interwencji króla włoskiego księżna została wypuszczona ze Związku Sowieckiego i wyjechała do Italii, gdzie zmarła podczas drugiej wojny światowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

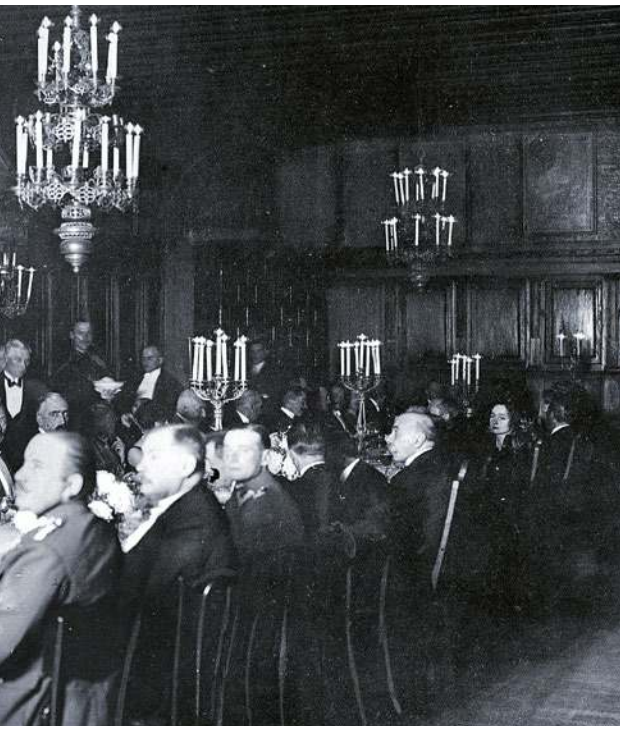

Jazłowiec

Tomasz Stańczyk

Hej, dziewczęta, w górę kiecki, jedzie ułan jazłowiecki". To jedna z najbardziej znanych i cytowanych do dziś, także podczas biesiad, żurawiejek. Wspominając ją, przypomnijmy sobie także o żołnierzach 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, a także o samym Jazłowcu.

Początkiem tego pułku był szwadron ułanów sformowany na Kubaniu, jeszcze w składzie rosyjskiej Armii Ochotniczej walczącej w z bolszewikami. Szwadron rozwinął się w dywizjon, już przy 4. Dywizji Strzelców gen. Lucjana Żeligowskiego. W styczniu 1919 r. dywizjon został przetransportowany do Odessy i tam został rozbudowany do pułku, który pod dowództwem Konstantego Plisowskiego brał udział w walkach z bolszewikami. Gdy dowództwo francuskie postanowiło ewakuować wojsko z Odessy, pułk wraz z dywizją przeszedł przez Rumunię na ziemie Galicji Wschodniej i wziął udział w wojnie o nią z Ukraińcami w czerwcu i lipcu 1919 r.

Od 11 lipca pułk stoczył trzydniowy bój z ukraińską piechotą, wspieraną przez artylerię. Pierwszego dnia Polacy szarżowali na nieprzyjaciela. Witold Czaykowski, autor historii wojennej pułku, pisał: „Trzask karabinów, świst kul nie mógł stłumić zapału ułańskiego. Krzyk bojowy, furkot lanc, tętent koni i 115 szabel ułańskich tnie uciekający w popłochu batalion". Drugiego dnia zawzięcie atakowali, jednak zostali odparci. Wieczorna szarża zakończyła ten dzień polskim sukcesem: „Ukraińcy otwierają bezładny ogień, lecz widząc zbliżających się w galopie ułanów, owładnięci paniką, rzucają broń i uciekają w popłochu". Trzeciego dnia kolejna szarża pieczętuje zwycięstwo pułku, które staje się tytułem do sławy jego dowódcy – mjr. Plisowskiego. A pułk otrzymał nazwę Ułanów Jazłowieckich. W Jazłowcu zaś wychowanki szkoły niepokalanek ufundowały pułkowi sztandar, a Matka Boska Jazłowiecka stała się patronką pułku.

Teraz cofnijmy się w czasie o ponad pół wieku. W 1863 r. powstał w Jazłowcu klasztor Niepokalanek, założony przez Marcelinę Darowską, wraz z zakładem naukowo-wychowawczym dla dziewcząt, który zyskał wielką renomę. Po śmierci męża i syna Darowska, której pozostała córka, postanowiła wstąpić do zakonu niepokalanek. W 1883 r. w Jazłowcu abp Zygmunt Szczęsny Feliński – po powstaniu styczniowym wygnany przez Rosjan z Warszawy i skazany na zesłanie – poświęcił figurę Matki Boskiej dłuta wybitnego rzeźbiarza Oskara Sosnowskiego. Pod koniec życia – zmarła w 1911 r. – Darowska postanowiła zakupić pałac w Szymanowie, niedaleko Warszawy. Także tam powstała szkoła dla dziewcząt, istniejąca do dziś.

Podczas wojny z Niemcami 14. Pułk Ułanów, dowodzony przez płk. Edwarda Józefa Godlewskiego, walczył nad Bzurą, a 14 września wykonał sławną szarżę pod Wólką Węglową, okupioną wielkimi stratami. Niecały rok później gen. Konstanty Plisowski, więzień obozu w Starobielsku, został zamordowany, wraz z innymi oficerami. Był on jedną z tysięcy ofiar sowieckiej zbrodni katyńskiej. Pułkownik Godlewski, uczestnik konspiracji ZWZ-AK, zmarł z głodu i wycieńczenia w niemieckim obozie Mauthausen-Gusen. Siostry niepokalanki, wygnane z Jazłowca w 1946 r., wróciły do niego w 1988 r. Prowadzą tam szkołę i opiekują się sanktuarium bł. Marceliny Darowskiej. ©℗

eprasa.pl 8fdf5bce69

1943 r. / Bitwa pod Kurskiem

Tygrys wchodzi do gawry

Fragment dioramy bitwy pod Kurskiem w Muzeum Wojny Ojczyźnianej w Moskwie FOT. VASYATKA1/WIKIMEDIA COMMONS

Grzegorz Janiszewski

Sowieci stracili ponad trzy razy więcej żołnierzy niż Niemcy. Jednak te straty były dla nich do zaakceptowania

Operacja „Cytadela" była przedmiotem dyskusji, a nawet zaciekłych kłótni między niemieckimi generałami prowadzonych w obecności Hitlera

Nokautująca przegrana Niemców pod Stalingradem na początku 1943 r. nie przesądzała jeszcze o klęsce na Froncie Wschodnim. Po bitwie Wehrmacht został odepchnięty 600–700 km na zachód, zatrzymując się pod Charkowem na Ukrainie. Niemiecki przemysł zbrojeniowy rozkręcony przez Alberta Speera pracował całą parą, chociaż coraz bardziej dawały się we znaki braki surowców i alianckie bombardowania. Duże ilości broni i wyposażenia stracone zostały podczas kampanii w Afryce. Do tego dochodziła konieczność produkcji nowego, bardziej przystosowanego do frontowych warunków uzbrojenia. Gorzej wyglądała sprawa niemieckich żołnierzy. Po Stalingradzie do wojska zaczęto wcielać nawet 50-latków. Mimo tego na Froncie Wschodnim w 1943 r. było niecałe 5 mln żołnierzy, gdy jeszcze rok wcześniej ponad 6 mln.

Takich problemów nie mieli Sowieci. Zmobilizowali ponad 6,5 mln żołnierzy pomimo zatrważających, idących w miliony strat w czasie dwóch lat trwania wojny. Przeniesiony na dalekie zaplecze przemysł zbrojeniowy dostarczał ponad dwa razy więcej uzbrojenia niż niemiecki. W dodatku całkiem skutecznego, mimo że często uproszczonego do granic prymitywności. Do Związku Sowieckiego nieustannie napływał też potężny strumień pomocy w ramach Lend-Lease Actu. W atlantyckich konwojach i przez Iran nieustannie dostarczane były nie tylko czołgi, samoloty i najbardziej potrzebne Sowietom ciężarówki, lecz także proste produkty, jak ropa, mąka czy cukier.

Armia Czerwona okrzepła i przejęła strategiczną inicjatywę, ale wszystko jeszcze było możliwe. O ile w decydującej bitwie Wehrmacht rozbiłby przeciwnika, wyprowadzając decydujący cios. Albo chociaż dający przynajmniej chwilę oddechu. Alianci po Operacji „Torch" – amerykańskim desancie w północnej Afryce – już szykowali się do lądowania na Sycylii. Rządy Mussoliniego zaczynały chwiać się w posadach. Utrata włoskiego sojusznika mogła pociągnąć zdradę innych, co z pewnością przeważyłoby szalę wojny na korzyść aliantów. Hitler musiał

eprasa.pl 8fdf5bce69

podjąć jedną z najważniejszych decyzji podczas wojny.

Atakować! Nakazuje Führer!

Führer jak zazwyczaj chciał ofensywy. Doskonale nadawał się do tego tzw. łuk kurski. Występ frontu o długości 550 km ciągnący się między Biełgorodem na południu aż do Orła na północy, z leżącym pośrodku – 150 km za linią frontu – Kurskiem. Płaski teren, o wielkości jednej czwartej dzisiejszej Polski, doskonale nadawał się do działań dużych formacji pancernych. Łuk powstał jeszcze w lutym, kiedy nacierająca sowiecka 60. Armia wbiła się klinem między niemieckie Grupy Armii „Środek" i „Południe".

Za ofensywą w tym miejscu był szef sztabu generalnego wojsk lądowych gen. Kurt Zeizler. Przeciw – feldmarszałek Manstein, który chciał dokonać strategicznego odwrotu, a później kontratakować na nacierających Sowietów z flanki. Przeciwny ofensywie był też przywrócony do łask i świeżo mianowany inspektorem wojsk pancernych Heinz Guderian. Wskazywał, że traktowane jak broń przewagi na polu walki nowe czołgi Pantera i Tygrys mają liczne usterki i jest ich za mało, żeby wykonać przeznaczoną im w bitwie rolę. W połowie marca Hitler wydał generalny Rozkaz Operacyjny nr 5, który zakładał kontynuowanie działań ofensywnych wraz z poprawą pogody. Ta jednak nie była łaskawa dla niemieckich planów, a każdy dzień opóźnienia działał na korzyść przeciwnika.

W tym samym czasie Stawka, czyli sowieckie najwyższe dowództwo, planowała wielką ofensywę. Miała ruszyć od Smoleńska aż do wybrzeża Morza Czarnego, niszcząc niemieckie Grupy Armii „Środek" i „Południe". Armia Czerwona była wtedy rozpędzoną maszyną, gotową do kontynuowania ofensywy. Za tym rozwiązaniem byli generałowie Watutin, Malinowski i marsz. Tymoszenko. Za przejściem do obrony i wykonaniem na odwrót planu Mansteina – marszałkowie Żukow i Wasilewski. Stalin miał dylemat.

Hitler zaakceptował plan Zeitzlera 15 kwietnia. W Rozkazie Operacyjnym nr 6 określił Operację „Cytadela" jako „najważniejszą operację ofensywną roku". Kiedy tylko pozwoli na to pogoda, Armie „Środek" i „Południe" miały zaatakować z obu końców łuku w kierunku Kurska. W czwartym dniu operacji okrążyć, a potem zniszczyć sowieckie siły w powstałym kotle, a następnie przejść do realizacji Operacji „Pantera", czyli wyjścia na tyły Frontu Południowo-Zachodniego. Potem zniszczyć jego siły i wykonać zwrot na północny wschód, w kierunku na Moskwę.

Sowieccy żołnierze z rusznicą przeciwpancerną FOT. WIKIPEDIA

Łuk szpiegów

Mimo że Hitler nakazał ścisłą tajemnicę, a niemieckim dowódcom za dezercje żołnierzy groził sąd polowy, doniesienia o tych planach szybko zaczęły spływać do Sowietów. Główną rolę odegrała w tym „Czerwona Trójka" – siatka GRU w Szwajcarii. Jej szef, Szandro Rado, informował, że na kierunku kurskim będzie atakować korpus pancerny SS, który właśnie otrzymuje uzupełnienia. Przekazał też do Moskwy Rozkaz Operacyjny nr 6 już nazajutrz po jego wydaniu. Do dzisiaj dokładnie nie wiadomo, skąd pochodziły te informacje. Członek siatki Rudolf Roessler twierdził później, że miał je od wysoko postawionego oficera Wehrmachtu. Prawdopodobnie były to jednak rozszyfrowane depesze Enigmy. Anglicy używali Roesslera do ich przekazywania, żeby nie zdradzić źródła. Prawdopodobnie informacje o planowanej ofensywie przekazywał również jeden z członków „Piątki z Cambridge", John Cairncross. Sowieci mieli więc informacje potwierdzone w kilku źródłach, co ułatwiało podjęcie decyzji.

Zerwać klincz

W końcu Stawka zdecydowała się na bardzo nietypowy ruch. Posiadając strategiczną przewagę, postanowiono wstrzymać działania i przejść do obrony. Zamiar był ryzykowny. Dotychczas jeszcze nigdy Sowietom nie udało się zatrzymać na własnych pozycjach obronnych atakujących Niemców. Na otwartym polu, z lepszym sprzętem i przy mniej więcej równych siłach Wehrmacht z pewnością byłby górą. Gdyby jednak udało się wciągnąć przeciwnika, jak w Stalingradzie, w pułapkę, niczym do pełnej niespodzianek gawry, którą czasem budują niedźwiedzie w sosnowych młodnikach?

Niemcy jednak nie atakowali. Nie sprzyjała pogoda, Hitler czekał na kolejne dostawy czołgów, które miały zdecydować o wyniku bitwy. Na początku maja Operacja „Cytadela" była przedmiotem dyskusji, a nawet zaciekłych kłótni między niemieckimi generałami prowadzonych w obecności Hitlera.

Sowieci nie zasypiali gruszek w popiele. Od połowy kwietnia Armia Czerwona budowała i wzmacniała pozycje. Na łuku kurskim wybudowano od pięciu do ośmiu linii obronnych rozciągających się do 300 km w głąb. Łączna długość wykonanych prac ziemnych wyniosła ponad 10 tys. km. Położono ok. miliona min i fugasów, rozwleczono tysiąc kilometrów drutu kolczastego,

eprasa.pl 8fdf5bce69

Feldmarszałek Erich von Manstein, na pierwszym planie, z prawej

FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

miejscami pod napięciem. Zbudowano ponad 150 tys. budowli obronnych. W lasach przygotowano zawały z drzew, mające powstrzymać niemieckie czołgi, zapory wodne przygotowywano do wysadzenia i zalania okolicznych terenów. Oddziały były perfekcyjnie rozmieszczone. Tworzono wzajemnie kryjące się systemy ogniowe, obrony okrężnej miast i wiosek, przygotowywano rubieże obronne. Pierwsza taktyczna strefa obrony osiągnęła niespotykaną dotychczas głębokość 15–20 km.

Pozycje obsadzało 1 mln 336 tys. żołnierzy frontów Centralnego pod dowództwem gen. Konstantego Rokossowskiego i Woroneskiego gen. Nikołaja Watutina. Wspierało ich 19 tys. dział i moździerzy, 3444 czołgi i 2172 samoloty. Jakby tego było mało, za nimi gotowych do ruszenia na odsiecz było 580 tys. żołnierzy specjalnie utworzonego Frontu Stepowego, wyposażonych w 1,5 tys. czołgów i 9 tys. dział pod dowództwem gen. Iwana Koniewa.

Niemcy naprzeciw nich zgromadzili ok. 900 tys. żołnierzy, 2,7 tys. czołgów i dział szturmowych, 2050 samolotów i 10 tys. dział i moździerzy. Grupą Armii „Środek" na północy dowodził feldm. Günther von Kluge. Z drugiej strony miała atakować Grupa Armii „Południe" dowodzona przez feldm. Ericha von Mansteina.

Bitwa techniki

Nadchodząca bitwa miała być również przełomowa ze względu na używane przez obie strony uzbrojenie. Niemcy po raz pierwszy masowo mieli zastosować nowe konstrukcje pancerne. PzKpfw VI Tiger walczył już na wschodzie. Jednak ze względu na niewielką liczbę czołgów i złą taktykę ich użycia nie odniósł wielkich sukcesów. Atutami tygrysów były potężne działo kal. 88 mm i gruby przedni pancerz. Dla PzKpfw V Panther bitwa pod Kurskiem miała być chrztem bojowym. Czołg miał działo kal. 75 mm i pochylony przedni pancerz. Pantery i tygrysy deklasowały sowieckie T-34, nie wspominając o lżejszych T-70 czy pochodzących z Leand-Lease Actu M3 Lee czy MK III Valentine. Sowieci nie byli jednak bezbronni. Do służby wchodziło właśnie działo samobieżne Su-152 z doskonałą, używaną do dzisiaj haubicoarmatą takiego właśnie kalibru.

Nie mniej ważne od czołgów było panowanie w powietrzu. Pod Kurskiem chrzest bojowy przeszły maszyny Junkers 87G. Znane od początku wojny bombowce nurkujące pozbawiono karabinów maszynowych, a zamiast bomb podwieszono dwa automatyczne działka Flak 18 kal. 37 mm. Orędownikiem tego projektu był największy niemiecki as lotniczy drugiej wojny, Hans Ulrich Rudel. Opracował on też nową technikę walki – celować trzeba było w cieńszy, górny i tylny pancerz czołgów, niszcząc silnik i zbiorniki paliwa. Sowieci też mieli swoją powietrzną wunderwaffe. Szturmowe iły-2 zostały wyposażone w kumulacyjne bomby PTAB. Samolot mógł przenosić aż 280 takich ładunków, które z łatwością przebijały cieńsze górne pancerze wszystkich niemieckich czołgów.

Uprzedzający ogień z nieba

Niemieckie uderzenie było odwlekane. W końcu jednak jego data została wyznaczona na 5 lipca na godz. 3. Rosjanie dowiedzieli się o tym od niemieckich jeńców złapanych dzień wcześniej. O godz. 1.20 sowiecka artyleria rozpoczęła zmasowany ogień na niemieckie pozycje. Niemcy byli tak zaskoczeni, że rozpoczęli swoje przygotowanie artyleryjskie półtorej godziny później. Atak czołgów został opóźniony od 2,5 do 4 godzin, nie było już żadnego elementu zaskoczenia.

Niemieckie czołgi atakowały w nowej formacji, nazwanej pancernym klinem. Na jej szpicy szły najcięższe tygrysy, za nimi rozrzucone w wachlarz lżejsze pantery, na końcu starsze PzKpfw IV. Potem piechota na transporterach i moździerze. Celem było utworzenie jak najszerszych wyłomów w obronie, których nie można było łatwo zdusić kontratakami.

Sowieci nie przestraszyli się tygrysów i panter. Ich wkopane po wieże czołgi i działa rozpoczęły zmasowany ogień.

Niemieccy żołnierze przy czołgu PzKpfw III

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 8fdf5bce69

W miejsca, gdzie przełamano sowieckie linie, trzeba było ściągać saperów, żeby rozminowywali położone za nimi przedpola następnych pozycji. W wykonane przejścia natychmiast wstrzeliwała się artyleria. W powietrzu panowało sowieckie lotnictwo. Iły-2 zrzucały na gęste formacje pancerne kumulacyjne bomby, siejąc zniszczenie. 7 lipca w ciągu 20 minut zniszczyły 70 czołgów 9. Dywizji Pancernej.

Sowieckie czołgi i piechota w ataku FOT. DOMENA PUBLICZNA

Koniec blitzkriegu

Pierwszego dnia operująca na północnym skrzydle grupa gen. Modela wdarła się na kilka kilometrów w sowieckie linie, ponosząc ciężkie straty – aż 200 czołgów z nacierających 300. Sowieci nie wyglądali jednak lepiej. Dwie kompanie niemieckich tygrysów w dwa dni zniszczyły 111 czołgów T-34. Grupa Modela zatrzymała się 7 lipca pod ważnym węzłem kolejowym Ponyri, po starciu niemieckich 2., 9. i 20. dywizji z sowieckimi 2. i 13. armiami pancernymi. Ponad 30 tygrysów z 505. Batalionu Czołgów Ciężkich zadało ciężkie straty, ale musiało ustąpić liczniejszym armatom przeciwpancernym ZIS i samobieżnym SU-152, strzelającym ważącymi prawie 50 kg pociskami. Niemcy po stracie ok. 50 tys. żołnierzy i 400 czołgów wdarli się zaledwie na 10–15 km w głąb obrony.

Nieco lepiej szło im na południu. Oddziały dowodzone przez generałów Hotha i Kempfa – tworzące II Korpus Pancerny SS dywizje „Das Reich", „Totenkopf" i „Leibstandarte Adolf Hitler", dywizja pancerna „Grossdeutschland" wraz z częścią 4. Armii Pancernej i Grupa „Kempf" – wdarły się na ok. 20 km, w planowanym kierunku na Obojań. Do Kurska było jeszcze daleko. Silny opór sowieckich 1. Armii Pancernej i 6. Armii Gwardii sprawił, że Niemcy szybko skierowali swoje czołgi na położoną bardziej na wschód wieś Prochorowka, szukając słabiej bronionych miejsc.

W tym czasie Stawka ściągała z Frontu Stepowego 5. Gwardyjską Armię i 5. Gwardyjską Armię Pancerną. Miały one uderzyć na nacierających Niemców i odciąć im odwrót. Sowieckie czołgi, ześrodkowane w rejonie Prochorowki, zaczęły atak 12 lipca. Proporcja maszyn była 3:2 na korzyść Sowietów, ale wynik starcia wcale nie był przesądzony. Jedyną szansą na pokonanie lepiej opancerzonych i uzbrojonych tygrysów i panter były ataki masą, z bliska. Niemcy zniszczyli wiele czołgów jeszcze na podejściach do pola bitwy, ale w końcu zostali zalani falą sowieckich maszyn. Czołgi łamały szyki, mieszały się, walki toczyły się niemal burta w burtę. W takich warunkach największe atuty tygrysów i panter – gruby pancerz przedni i potężne działa – traciły na znaczeniu. Sowieckie T-34 mogły niszczyć je, uderzając z boków i z tyłu.

Bitwa trwała do wieczora, a walki w rejonie Prochorowki, gdzie próbował jeszcze nacierać II Korpus Pancerny SS, do 14 lipca. Obie strony poniosły olbrzymie straty. 5. Gwardyjska Armia Pancerna została w praktyce pozbawiona czołgów. Niemcom zostało ok. 250 sprawnych maszyn. Dowodzący „Leibstandarte Adolf Hitler" Sepp Dietrich po bitwie tak opisał ją wysłannikowi Hitlera: „Tutaj jest dziesięć kilometrów stanowisk rosyjskich, które mogłem zdobyć. Ale za jaką cenę! Z ponad 150 czołgów, którymi zaczynałem, niespełna dwadzieścia jest jeszcze zdolnych do boju. Piechota poniosła ciężkie straty. Kto wie, jak głęboko są urzutowane stanowiska Rosjan?... Tutaj się nie przedrzemy".

Tymczasem Sowieci kierowali w rejon włamania wciąż nowe siły. Już 12 lipca przeszli do natarcia w kierunku na Orzeł oddziałami Frontu Briańskiego, a 15 lipca Frontu Centralnego i lewym skrzydłem Zachodniego. W tym samym czasie skierowali tam pododdziały 27. i 53. Armii, 4. Korpusu Gwardyjskiego i 1. Korpusu Zmechanizowanego, które nie weszły już do walki. Niemcy, którzy w odwodzie mieli już tylko 24. Korpus Pancerny, zaczęli się wycofywać. Wcześniej z walki został wycofany II Korpus Pancerny SS, przeniesiony na Front Zachodni, gdzie alianci desantowali się na Sycylii. 13 lipca Hitler podjął decyzję o zakończeniu Operacji „Cytadela".

Ciągle wpieriod

3 sierpnia zaczęła się druga faza bitwy. W Operacji „Rumiancew" oddziały z frontów Briańskiego i Stepowego odrzuciły Niemców w kierunku Charkowa. Do 23 sierpnia, czyli formalnego końca operacji kurskiej, Niemcy zostali odepchnięci na ponad 150 km.

Sowieckie straty w całej bitwie wyniosły ponad 250 tys. zabitych i zaginionych oraz ponad 600 tys. rannych. Do tego ponad 6 tys. czołgów, 1,2 tys. samolotów i 5 tys. dział. Niemcy stracili ok. 57 tys. zabitych i zaginionych i 190 tys. rannych. Około 1,3 tys. czołgów i 1 tys. samolotów zostało wyeliminowanych z walki.

Dla Sowietów były to jednak straty do zaakceptowania. Potężna rosyjska maszyna przemysłowa pracowała pełną parą, dodatkowo wspomagana alianckimi dostawami. Do Armii Czerwonej napływały kolejne fale rekrutów. Dla Niemców były to już straty nie do powetowania, których duszona brakami i bombardowaniami gospodarka ani społeczeństwo nie były w stanie odrobić.

Drugie po Stalingradzie wielkie sowieckie zwycięstwo wzmocniło też morale żołnierzy i pewność siebie generałów, którzy zrozumieli, że Niemców można pokonać. Była też dobrą lekcją taktyki dla sowieckich dowódców. Po Kursku aż do Berlina Niemcy na Froncie Wschodnim mogli już tylko się bronić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

Muszkiet na widelce!

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W XVII w. pikinierzy stanowili istotny składnik regimentów piechoty typu zachodnioeuropejskiego, ale jednak to ogień broni palnej rozstrzygał bitwy

Dominował wówczas lontowy muszkiet, do którego podparcia używano forkietu (podpórki). Stosowano także lżejsze wersje, tzw. calivery, które podpórki nie wymagały. Część muszkietów była wyposażona w zamki kołowe, których atutem była natychmiastowa gotowość do oddania strzału. Z uwagi na wysoki koszt wytworzenia nie wyparły prostszych i tańszych lontówek. Maksymalnemu wykorzystaniu zalet muszkietu podporządkowano rewolucyjną taktykę holenderską (reformy Maurycego Orańskiego), gdzie dopracowano zasady tzw. kontrmarszu. W 10–12-szeregowym szyku żołnierze z tego pierwszego oddawali strzał, po czym odchodzili na koniec szyku, ładując cały czas broń. Kiedy znowu przychodziła ich kolej, mieli już ją nabitą. Celność, ze względu na gładki przewód lufy, pozostawiała wiele do życzenia. Skuteczny zasięg strzału nie przekraczał 125 m. Efekt osiągano wyłącznie przy ogniu salwowym. Wyszkolenie żołnierza wymagało żmudnego treningu, ponieważ przygotowanie broni do strzału wiązało się z wieloma czynnościami, które należało wykonać w ściśle określonej kolejności. W regulaminie Błażeja Lipowskiego (druga połowa XVII w.) znalazły się następujące instrukcje: „Połóżcie muszkiety na ziemi, macie dosyć prochu w pulwersakach? Kul sześć w gębę włóżcie. Zapalaj lonty. Weście muszkiety. Przechędożcie rurę krajcarem. Muszkiet na widelce. Przekłuć zapał. Podsypuj. Zaprzyj panewkę. Muszkiet do nabijania na lewy boj przenieś itd. I na końcu: Mierzaj, pal". Doświadczony muszkieter był w stanie oddać jeden strzał na minutę.

Kolejna rewolucja zaszła za sprawą jednego z największych wodzów wszech czasów – szwedzkiego króla Gustawa Adolfa. Pomny masakry pod Kircholmem dokonał spłycenia szeregów (do sześciu), a szyk armii maksymalnie nasycił muszkieterami. Siła ognia uległa zwielokrotnieniu – były to pierwociny szyku linearnego.

Na zdjęciu prezentowana jest broń typowa – zachodnioeuropejskimuszkiet produkowany masowo i używanego przez większą część XVII stulecia. Jego lufa, o długości 113 cm, ma kaliber 19 mm; jest niegwintowana, z zewnątrz ośmiogranna (ośmiokanciasta), o grubych ściankach. Na wylocie znajduje się stalowa muszka w kształcie podłużnej sztabki, a w okolicy części dennej ozdobnie wykuty celownik szczerbinkowy. W części dennej są otwór zapałowy oraz prostokątna panewka z osłoną ogniową. Kolba jest granna. Masa tego muszkietu przekracza 5 kg. ©℗

Proch bezdymny

Czarny proch, używany w broni palnej od średniowiecza, składał się w 75 proc. z saletry potasowej, a pozostałymi składnikami były węgiel drzewny (15 proc.) i siarka (10 proc.). Miał wiele wad: niezadowalającą energię gazów powstających w wyniku spalania (stanowiły one zaledwie ok. 50 proc. produktów rozkładu), dużą ilość zanieczyszczeń pozostających w lufie (nagar) oraz kłęby dymu ograniczające pole widzenia przy gęstej palbie. Odpalał nieregularnie, źle się przechowywał i uszkadzał przewody luf. W latach 80. XIX w. francuski chemik Paul Vielle opracował udany proch bezdymny; jego podstawowym składnikiem była nitroceluloza. Nowy materiał miotający spalał się szybko, równomiernie i wytwarzał trzykrotnie więcej gazów niż jego poprzednik, i to przy minimalnej ilości dymu. Ponieważ duże ciśnienie powodowało deformację ołowianego pocisku w gwincie lufy, zaczęto stosować stalowe płaszcze. Pierwszym masowo produkowanym karabinem, w którym zastosowano amunicję elaborowaną prochem bezdymnym, był francuski Lebel wzór 1886 (zdjęcie). Prędkość początkowa wystrzelonego z niego pocisku wynosiła 710 m/s, a np. w angielskim Marini-Henry, strzelającym nabojem na proch czarny, zaledwie 411 m/s. ©℗

eprasa.pl 8fdf5bce69

LVT

Amerykańskie pojazdy desantowe typu LVT, czyli Landing Vehicle Tracked, popularnie zwane amtrackami (od: amphibian tractor), odegrały ważną rolę w drugiej wojnie światowej i podczas konfliktu koreańskiego. W 1941 r. przyjęto je na uzbrojenie Korpusu Piechoty Morskiej. Były to stalowe, ale nieopancerzone pojazdy gąsienicowe używane początkowo przede wszystkim w celach zaopatrzeniowych. Produkowano je w kilku wersjach. Niezwykle krwawym debiutem bojowym były walki na atolu Tarawa w listopadzie 1943 r. Wykazały one brak odporności amfibii nawet na ogień karabinowy. Do uzbrojenia zaczęto wówczas wprowadzać czołgi desantowe – opancerzone i uzbrojone w działa amtanki: LVT(A)-1 w 37-milimetrową armatę i LVT(A)-4 w haubicę 75 mm (zdjęcie). Amtraki i amtanki grupowano w bataliony desantowe. Pod koniec wojny wprowadzono dwie nowe amfibie – LVT-3 i LVT-4 (projekty dwóch różnych firm), przy czym wersja rozwojowa tej pierwszej, oznaczona jako LVT-3C, wzięła udział w wojnie koreańskiej. Był to pojazd gąsienicowy, wyposażony w dwa burtowe gaźnikowe silniki Cadillaca po 110 KM każdy, osiągający prędkość 28 km/h na lądzie i 10 km/h w wodzie; załoga składała się z trzech ludzi. Wyposażono go w tylną rampę. Uzbrojenie stanowiły karabiny maszynowe Browninga. Ciężar LVT-3C wraz z ładunkiem sięgał blisko 3,4 tony. ©℗

Nad niebem Wietnamu

Amerykańskie lotnictwo, pomimo miażdżącej przewagi, poniosło w Wietnamie spore straty od ognia obrony przeciwlotniczej (rakietowe zestawy S-75) oraz wskutek działalności myśliwców przeciwnika. Były wśród nich radzieckie migi-17, -19 i -21. Zaletą tych maszyn była dobra aerodynamika, która w połączeniu z niewielkimi rozmiarami (zwłaszcza „17") predysponowała je do walki manewrowej na niskich wysokościach. Wśród wietnamskich asów przeważają zdecydowanie ci, którzy odnieśli zwycięstwa na MiG-21, ale piloci USA najbardziej obawiali się „siedemnastek". Migi-21 uzbrojone były w cztery rakiety powietrze-powietrze R-3S, które okazywały się często orężem nieefektywnym, poza tym – pomimo większej szybkości – były mniej zwrotne; natomiast Mig-17, charakteryzujący się niewielkim promieniem skrętu, miał działka skuteczne w walce na małych odległościach. Na większym dystansie atuty były po stronie USA; najlepszy amerykański myśliwiec wojny wietnamskiej, wielozadaniowy McDonnel-Douglas F-4 Phantom (na zdjęciu), uzbrojony był w kierowane pociski rakietowe powietrze-powietrze Sparrow i Sidewinder (po cztery każdego typu). Dużą zaletą F-4 była prędkość, która na dużych wysokościach przekraczała 2 Ma; w połączeniu z wyszkolonym i doświadczonym pilotem była to niesamowicie groźna i skuteczna maszyna.

Samoloty USA posiadały też dużo lepsze wyposażenie, m.in. radary i systemy nawigacyjne. Przewaga Amerykanów wynikała też z lepszej koordynacji działań podczas akcji (latające stanowiska dowodzenia EC-121), większej agresywności i „szukania" walki. Piloci komunistyczni mieli przede wszystkim za zadanie rozbijać wyprawy bombowe, a walkę z myśliwcami podejmowali tylko w najbardziej sprzyjających sytuacjach. ©℗

eprasa.pl 8fdf5bce69

XX–XXI w. / Kto włada półprzewodnikami, ten włada światem

FOT. ADOBE STOCK

Układy scalone

Tymoteusz Pawłowski

Przewaga uzyskana na starcie wyścigu nie została przez Amerykanów i ich sojuszników oddana do tej pory

Układy scalone – zwane czipami – są wszędzie. W smartfonach, sprzęcie grającym, telewizorach, radioodbiornikach. W jednym samochodzie jest ich kilkaset, a w samochodzie autonomicznym – kilka tysięcy. Są również w lodówkach, pralkach, odkurzaczach, hulajnogach, a także w kluczach, szczoteczkach do zębów i latarkach.

Komputer to dość prosta maszyna służąca do liczenia. Liczenie w tym przypadku polega na wielokrotnym dodawaniu, według napisanego programu. Film oglądany na laptopie, czas działania pralki, skuteczność samochodowego układu ABS to nic innego, jak wyniki wielokrotnego dodawania przeprowadzanego przez komputery. Niegdyś istniały arytmometry, czyli komputery mechaniczne, ale im większe liczby dodawano, tym więcej mechanicznych ruchów należało wykonać. Liczenie mogło trwać całymi miesiącami. W czasach drugiej wojny światowej mechaniczne impulsy arytmometrów zaczęto zastępować impulsami elektrycznymi. W ten sposób powstał w 1945 r. ENIAC, uznawany za pierwszy komputer.

ENIAC składał się z 18,8 tys. lamp elektronowych, 6 tys. komutatorów, 1,5 tys. przekaźników, 50 tys. oporników oraz 500 tys. połączeń lutowniczych. Całość ważyła ok. 27 ton i pobierała 140 kW mocy. Jednak im bardziej skomplikowane były obliczenia, tym więcej urządzeń elektrycznych musiał zawierać komputer, tym więcej prądu potrzebował i więcej miejsca zabierał. Najważniejsze były lampy elektronowe, przypominające nieco współczesne żarówki, które służyły do wzmacniania impulsów elektrycznych.

Lampy elektronowe zastąpiono tranzystorami. Tranzystory zbudowane są z półprzewodników, czyli kryształów przewodzących prąd tylko w jednym kierunku. Najprostszym półprzewodnikiem jest dioda, mająca dwie elektrody. Gdy połączy się trzy elektrody, wówczas otrzyma się tranzystor. Jednym „bokiem" trójkąta płynie prąd. Jako że jest to półprzewodnik, płynie tylko w jedną stronę. Żeby wzmocnić ten sygnał, z trzeciej strony również otwieramy przepływ prądu, tym razem silniejszego i mocniejszego, ale również płynącego w jedną stronę. W ten sposób można dodawać, czyli robić to, co robią komputery.

Półprzewodniki były znane jeszcze w XIX w., jednak pierwszy tranzystor zbudowano dopiero w 1947 r. w amerykańskim laboratorium Bella, a do 1951 r. opracowano już technologię produkcji i zmniejszono jego wielkość do guzika. W roku 1956 trzej wynalazcy – John Bardeen, Walter Brattain i William

eprasa.pl 8fdf5bce69

Shockley – otrzymali Nagrodę Nobla. Tranzystory niemal od razu zostały wykorzystane w produkcji sprzętu grającego, gdzie służyły – i nadal służą – jako wzmacniacze. Przez długi czas termin „tranzystor" oznaczał w języku polskim przenośny odbiornik radiowy.

Jack Kilby, na pierwszym planie, w środku

FOT. JAMES R.BRIARD/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

Tyrania liczb

Tak naprawdę jednak rola tranzystorów była inna. Zostały natychmiast wykorzystane w komputerach, co oznaczało zmianę pokoleniową i odesłanie ENIACA do lamusa. Nowe komputery tranzystorowe nie miały już wielkości hali sportowej, a jedynie szkolnej sali gimnastycznej. Problemem wciąż były połączenia lutownicze: wystarczyło, żeby jedno z nich – a ich liczbę liczono już w milionach – doznało awarii, a cały komputer był niesprawny. Częściowym rozwiązaniem było montowanie tranzystorów w blokach: w razie awarii wymieniano blok, a nie cały komputer.

W latach 50. w wielu ośrodkach naukowych pojawił się pomysł, aby kilka tranzystorów umieścić w jednej obudowie. Na pomysł, jak zrobić to skutecznie, wpadł Jack Kilby. Jako młody pracownik Texas Instrument nie miał prawa do urlopu, więc całe wakacje 1959 r. spędził w pracy, myśląc o niebieskich migdałach oraz tranzystorach. Rozwiązaniem – za które w 2000 r. otrzymał Nagrodę Nobla – było wykorzystanie jednego kawałka krzemu (kryształu o charakterze półprzewodnika) do zamontowania na nim kilku elektrod. Powstały w ten sposób układ scalony zawierał cztery tranzystory. Po 10 latach jeden kawałek krzemu – „chip" to po amerykańsku „kawałek" – zawierał 10 tys. tranzystorów. Współcześnie jeden czip może mieć ponad bilion tranzystorów.

Komputery – to znaczy układy scalone – zostały natychmiast wykorzystane przez amerykańskich wojskowych oraz ich sojuszników. Pozwalały namierzać i niszczyć wroga – to znaczy Rosjan i ich sojuszników – szybciej i sprawniej. Dawały więc olbrzymią przewagę, przewagę, której nie sposób było utracić.

Wynika to z prawa Moore'a. Gordon Moore – jeden z założycieli firmy Intel produkującej układy scalone – zauważył, że liczba tranzystorów w układach scalonych zwiększa się bardzo szybko, średnio co 24 miesiące. Przewaga uzyskana na starcie wyścigu nie została przez Amerykanów i ich sojuszników oddana do tej pory. I – najprawdopodobniej – nie zostanie.

Produkcja i półprodukcja

W latach 70. amerykańska technologia produkcji układów scalonych została przekazana dalekowschodnim sojusznikom: Japonii, Korei oraz Tajwanowi. Czipów potrzeba było coraz więcej, zaczęły bowiem trafiać na rynek cywilny, a nowe fabryki były bardzo kosztowne – nie tylko budynki i maszyny, lecz także wysoko wykształceni specjaliści. Rządy w Tokio, Seulu i Tajpej wyraziły wolę współfinansowania kosztownej produkcji oraz – co równie ważne – były kontrolowane przez Stany Zjednoczone.

Jakakolwiek sprzedaż układów scalonych do Związku Sowieckiego, Chin Ludowych oraz ich sojuszników była zakazana i zakazu tego przestrzegano. Państwa bloku wschodniego próbowały produkować własne układy scalone, ale miały ok. 10 lat opóźnienia, co – zgodnie z prawem Moore'a – jest czipową wiecznością. W Polsce ludowej istniało przedsiębiorstwo CEMI produkujące układy scalone, ale zostało zlikwidowane w 1994 r. Nie był to „błąd transformacji ustrojowej", tylko racjonalna decyzja: opóźnienia były zbyt duże, żeby zdołano je nadrobić.

Replika pierwszego tranzystora

FOT. WIKIPEDIA/CLINTONWHITEHOUSE4.ARCHIVES.GOV

Gdy w latach 90. skończyła się zimna wojna i na świecie zapanowała powszechna szczęśliwość, rynek układów scalonych został otwarty. Tak jakby otwarty. Amerykanie i ich sojusznicy dostarczali potrzebującym jedynie produkt końcowy. Potrzebujący – głównie firmy w Chinach Ludowych – montowali zakupione czipy w elektronice, dzięki czemu stały się potentatem w dziedzinie wytwarzania telefonów komórkowych, komputerów, a przede wszystkim smartfonów.

Chińska Republika Ludowa jest jedynie montownią elektroniki, co oczywiście nie podoba się władzom w Pekinie, które chciałyby nie tylko montować układy scalone do plastikowych pudełek, lecz także produkować je samodzielnie oraz projektować. Niestety – ze względu na prawo Moore'a – projektowanie wychodzi im powoli, a więc słabo. Samodzielna produkcja również, ponieważ Chiny Ludowe nie mają ani technologii, ani know-how. Są więc zależne od Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

Czipy są produktem – a jednocześnie surowcem – najbardziej potrzebnym we współczesnym świecie. Ogromnym biznesem, wartym biliony dolarów. Ekonomiści są pewni, że rynek układów scalonych będzie przez kolejnych kilkadziesiąt lat tylko rosnąć, więc zakup akcji przedsiębiorstw czipowych jest najlepszym planem emerytalnym. Czipy są również potężną bronią, zarówno dosłownie – bo od 60 lat o przewadze militarnej decydują liczba i moc układów scalonych wypełniających sprzęt wojskowy – jak i w przenośni: ten, kto włada półprzewodnikami, włada światem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

1932–1933 / Sowieckie ludobójstwo

Zboże zarekwirowane w obwodzie mikołajowskim, 1933 r. FOT. CENTRAL STATE FILM, PHOTO AND PHONO ARCHIVE OF UKRAINE

Wielki głód – wielka głupota

Piotr Zychowicz

Przyczyny wielkiego głodu? Sowiecka bezwzględność, ideologiczne zaślepienie, głupota i absurd socjalistycznego planowania

Jedną z charakterystycznych cech komunizmu jest samooszukiwanie się. Skoro towarzysz Stalin ogłosił w „Prawdzie", że kolektywizacja zakończyła się oszałamiającym sukcesem, to znaczy, że tak było w istocie. I nikt nie śmiał powiedzieć, że jest inaczej.

Począwszy od kierowników kołchozów, przez działaczy partyjnych niższego szczebla, a skończywszy na komisarzach ludowych – wszyscy przekazywali w górę hurraoptymistyczne dane. Zapewniali, że nie tylko wykonają, lecz także przekroczą plany produkcji rolnej!

Opierając się na tych fałszywych założeniach, urzędnicy w Moskwie wyznaczyli ukraińskiej wsi wręcz kolosalne kontyngenty zbożowe. Do państwowych magazynów w 1931 r. miało napłynąć morze ziarna, które planowano rozdysponować wśród robotników, a także sprzedać na Zachód.

Kiedy przyszły żniwa, okazało się jednak, że miliony ton zboża z Ukrainy wcale nie nadchodzą. Władza na Kremlu najpierw wykazywała zaniepokojenie, które szybko przeszło w irytację, a na koniec – we wściekłość.

Gdzie jest zboże?! Nie mamy czego eksportować! Nie mamy czym karmić robotników! Planowi pięcioletniemu grozi załamanie! Moskwa codziennie bombardowała takimi depeszami władze Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Więcej ziarna! Żądamy więcej ziarna towarzysze! Do roboty!

Stanisław Kosior – Polak, który stał na czele władz ukraińskiej republiki – znalazł się pod niezwykle silną presją ze strony Stalina. W oczy zajrzała mu śmierć. Cóż więc zrobił? Zachował się zgodnie z logiką bolszewizmu. Uznał, że skoro brakuje ziarna, to znaczy, że władza sowiecka była zbyt miękka wobec chłopów.

Komuniści nie przyjmowali do wiadomości oczywistego faktu, że kolosalnej ilości ziarna, jakiej się domagali od Ukrainy, po prostu nie ma. Nie zostało

eprasa.pl 8fdf5bce69

ono wyprodukowane. Bolszewicy uznali, że jest inaczej. To chytrzy, przekorni chłopi, na złość władzy sowieckiej, mieli ukrywać zboże. Był to więc reakcyjny „sabotaż" wymierzony w państwo sowieckie.

Według Stalina i Kosiora należało odrzucić „zgniłe burżuazyjne sentymenty" i chwycić chłopstwo za gardło. Wyrwać siłą rzekomo ukryte ziarno. W teren wysłane zostały specjalne brygady złożone z fanatycznych komunistów, komsomołców i bezwzględnych funkcjonariuszy GPU. Ich zadaniem było wyrwać ziarno „choćby spod ziemi".

W pamięci ludności watahy bolszewików, które w latach 1931–1933 dokonywały napaści na wsie, zapisały się jako „czerwone miotły". Ich członkowie przemocą wdzierali się bowiem do domostw i „wymiatali" z nich wszystko, co nadawało się do zjedzenia.

Był to prawdziwy szał grabieży i dzikiej przemocy. Zabierano fasolę, kartofle, mąkę, kaszę, warzywa, suchary. To, czego komuniści nie byli w stanie zabrać ze sobą, wysypywali na ziemię i rozdeptywali buciorami. Taka była kara za stawianie oporu wobec „władzy robotniczo-chłopskiej". Za „sabotaż i dywersję".

„Gdy coś znaleźli – czytamy w relacji świadka – rozrzucali to po klepisku, a potem cieszyli się z widoku płaczących dzieci wybierających z ziemi ziarenka soczewicy czy fasoli".

Najważniejsze było jednak ziarno. Aktywiści rozbijali piece, rozbierali dachy, demolowali całe obejścia. Rozbijali w drzazgi psie budy. Byle tylko znaleźć skrytki, w których chłopi ukrywali przed władzą ziarno. Przy pomocy specjalnych prętów nakłuwali ziemię, aby odnaleźć zakopane worki.

Gdy mimo to nie udawało im się znaleźć zboża, torturowali gospodarzy, aby ci zdradzili, gdzie zlokalizowane były skrytki. Na ich oczach gwałcili córki i żony. Mordowali niewinnych.

Taktyka ta przyniosła „sukces" – chłopi kapitulowali i oddawali swoje ostatnie rezerwy. Nie tylko nadwyżki produkcji rolnej, lecz także zapasy, które miały pozwolić ludziom na przeżycie nadchodzącej zimy. Mało tego, zabrano nawet ziarno siewne przeznaczone na przyszły rok.

Charków w 1933 r. Ludzie wycieńczeni głodem, umierający wprost na ulicach

FOT. ALEXANDER WIENERBERGER/KOLEKCJA KARDYNAŁA THEODORA INNITZERA/ARCHIWUM DIECEZJALNE W WIEDNIU (3)

Wsie, które nie wywiązywały się z dostaw kontyngentów rolnych, trafiały na „czarne tablice". Czyli listy hańby. Spadały na nie ostre szykany władz, czyli konfiskaty narzędzi rolniczych, blokady na dostarczanie najbardziej podstawowych produktów, aresztowania. Kolosalne podatki, zakaz kupowania żywności. A więc kolejne błędne koło. Zamiast pomocy – kara. I pogłębianie kryzysu.

Kampania grabieży, która osiągnęła apogeum w 1932 r. – poza krzywdą ludzką – nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Plany nie zostały wykonane, bo ziarna było po prostu zbyt mało. Nędzne chłopskie zapasy nie mogły zaspokoić apetytu żarłocznego państwa potwora. A ludzie... ludzie zostali bez jedzenia. Kto by jednak przejmował się ludźmi, gdy chce się – jak głosiły słowa „Międzynarodówki" – ruszyć z posad bryłę świata.

W ten sposób zaczął się wielki głód... Śmierć milionów niewinnych chłopów na rolniczych terenach Związku Sowieckiego. Śmierć milionów mężczyzn, kobiet i dzieci. Puchnących, konających w męczarniach na klepiskach chałup, bez żadnej pomocy ze strony państwa molocha, państwa zabójcy.

Koszmar ten rozegrał się przede wszystkim na Ukrainie, a także w Kazachstanie, na Powołżu, Kubaniu i innych miejscach.

Tak, Związek Sowiecki był najbardziej zbrodniczą i ludobójczą dyktaturą w dziejach Europy. Był jednak również krajem gigantycznego kłamstwa, nierealistycznego centralnego planowania, absurdalnego systemu gospodarczego, powszechnego strachu. I ideologicznego zaślepienia. Efektem tej mieszanki było morze ludzkiego cierpienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8fdf5bce69

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

HENRYK WARS (WARSZAWSKI) URODZIŁ SIĘ W 1902 ROKU. MAJĄC 18 LAT ZGŁOSIŁ SIĘ NA OCHOTNIKA DO WOJSKA, ABY WALCZYĆ Z BOLSZEWIKAMI. PO WOJNIE STUDIOWAŁ PRAWO, A TAKŻE MALARSTWO, JEDNAK MIŁOŚĆ DO MUZYKI WYGRAŁA I OSTATECZNIE UKOŃCZYŁ PAŃSTWOWE KONSERWATORIUM MUZYCZNE. POCZĄTKOWO TWORZYŁ PIOSENKI KABARETOWE ORAZ UTWORY TANECZNE. W 1928 ROKU ZAŁOŻYŁ ZESPÓŁ JAZZ SINGERS, RAZEM Z TADEUSZEM OLSZĄ, TADEUSZEM ROLANDEM I EUGENIUSZEM BODO.

W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM SKOMPONOWAŁ PONAD 150 PIOSENEK, KTÓRE PRZYNIOSŁY MU WIELKĄ POPULARNOŚĆ. WIELE Z NICH STAŁO SIĘ HITAMI ZA SPRAWĄ FILMÓW. UTWORY TAKIE, JAK: „MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO WYBACZY", „SEX APPEAL", „TYLKO WE LWOWIE", „ZIMNY DRAŃ" CZY „UMÓWIŁEM SIĘ Z NIĄ NA DZIEWIĄTĄ" ŚPIEWAŁA CAŁA POLSKA.

PRZEDOSTAŁ SIĘ DO LWOWA, GDZIE ZAŁOŻYŁ ZESPÓŁ JAZZOWY. DOŁĄCZYŁ WRAZ Z INNYMI ARTYSTAMI DO TWORZĄCEJ SIĘ NA TERENIE ZWIĄZKU RADZIECKIEGO ARMII POLSKIEJ. KIEROWAŁ MUZYCZNYM TEATREM POLOWYM POLISH PARADE, BYŁ TAKŻE DYRYGENTEM ORKIESTRY TEATRU REWIOWEGO 2. KORPUSU POLSKIEGO. WRAZ Z ARMIĄ GENERAŁA ANDERSA PRZEBYŁ CAŁY SZLAK BOJOWY.

PO WOJNIE NIE ZDECYDOWAŁ SIĘ NA POWRÓT DO POLSKI. WYEMIGROWAŁ DO USA. PRZEZ WIELE LAT TWORZYŁ MUZYKĘ FILMOWĄ DLA NAJWIĘKSZYCH HOLLYWOODZKICH WYTWÓRNI. KOMPONOWAŁ RÓWNIEŻ UTWORY DLA ZNANYCH ARTYSTÓW, TAKICH JAK: BRENDA LEE, DORIS DAY CZY BING CROSBY.

W 1967 ROKU ODWIEDZIŁ POLSKĘ. W TRAKCIE TEJ WIZYTY WRAZ Z ANNĄ GERMAN I ORKIESTRĄ POLSKIEGO RADIA NAGRAŁ UTWÓR „OVER AND OVER"

eprasa.pl 8fdf5bce69

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MAREK A. KOPROWSKI: „OBROŃCY WOŁYNIA"

Członkowie polskiej konspiracji na Wołyniu występowali w obronie zagrożonej ludności, przeciwko mordom i masowej eksterminacji. O polską rację walczyło wielu bohaterów. Zorganizowany opór wobec okupanta pojawił się na Wołyniu już w kilka tygodni po zajęciu tego terenu przez Sowietów. Samodzielne grupy konspiracyjne składały się najczęściej z młodych, niedoświadczonych zapaleńców, dlatego Sowieci rozbijali je bez trudu. Związek Walki Zbrojnej skierował na Wołyń oficera mającego zmontować tam siatkę organizacyjną. Ją również rozbito bardzo szybko, a Sowieci dokonali masowych aresztowań, zatrzymując ponad dwa tysiące osób. Utrudniło to niezmiernie zbudowanie struktur konspiracyjnych po wkroczeniu Niemców.

Komenda Główna ZWZ-AK powołała tam do istnienia struktury „Wachlarza", miał też powstać Okręg AK, ale wszystko skończyło się gigantyczną „wsypą" i aresztowaniem kolejnych dwustu członków konspiracji, co ponownie ogromnie ją osłabiło. W efekcie niektórzy Wołyniacy zaczęli tworzyć samorzutne oddziały samoobrony. Były one zalążkiem legendarnej 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK – formacji stanowiącej absolutny fenomen nawet w skali Polskiego Państwa Podziemnego.

Pamiętając, że historia poznawana przez pryzmat indywidualnych ludzkich losów jest ciekawsza od narracji ogólnej, niniejsza książka przybliża kilkunastu bohaterów, którzy trwale zapisali się w dziejach Wołynia. Są to zarazem dzieje polskiego oporu wobec trzech wrogów: Sowietów, Niemców i Ukraińców.

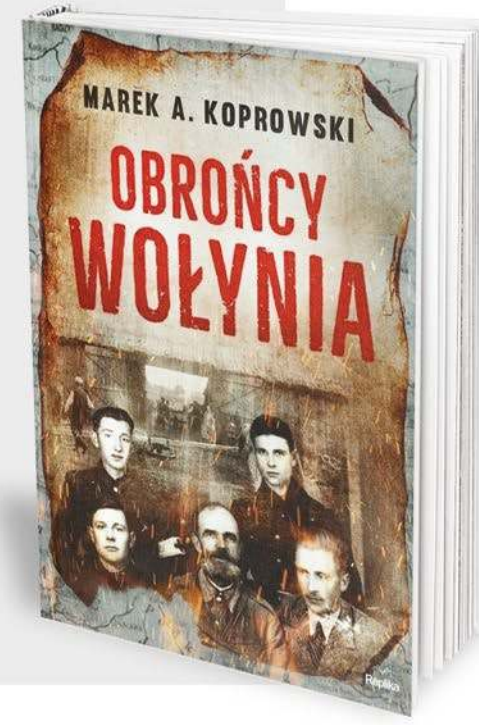

146 zł

oszczędność 47 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8fdf5bce69

„Zło wcielone(...) doprowadzę do tego, że ten człowiek już nigdy nie stanie przed kamerą".*

*dr Maciej Kawecki o autorskim programie Macieja Kożuszka

REPUBLIKA

CODZIENNIE ❤ PUTINA

od poniedziałku do czwartku

19:45

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.